BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

Nr. 383

Zygmunt Kaczkowski.

ROZBITEK

POWIEŚĆ

Z PRZEDMOWĄ

Wł. Jabłonowskiego.

TOM I.

Cena 65 kop.

W prenum. 30½ kop.

WARSZAWA

Redakcya i Administracya

14. Warecka 14.

1905.

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

wychodzi co tydzień

objętości jednego tomu.

Warunki prenumeraty:

W WARSZAWIE:	Z PRZES. POCZT.:
Rocznie (52 tomy) rb. 10	Rocznie (52 tomy) rb. 12
Półrocz. (26 tom.) „ 5	Półrocz. (26 tom.) „ 6
Kwartal. (13 tom.) „ 2 k. 50	Kwartal. (13 tom.) „ 3
Za odnoszenie do domu 15 kop. kwart.	

Cena każdego tomu 25 kop., w oprawie 40 kop.

Dopłata za oprawę:

Rocznie . (za 52 tomy) . . rb. 6 kop. —
Półrocznie (za 26 tomów) . . rb. 3 kop. —
Kwartalnie (za 13 tomów) . . rb. 1 kop. 50

Za zmianę adresu na prowincyę dopłaca się 20 kop.

REDAKTOR i WYDAWCA:

JAN GADOMSKI.

Redakcya Administracya Warszawa, Warecka 14. — Telefon: 88
we Lwowie Plac Maryacki l. 4.

DRUK J. SIKORSKIEGO WARECKA 14.

ROZBITEK.

Nr 828

Zygmunt Kaczkowski.

ROZBITEK

Państwowe Liceum Pedagogiczne Biblioteka w Gliwicach

POWIEŚĆ

Z przedmową

Wł. Jabłonowskiego.

BIBLIOTEKA
Państwowego Liceum Pedagogicznego
w GLIWICACH
Nr 828

TOM I.

WARSZAWA
DRUKIJÓZEFA SIKORSKIEGO, WARECKA 14.
1905

Państwowe Liceum Pedagogiczne w Gliwicach Biblioteka
Kacz
Roz.
~~828~~ t. II
8-3
Politechnika Śląska Kolegium Pedagogiczne BIBLIOTEKA
Kolegium Nauczycielskie Gliwice Biblioteka

Дозволено Цензурою.
Варшава, 9 Мая 1905 г.

SN 21135
Kolegium Nauczycielskie Gliwice Biblioteka
841.162.1-3

PANU

FELIKSOWI

SOBAŃSKIEMU,

w daleką Ukrainę,

tę pracę swoją posyła

AUTOR.

Przeciwko światu i przeciwko sobie
Cięższe twoje, niżeli przeciw Bogu grzechy.
Człowiek nie jest stworzony na łzy i uśmiechy,
Ale dla dobra bliźnich swoich ludzi.
Jakkolwiek w twardej Bóg doświadcza próbie,
Zapomnij o swym proszku, zważ na ogrom świata.
Ta myśl wielka pomniejsze zapały przystudzi.
Sługa Boży pracuje do późnego lata;
Gnuśnik tylko zawczasu zamyka się w grobie,
Nim go Pan trąbą straszliwą przebudzi.

A. Mickiewicz.

PRZEDMOWA.

Wszystkie kwestye, podjęte przez Z. Kaczkowskiego w powieściach współczesnych — zdaniem profesora P. Chmielowskiego — dzisiaj jeszcze są żywotne i albo w tej samej, albo w zmienionej nieco formie, przeszły obecnie do szpalt czasopiśmiennictwa. Idee przewodnie „Rozbitka“ należą właśnie do tych, które nie straciły dotychczas żywotności swojej i wciąż są stawiane na porządku dziennym naszych rozpraw publicystycznych,

Rozwija tu autor myśl odrodzenia społecznego na drodze pracy mozolnej, uzdrawiającej organizm społeczny, nie pozwalającej mu gnuśnieć w bezczynności i marzycielstwie oderwanem od życia rzeczywistego, lub złorzeczyć bezsilnie i załamywać beznadziejnie ręce w obliczu ruin, które bieg wypadków nagromadził dokoła niego.

Pokazuje nam Kaczkowski w „Rozbitku“ tych, co „po umierających odziedziczyli śmierć tylko“, co w nowe życie, w zmienione warunki istnienia narodowego weszli nie jak żywi, lecz jak zmarli — bez nadziei wskrzeszenia. Daje nam poznać również i takich, którzy z „rozbitków“, żeglujących czas jakiś bez steru i kompasu, musieli stać się zdobywcami starego lądu, szczepiąc na nim pędy nowego życia.

Na dnie życia tych ludzi — jak wyraża się autor — siedziała skrzętna, wyrachowana praca — lecz nad nią unosił się uszlachetniony duch ludzki w całej swojej swobodzie i wspaniałości,

Program pracy tych ludzi nie odpowiada dzisiejszym wymaganiom, idee ich społeczne są zbyt ciasne, widnokręgi myśli zwężone uprzedzeniami klasowemi, bezwiedną tradycyą stanu uprzywilejowanego, ów wszakże „uszlachetniony duch ludzki“, który ich wysiłki opromienia, miłość i dobra wola, co z ich serc usuwają pobudki egoistyczne, należą do tych rzeczy, które nie wietrzeją.

Powieści tej, jej tendencyom, zarówno jak i stronie artystycznej, dużo można zarzucić. Jest ona, jak wszystkie zresztą powieści Kaczkowskiego, zbyt rozwlekła, gubiąca wątek opowiadania, naturalny rozwój wypadków, w masie opisów drugorzędnych, nie stojących w ścisłym związku z tematem głównym, zarówno jak i z charakterystyką postaci. Kaczkowski należał do twórców, którzy nie umieją rozporządzać należycie bogactwem własnem, co nie są zdolni ograniczać samych siebie. „Rozbitek“ grzeszy bardzo zbyteczną gadatliwością, nie mniej treść jego (stosunki galicyjskie po wypadkach 1846 r.) należy do bardzo ciekawych i epokę, którą odtwarza, oświetla umiejętnie, pozwalając wyczuć jej tętno, zrozumieć instynkty jednostek i mas, poznać cały szereg postaci ludzkich, uosabiających typowe strony życia ówczesnego społeczeństwa galicyjskiego.

Wł. Jabłonowski.

I

Dzień dwudziesty trzeci lutego roku 1846 chylił się już ku wieczorowi.

Był to dzień posępny i chmurny na niebie, krwawy i morderczy na ziemi.

Niedawne burze i straszliwe zamiecie jeszcze przed dwoma dniami ustały, mrozy zniknęły, powietrze się ociepliło, śniegi zaczęły puszczac, zlewając się potokami ku rzekom—nareszcie dnia dzisiejszego w południe lód pękł na Wisłoce, a wezbrane wody zaczęły nieść krę zdruzgotaną, to wywracając ją z trzaskiem i łomem pomiędzy spienionemi bałwany, to osadzając kawałami po brzegach.

Na lewym brzegu, wznoszącym się o kilka łokci nad poziom rzeki, stała chata wieśniacza. Było to zabudowanie dostatnie, wylepione i pokryte starannie, opatrzone osobną stajnią i szopą, okolone ciernistym płotem, który się daleko rozciągał wzdłuż brzegu rzeki, obejmując sobą kilkadziesiąt drzew owocowych i obszerne ogrody warzywne. W obej-

ściu widać było bróg pełen siana i drugą jakąś szopkę, służącą za skład gospodarskich narzędzi, i jeszcze jakieś stajenki i chlewki. Nie brakło także i innych drzew statecznych dla cieniu: dwie wysmukłe topole stały po rogach dziedzińca jak dwaj żołnierze na straży, nad piwnicą rozpuściła swoje warkocze żałobne piękna brzoza płacząca, a we środku stał dąb starożytny, który opuściwszy stroskane konary ku ziemi, na wyniosłej koronie swojej mieścił osierocone w tej chwili gniazdo bocianie. Zamiast pary bocianów, krążyło nad niem stado bieluchnych gołębi, to wzbijając się w górę i zaglądając ciekawie, co się tam działo we wsiach okolicznych, to upadając z przestrachem jak kiście śniegu na zasypane ziarnem i plewą ścieżki dziedzińca... Zgoła we wszystkiem widać tu było skromny, lecz nie łaknący cudzego dobra dostatek. Ztąd też na pierwszy rzut oka zdawało się, że siedziba ta, lubo tak oddalona od wsi, że jej ztąd nawet widać nie było, musi być własnością jednego z najzamożniejszych kmieci — tak jednak nie było. Jakoż rozejrzawszy się bliżej i obaczywszy porozwieszane pod strzechą ogromne zwoje rybackich sieci, nie trudno się było domyśleć, że właściciel tej chaty musi być przedewszystkiem rybakiem; widząc zaś drogę, wiodącą tuż koło chaty na drugą stronę rzeki i porozrzucanych na brzegu kilka czółen większych i mniejszych, mimowoli nasuwa się myśl, że oprócz połowu ryb, trudni się także i przewoźnictwem. Tak też było wistocie.

Stary Bernat nie mógł przez całe życie doprowadzić do tego, ażeby posiadł grunt kmieci. Miał on nieraz sposobność po temu, bo i komuby łatwiej

było dostać którą pustkę osieroconą, jak jemu, który będąc każdemu potrzebnym, miał zachowanie u wszystkich? — ale jak widać, nie miał nigdy dość silnej pożądliwości tego zaszczytu, przynoszącego wówczas prawie więcej ciężarów, niżeli pożytku. Przyzwyczajony zresztą od dziecka żyć z wodą, rybak i przewoźnik z dziada pradziada, nie umiał sobie wyobrazić szczęśliwego żywota na lądzie. I pozostał rybakiem i przewoźnikiem przez całe życie, jak jego wszyscy ojcowie i dziady. I nie było mu źle z tem, jak zazwyczaj źle nie bywa takiemu, który pilnuje ojcowskiej wiary i ojcowskiego rzemiosła. Rybka przynosiła grosz czysty, a przewóz jeszcze daleko więcej. Ba! przewóz, to Bóg wie tylko, ile właściwie przynosił—niestworzone rzeczy o tem gadano. Bo trzeba wiedzieć, że dawniej szedł tędy główny gościniec, co godzina co chwila stawał nad brzegiem podróżny, a w dnie targowe w miasteczku, ścisk tutaj bywał taki sam rano na brzegu lewym, jaki z wieczora na prawym. Był też tu wtedy prom jeden i drugi i czółen wielkich kilkoro, Bernat utrzymywał po sześciu i po ośmiu parobków, a lubo płacił panu z tego przewozu dwadzieścia czerwonych złotych corocznie, jednak, jak ludzie mówili, miewał za same targowe dnie najmniej trzy razy tyle. A cóż dopiero w dnie inne? Cóż w dnie wód wielkich o wiośnie i niebezpiecznego przewozu? cóż, jeśli w dniu takim jaki panicz bogaty śpieszył do swej ulubionej? Cóż jeżeli mąż spieszył do żony swojej, a cóż dopiero jeśli do cudzej? Bernat miał spryt i odwagę, znał się z tą swawolnicą Wisłoką, jak z własną chatą i wiedział do niej wszystkie spo-

soby. Przewiózł każdego choćby przez krę lub spienione bałwany i złożył cało na drugim brzegu. Za to też była zawsze suta nagroda: tu talar bity, nieraz czerwony złoty, a czasem nawet i więcej..... Dziś wszakże czasy się odmieniły. Niemcy wymurowali gościniec poniżej i zbudowali most na Wisłoce. Wprawdzie bujna Wisłoka, jakby zmówiona z Bernatem, ten most zabiera im co roku; ale już oni na to wynajdują sposoby, bo i na co to Niemiec nie wynajdzie sposobu? Przez myszą dziurę, ba, przez dziurkę od klucza przelezie, a przecież się tam dostanie gdzie zechce. Tak tedy przewóz Bernata upadł już od lat kilku zupełnie. Stara polska droga, koło jego chaty wiodąca, poszła w zaniedbanie i zapomnienie. Nigdy tutaj pan żaden, nigdy żyd, nigdy chłop nawet się nie pojawi — każdy woli łamać podkowy i osie na kamienistym gościńcu, woli ustępować z drogi przed każdą trąbką, woli nawet płacić powtórnie drogowe, boć je już raz zapłacił osobno na to wymyślonym podatkiem — a na starą drogę nie zjedzie. Tak upadły i Bernatowe dochody — a jego chata, która dawniej stała jakby wśród miasta, około której bywał zawsze gwar ludzi, czasem ścisk, a nieraz nawet małe odprawiały targi, zamieniła się w pustkę, osamotnioną, odludną, zdala ode wsi, w szczerem polu stojącą. Rzadko też tutaj było widać twarz obcego człowieka, cicho było i głucho jakby na stepie i gdyby nie plusk bezustanny a rozmaity niestatecznej Wisłoki, byłoby cicho, jak w grobie...

Ale Bernat tą zmianą swojego położenia wcale się nie gryzł, a to z tego powodu, iż był jednym

z tych rzadkich ludzi, którzy umieli z dobrych czasów korzystać. Kiedy miał stałe i piękne dochody, nie pił, nie hulał, nie zbytkował jak inni, jeno skrzętnie grosz składał do grosza i chował, a jeżeli co kupił, to coś takiego, coby się zdało nietylko na dziś lub na jutro, ale coby mieć mogło wartość na zawsze. Nigdy też, nawet w czasach najlepszych, nie odmieniał dawnego sposobu życia, a kiedy go jego żona nieboszczka pociągała ku temu, odpowiadał rozważnie i mądrze:—A na co mi tego? Jestem rybakiem a przewoźnikiem i więcej niczem nie będę, czy zastawię mięso na stole, czy chleb powszedni, a mogą przyjść zasie czasy, w których będę czem mniejszem. Co ma tedy iść na mięsiwa, kołacze i inne rozmaite wymysły, niech raczej idzie do skrzyni: prędzej się grosz przyda zapaśny, niż okazałość przed ludźmi.—Tym też sposobem przyszedł Bernat do tego, że sobie zakupił u pana kawałek gruntu dobrego nad wodą, że chatę zbudował piękną i zaopatrzył we wszystko, że miał pełne obory i stajnie i skrzyneczkę nie pustą; że nigdy cudzego dobra nie łaknął, a wreszcie, że dziś nie narzekał i nie płakał na zmianę swego położenia i upadek dochodów.

Tak rozważnie i zacnie postępował on sobie we wszystkiem. Jedynego miał syna, którego kochał nad wszystko. W nim widział drugiego siebie, w nim tylko żył w swojem osamotnieniu. Ale pomimo takiej miłości i pomimo swoich dostatków, uzbrajał go jak najskrzętniej we wszyktko, coby mu mogło zapewnić poczciwe i samoistne życie do śmierci. Chował go tedy w surowości i pracy od dziecka,

oswoił z wodą, wyuczył rybołówstwa i przewoźnictwa, a ponieważ to były na teraz już niepopłatne rzemiosła, kazał go jeszcze nauczyć ciesielki. Tak wyrosł Antek—a lubo nie miał jeszcze lat dziewiętnastu, był już we wszystkich swoich rzemiosłach wyćwiczony tak dobrze, że choćby mu było przyszło dzisiaj wyjść z domu rodzicielskiego bez grosza, byłby był pewnie ani jednego dnia nie przepędził o głodzie. Jednej tylko brakowało mu rzeczy, a to tej, że nawet tego świata, który go najbliżej otaczał, prawie nie znał zupełnie. Ojciec go trzymał w swej chacie, jak w zamknięciu. Wyszedł z nim do kościoła co niedziela i święto, po mszy na małą chwilę do karczmy, czasem wziął na targ z sobą, czasem na pogadankę do organisty—ale też na tem kończyły się wszystkie stosunki młodego chłopaka ze światem. Uważał ojciec u siebie, że to nic dobrze, iż się chłopczysko nie ociera pomiędzy ludźmi, bo przecież to jest każdemu potrzebne; ale odkładał to zawsze na później, co wszakże nigdy nie przychodziło, bo sam nie miał rozleglejszych stosunków ze światem. Tak został się ów ukochany jedynak do dnia dzisiejszego z tem tylko, czego się nauczył od ojca i w co go uposażyła matka natura.....

Nie wymyślne to wychowanie—ale nie koniecznie najgorsze. Nad wielu z nas mozolili się przez lat kilkanaście nauczyciele sprowadzani z całego świata i uznali nareszcie, że wychowanie nasze skończone—w samej istocie nauczyli nas oni tak wielu i tak rozmaitych rzeczy, iż się dziś sami nieraz dziwimy, jak się mogło to wszystko w naszych głowach pomieścić; — lecz kiedyśmy potem sami przy-

szli do lat dojrzałych i z doświadczeniem nabytem sumiennie zajrzeli wewnątrz siebie, tośmy się przekonali, iż przez lat kilkanaście mozolono się nad nami li tylko na to, ażeby w nas zepsuć to, w co nas Bóg uposażył. Gdyby nas pozostawiono samym sobie i tylko pilnowano, abyśmy na krzywe drogi nie zeszli, bylibyśmy na wstępie do życia materyałem wprawdzie surowym, lecz doskonałym —wychowani starannie i pracowicie, staliśmy się wykończonym wyrobem, ale częstokroć wartości najzwyczajnie wątpliwej. Szczęśliwi jeszcze z pomiędzy nas ci, w których przez wychowanie najwspanialszy twór ręki Boskiej, człowieka, tylko spaczono; w innych go całkiem zabito, zamordowano na zawzze i bez zmartwychpowstania...

Stary Bernat nie potrzebował się tego obawiać. W jego synu żył jeszcze cały człowiek, jak go Bóg stworzył, wprawdzie nienaprawiony, ale też niezepsuty. Jakim był w samej rzeczy, trudno tego odgadnąć; lecz jego ojciec, człowiek rozważny i zacny, wielką miał z niego pociechę. Śledząc go pilnie i nie mogąc w nim dojrzeć najmniejszego śladu zepsucia, kochał go jeszcze tembardziej. Umiał się nawet dla jego dobra poświęcać. Jakoż, lubo mu żona jeszcze przed kilku laty umarła i już dla samej oszczędności wypadało mu się koniecznie ożenić, przecież się nie ożenił, bo wiedział, że przez to sobie tylko małą przyniesie pociechę i małego uniknie uszczerbku, a synowi sporządzi uszczerbek wielki i może jeszcze zgryzotę na całe życie. Wyczekał też cierpliwie aż do tej chwili, którąby uznał za stosowną do ożenienia się syna. Ta chwila jeszcze

Biblioteka —T. 383

przeszłej jesieni nadeszła. Już więc w jesieni oglądał się za synową po swojej wsi i po cudzej, ale nic jeszcze nie znalazł. Wziął się do tej samej roboty po Świętach Bożego Narodzenia—ale tymczasem nowa się nawinęła przeszkoda.

Około tej pory bowiem zaczęły jakieś straszliwe wieści chodzić po kraju. Apokaliptyczne wstrząśnienia jęły potrząsać ziemią, wulkaniczne namiętności i żądze zaczęły się odzywać po sercach. Pomiędzy lud wiejski zaczęły błądzić duchy białe i czarne, budząc go ze snu, jedni w imie Boga, drudzy w imię szatana. Miłość i poświęcenie, nienawiść i zemsta rozbłąkały się między chaty w kształcie wiedźm światłych i krwawych. Przeczucia wieszcze, pieśni prorocze, uniesienia młodzieńcze, zapał szlachetny, lecz razem trwoga, przestrach i rozpacz, rozsypały się między ludzi naprzemian, to jak kwiaty wiosenne, to jak węgle żarzące... Lud spał jak zabity, nieruchomy jak głaz. Obojętny na wszystko od wieków, nie chciał wiedzieć o niczem. Wszakże pomału, targany konwulsyjnemi rękami w obie strony, zaczął drgać w swoim śnie odrętwiałym, otwierać usta bezmowne, otwierać oczy szklane i poruszać machinalnie rękami, jak gdyby zmora mu siadła na piersiach i dusiła go we śnie. W tym gorączkowym półśnie, a półjawie nie wiedział sam, co się z nim dzieje. Aż przyszedł zły duch i wstąpił w próg jego chaty i rozwiązał mu ręce i rozgrzeszył sumienie. Wiedźma zemsty wzięła go na swoją przepaskę, a Anioł stróż jego duszy, odstąpił od niego i uleciał w powietrze. Zerwał się wtedy ten gad olbrzymi o milionie głów i rąk, uzbroił się

w mordercze narzędzia i rozlał się czernią po ziemi. I zalał sobą cały kraj od Karpat po Wisłę. W jednej chwili stanęły w płomieniach dwory, tysiące łun rozgorzało na niebie, tysiące trupów legło na ziemi, a strumienie krwi rozlały się po polach...

Stary Bernat, który, pomimo oddalenia od wsi, wiedział przecież co się w niej dzieje, dzielił zrazu te wszystkie wrażenia, jakim ulegali jego sąsiedzi. Jakoż dopóki wieść chodziła niejasna, że się wielkie rzeczy dziać będą, że nastanie sąd Boży dla wszystkich, że krzywdziciele odbiorą karę, ukrzywdzeni nagrodę i wygładzone będą wszystkie niesprawiedliwości, nagromadzone z latami—to nie miał nic przeciw temu. I owszem, na wspomnienie takiego zlitowania Bożego, na wspomnienie dnia tego, w którym najwyższy Sędzia widomie na swym tronie zasiędzie, ażeby wiekowe krzywdy naprawić, przejmowała go dreszcz świętobliwy i pomimo starości, unosił zapał młodzieńczy. Poniósł i on przecież niejakie krzywdy, owo wymurowanie gościńca, wybudowanie mostu, zniszczenie jego przewozu i wiele innych; mówił więc sobie: Ha! niech się dzieje wola w tem Boża.—Lecz kiedy z czasem te wieści zaczęły występować wyraźniej, kiedy zaczęto mówić o porównaniu chłopów z panami, o darowaniu pańszczyzny, o podzieleniu gruntów dworskich pomiędzy gospodarzy i zagrodników—już mu się to jakoś nie podobało i mówił wtedy do swego syna:—Jeśli tak ma być, jako dziś mówią, to bodaj czy nad tą robotą spoczywa błogosławieństwo Boże. Nie wiem też, czyli który poczciwy będzie miał z tego pociechę, bo cudza własność nigdy nie grzeje.—

Poszedł też zaraz na naradę do księdza, bo był po staremu pobożnym i miał ufność w swym spowiedniku. Od księdza wrócił uspokojony cokolwiek— ale niebawem potem już wcale straszne zaczęły chodzić powieści. Powiadano po chatach wyraźnie, że będzie bunt między chłopami, że się zburzą od kołka do kołka i powstaną na nogi, że ktoby z nimi nie poszedł, tego trupem pościelą, a wtedy pójdą na dwory, panów wymordują do nogi i kobiety i dzieci, ażeby i nasienie nie pozostało. Zaczem ich dobytki między siebie podzielą, a siedziby ich spalą, ażeby i pamięci nie było za czasem, że na tej ziemi byli kiedyś panowie. Taki jest nakaz od starszych i tak ma być nieodmiennie... Z tem mu się zwierzył w sekrecie Strzygoń, który niedawno co z wojska powrócił i zaczął gospodarować, ale mu się nie wiodło, bo też się bardzo napijał; tak mówił Jędrek od Męki Pańskiej, co to dawniej bywał hajdukiem i złodziei łapywał, ale niegdy podobno sam był złodziejem; tak mówił także jakiś obcy wojskowy, który z dalekich krajów, wracał do swych a człek był dość wiarogodny, miał ze sobą grosza dostatkiem i wszystkich w karczmie częstował. Tak już nareszcie powiadano we wsi powszechnie, a i z innych wsi także, kiedy się trafił jaki przechodzień, powiadał prawie to samo...

Dowiedziawszy się Bernard o takich strasznych zamiarach, dziwnie się jakoś zatrząsł w swem wnętrzu i mówił sobie:—Nie dajże Boże, by przyszło do tego.—Lecz rozważywszy to wszystko, co słyszał, widział, że to nie próżne postrachy. Cały lud wiejski drżał jak w gorączce, co chwila się ktoś nawijał, któ-

ry go burzył, a co najgorsza, już się porozumieli ze sobą wszyscy wiejscy hultaje, podpalacze, złodzieje i schodzili się z sobą kryjomo, pijąc po całych nocach we spółkę. Zdarzyło się Bernatowi widzieć poostrzone siekiery, ponasadzane kosy, zdarzyło mu się nawet słyszeć wyraźne przeciw panu pogróżki... A natenczas już nie namyślał się długo, tylko dnia tego samego wieczorem poszedł milczkiem do dworu. We dworze przed gankiem zastał czwórokonną karetę, wypakowaną we wszystkie pudła i gotową do drogi—a pańska to była kareta. Cieszył się tedy Bernat, że pan wyjeżdża, bo właśnie tak mu chciał radzić. Przecież kiedy już doszedł aż tutaj, chciał się z panem zobaczyć. Dostał się jeszcze do niego, choć trudno i opowiedział, z czem przyszedł. Podziękował mu pan za tę przychylność, zimno i grzecznie, jak zawsze, ale się uśmiał na końcu z wielkich frasunków Bernata o dom i dobytki i rzekł:—Bądź-no mi o to spokojny, ja sam wiem czego potrzeba. Jadę dzisiaj do miasta, ale jutro powrócę, a przecież sądzę, że mam tyle znaczenia u rządu, ażebym z żołnierzami powrócił.—Wiadomość ta mogła była zaspokoić Bernata, bo pan to był w samej rzeczy nie ladajaki, miał znaczenie u rządu, nosił nawet uniformy cesarskie, a oprócz tego miał wielkie pieniądze; było tedy rzeczą więcej jak pewną, że przywiezie żołnierzy. Ale dziwnym sposobem Bernat tą wiadomością tylko się jeszcze bardziej przestraszył. Zdawało mu się bowiem najpierwiej, że choć to pan taki znaczny, przecież może nie dostać żołnierzy. Jakby się ta czerń rozhulała, która się może rozhulać, nie oparliby jej się żołnierze, gdyby zostali

po miastach—a cóż dopiero, gdyby się pojedyńczo rozsypali po dworach? Wiedziano przecież o tem po miastach, a każdemu milsze jest życie swe własne, niżeli najznaczniejszego z panów. Ale co jeszcze mocniej zniepokoiło Bernata, to to, że pan wyjeżdża, a córkę swoją samą zostawiła w domu. Przywiezie z sobą żołnierzy, to ich przywiezie aż jutro—a dzisiaj noc także i dziś już wszystko gotowe do buntu... Nie mógł się tedy powstrzymać, ażeby tą obawą nie podzielił się z panem. Ale pan śmiał się: — No no, już dobrze. Ty wiesz swoje, a ja też wiem swoje. Któren że dzień dzisiaj mamy? Środa, nieprawda? No, więc jeśli w piątek powrócę, to jeszcze także będzie zawczasu. — Zaczem natychmiast ubrał się w szubę, pożegnał się z córką, głową kiwnął swym domownikom i odjechał. Stał jeszcze długo Bernat przed gankiem, a domownicy i słudzy wypytywali go, co tam słychać na świecie, co we wsi i co na starym przewozie? Ale on ani słowa nie powiedział nikomu, tylko patrzył na wszystkich niewidomemi oczyma i dziwnie frasobliwie przytem wyglądał. Zaczem się zbudził i rzekł do chłopięcia, co przy kredensie służyło: — Chłopię, zawołaj mi tutaj Basi, co to służy u panny. — Przybiegła w ten moment posłuszna Basia, zatulona w chusteczkę. Wziął ją Bernat na stronę i rzekł jej:—Słuchaj no Basiu, Bóg ta wie, co to będzie. Nie masz co o tem mówić, bo nic nie wiedzieć. Ale to wiedzieć, że was panisko odjechał i pozostałyście same, a cały ten dwór wasz nie wart złamanego szeląga. Ty jedna tylko co masz przywiązanie do panny i wiem, że jej nie odstąpisz w złej doli. Jeżeliby tedy co takiego wypadło, jeżeli

by ciasno było koło was, rozumiesz, Basiu; pamiętaj że o tem, że stary przewóz odewsi daleko, a stary Bernat dobrze was przyjmuje u siebie.—Ani się śniło naiwnej Basi o czem to mowa, dlatego stary przewoźnik musiał z nią stać z pół godziny na śniegu i tłómaczyć wszystko obszernie; ale jej wytłómaczył nareszcie i odszedł uspokojony. Przypatrywali się dworscy tej przewlekłej rozmowie i trzeba im było czegoś się z tego domyśleć; jakoż domyślili się zaraz, że przebiegły przewoźnik zmawia Basię dla swego syna, co zresztą nie było bardzo niepodobnem do prawdy, bo istotnie w jesieni podobała się była Basia starcowi i rzekł był o niej: — Żeby to nie ze dworu, to by się to może i zdało dla Antka.

Nie darmo się powiedziało powyżej, że stary Bernat był człowiekiem rozważnym i zacnym; jeżeli bowiem zacnie sobie postąpił, że ostrzegł swojego pana przed grożącemi niebezpieczeństwami, to dowiódł tem wcale nie mniejszej rozwagi, jeżeli przewidywał, że myśl sprowadzenia żołnierzy z miasta może już być dzisiaj zapóźną. I była w samej rzeczy zapóźną...

Albowiem właśnie w tę samą środę, dnia tego samego wieczorem, wybuchnęła przeklętej pamięci i sławy rzeź Tarnowska, ów upiór obrzydliwy, powstały z grobów barbarzyństwa i dziczy, ów świadek nielitościwy, jak wiele zwierzęcości jest jeszcze w ludziach dziewiętnastego wieku!

I dnia tego samego rozszerzyła się ta rzeź aż nad Wisłokę. I tu znalazła jeszcze daleko silniejsze odbicie. Ile tu krwi wylano niewinnej, ile szkód po-

czyniono w dobytkach, ile piekielnych spełniono zbrodni, nigdy się nikt nie doliczy...

Poczciwy Bernat liczył ze zgrozą wszystkie dwory które z kolei padały ofiarą tej dziczy. Płakał rzewnemi łzami nad każdym panem zamordowanym, burzył się do wściekłości nad każdym gwałtowniejszym rozbojem, włosy sobie rwał z głowy nad każdym gwałtem niewinności zadanym. Ale przytem z tem większą trwogą spoglądał na pałac swojego pana. Pan jeszcze do dziś dnia nie wrócił, ale mimo to mijał dzień jeden za drugim i cicho jeszcze było we wsi. Bandy zbójeckie rozsypały się w inne strony; Bernat myślał: Może się tam krwi napoją do syta, może się większemi łupami obłowią, niżeli ich żądze, może już tutaj wcale nie przyjdą. Tak minęło już dwa dni, minął za niemi dzień trzeci, mijał już wreszcie i czwarty. Bernat był codzień spokojniejszym.. Aliści dnia czwartego wieczorem, kiedy już stary przewoźnik zabierał się do spoczynku, nagle coś zaświeciło mu w oknach tak jasno, jak gdyby słońce wyskoczyło z pod ziemi. Wybiegł przed chatę, wszystkie zabudowania dworskie stały w płomieniach. Zobaczywszy to, ścisnął syna za rękę tak silnie, jak gdyby mu ją chciał złamać i myślał tak małą chwilę; ale potem się zerwał, wcisnął czapkę na głowę i rzekł:—Chodź, synu! już i my chyba zginiemy.

Tak pobiegli obadwaj. Ale nim doszli do dworu, już nie było co widzieć... Pałac, wymurowany z cegły i cynkiem pokryty, stał wprawdzie na swojem miejscu; ale nie było w nim ani jednego okna, ani drzwi jednych; porozwalano piece, powydziera-

no posadzki. Z drogocennych sprzętów, sprowadzanych przez szambelana z najodleglejszych krajów, leżały tylko kupy gruzów i trzasek. Kilka bab obdzierało jeszcze do reszty aksamitne kanapy i koronkowe firanki, robiąc sobie z tych szmat kosztownych fartuchy i zawitki na głowę. Zresztą było pusto w pałacu, wiatr przewiewał przez powyrywane z ramami okna i gasił po jednej dziesiątki świec pozapalanych w żyrandolach i kandelabrach...

Ale za to w dziedzińcu było rozgwarno i hucznо. Tam, przy jasnych płomieniach jeszcze gorejącego pożaru, huczała czerń rozwścieklona tanem piekielnym. Owo więc w środku rozstawiono całą śpiżarnię, całą domową apteczkę i wszystkie zapasy korzenne. Wydzierali sobie z rąk zbójcy rozmaite przysmaki, o których częstokroć nie wiedzieli, jak je mają spożywać. Tak jedni żarli konfitury z serem, inni marynatę z powidłami, trzeci się karmił musztardą, czwarty łykał oliwę, a piąty wypił flaszkę araku i zapił się na śmierć na miejscu. Ci pożerali łakomie listki herbaty, tamci warzyli w kotle nieupaloną kawę, wrzuciwszy weń kilka głów cukru. Inni znowu dzielili się między sobą sukniami pańskiemi i połciami słoniny—a kiedy jeden, ubrawszy się w mundur szambelański i przypasawszy szpadę, do boku, harcował na nieposłusznym ogierze wokoło dziedzińca, drugi przywdział na siebie mundur stanowy, włożył na głowę stosowany kapelusz i zapaliwszy lulkę na najdłuższym cybuchu, przechadzał się pomiędzy pijaną gawiedzią. Zgoła z którejbądź strony było popatrzeć na ten kłąb ludzi,

trudno było odgadnąć: piekłoli to jest, czy dom szalonych?,..

Bernat przypatrywał się temu wszystkiemu z poczciwą zgrozą i z jeszcze daleko poczciwszym wstydem za swoich braci. Ale nie mógł długo się przypatrywać. On tu przybiegł tak rączo, ażeby przyjść w pomoc osieroconej córce swego dziedzica, i jeśli można, aby ją zabezpieczyć. Ale już przebiegł wszystkie komnaty pałacu, najskrytsze wszystkie zakątki i nigdzie jej nie zobaczył. Nie mógł się o nią nawet dopytać, jak cały dwór bowiem, nie było już w tej chwili ani jednego człowieka. Jedni z trwogi przed tym napadem pouciekali zawczasu; inni pierwsi rzucili się do rabunku, a obładowawszy kieszenie, w obawie, aby się nie musieli dzielić ze zbójcami, także zemknęli; trzeci zaś przyłączyli się do gromady i teraz rej wodzili przy wyżej wspomnianej biesiadzie. Tych pytać, albo też kogokolwiek innego, nie było bardzo bezpiecznie. Chciał to uczynić niecierpliwy syn przewoźnika, ale mu Bernat tego zakazał, mówiąc do ucha:—Nie pytaj się, bo to nic nie pomoże. Gdyby który z nich wiedział, kędy się ona znajduje, toby tu nie był, boby był za nią poleciał. A jeśli ją już zabito, to się i tak o tem dowiemy. — Zaczem wziął syna za rękę i przeszedł z nim jeszcze raz wszystkie kąty pogorzeliska, i cały ogród warzywny i owocowy i owe klomby drzew rozmaitych, których pomiędzy sadzawkami i altanami było bez liku, ale jej nigdzie nie znalazł. Westchnął tedy do Boga i rzekł:—Jedna jest jeszcze nadzieja, może choć ta nie zawiedzie.—I szedł już wtedy do domu. Około północy przyszedł i właśnie się

zbliżał do bramy swego obejścia, kiedy tuż pod nią ujrzał jakieś dwie kobiety stojące. Obiedwie były po wiejsku ubrane jak baby, w inderakach na sobie i z chustkami na głowach, ale mimo to dygotały od zimna. Przypatrzył się im Bernat zblizka i aż krzyknął z radości.

Basia nie zapomniała jego nauki, panienka była uratowana.

Spadł tedy najcięższy kamień z serca poczciwemu starcowi. Tego, co się stało we dworze, żal mu było niezmiernie: tyle tam poniszczono pracy, oszczędności, dobytków, zabrano pewnie i gotowiznę, której pan miał niezmiernie wiele, bo w gotowiznie trzymał większą część swojej fortuny, ale przynajmniej córka jego ustrzegła się hańby lub śmierci, a to było warte daleko więcej, niżeli wszystkie dobytki. Przyczynił się Bernat niepomału do tego, to go też pocieszyło i rozpostarło ową nadziemską błogość w jego sumieniu, którą każdy poczciwy człowiek uczuwa po spełnieniu zacnego czynu, a która jest tylko doczesną nagrodą za poczciwość i cnotę.

Był tedy rad sobie, lecz przeto nie uspokoił się jeszcze zupełnie. Bo i jak mu tu było się uspokoić, gdy wiedział, że takich samych rabunków i gwałtów, jakich dokonano nocy dzisiejszej na dworze tutejszym, popełniono już całe setki i jeszcze wciąż popełniano. Ba, gorzej nawet, gdzieindziej bowiem dokonano już mordów najkrwawszych. Tak zginął już wtedy nieodżałowanej pamięci Prosper Konopka, padł ukochany przez wszystkich Kotarski, Broniewski ordynat zabity, wymordowana cała ro-

dzina Boguszów! A wielu już padło innych, równie kochanych i zacnych, o których Bernat nie wiedział; wiele zginęło starców, niewiast i dzieci! Jak mu to było się uspokoić, choćby tylko na chwilę! Jakoż jak tylko się przespał i schronione u siebie ofiary jak mógł uspokoił i ubezpieczył, przez cały dzień następny co godzina, co kwadrans, wychodził przed swoją chatę, ażeby się przysłuchać, co się gdzie dzieje i popatrzeć, jakie gdzie nowe łuny rozgorzały na niebie. I teraz, na małą chwilę przed zmrokiem, znów wyszedł i stanąwszy przy bramie, przyłożył dłoń wyciągniętą do ucha i słuchał. Słuchał z taką uwagą i natężeniem, jak gdyby chciał, aby żaden odgłos najdalszy go nie ominął, a na jego twarzy malowała się trwoga pełna zacności i najpoczciwsza boleść na świecie...

I pięknie mu było z takim bolesnym wyrazem na pooranej zmarszczkami twarzy, i cała postać jego była nie brzydką. Był to już starzec podówczas liczący lat pewnie blizko siedemdziesięciu. Wysoki był i chudy niezmiernie, piersi miał zapadnięte i pochyło się trzymał, lecz mimo to widać w nim było siłę niezwykłą, kości potężne i muskuły silnie na wierzch występujące, które wykształcił w sobie natężeniem i pracą, bo ich nie miał z natury. I twarz miał chudą i szczupłą, rzadkim siwym włosem dokoła okrytą, nos długi, szpiczasty i oko siwe duże, ocienione silnemi, gęstemi brwiami. Głowa ta nakryta była zresztą przerzedzoną już trochę nad czołem, lecz jeszcze dosyć obfitą czupryną, którą wszakże i dziś i zwykle nosił w wielkim nieładzie. Na pierwszy rzut oka zdawało się widzieć w tej twarzy

tylko spryt i przebiegłość. czemu się wcale nie przeciwił nos szpiczasty i długi; lecz rozejrzawszy się bliżej, narzucała się oku prawie sama ze siebie rozwaga, rozmysł stateczny i głębszy i wogóle jakaś wcale niepospolita powaga tego niepospolitego człowieka, który jednak w samej istocie był bardzo niepospolitym, choćby tylko dlatego, iż umiał się zachować w nieskażonej zacności nawet i wtedy, kiedy tysiące innych, równie poczciwych i może nawet równie rozważnych, dali się przecież porwać gorączkowemu obłędowi tej chwili i obładowali swoje sumienia najkrwawszemi zbrodniami. Bernat stał tak przez chwilę przy bramie i słuchał, lecz nie mogąc złowić żadnego echa swem uchem, postąpił naprzód o kilkadziesiąt kroków i zbliżył się do Wisłoki. Tam patrzył przez chwilę ze znawstwem mistrza na krę, hulającą szalenie ze spienionemi bałwany. a przypatrzywszy się dobrze, rzekł półgłosem do siebie:

— Niktby się teraz na drugą stronę nie dostał..

Wtem zliżył się Antek do niego. Antek był wcale niepodobnym do ojca. Mniejszy od niego o jakie pół głowy, był zarazem zbudowany barczyściej i silniej. I także miał już wykształcone muskuły i wyrobioną siłę jak mąż dojrzały, bo ojciec go ćwiczył w sile od dziecka i powtarzał mu zawsze: — Choćbyś nie potrzebował siłą zarabiać na chleb powszedni, to dobrze ją mieć i dla siebie samego. Człek silny zawsze nosi czapkę na bakier, nawet i tam, kędy inni się kulą a robią na piersiach krzyż święty. Pierwsza rzecz czyste sumienie, a druga dwie dobre garście przy sobie; choćby nie było

nic więcej, już i z tem jakoś człowiek wyżyje na świecie.—To też Antek, chociaż jeszcze tak młody, brał korzec pszenicy pod jednę pachę, a kiedy trza było, to i drugi pod drugą i nosił zawsze czapkę na bakier. Nie było też twarzy, którejby czerwona czapeczka przewieszona na ucho lepiej przystała jak jego. Bo to liczko tam było jakby krew z mlekiem, oczy ciemno-niebieskie jak dwie gwiazdy na niebie, a włos czarny, błyszczący, jako pióra u kruka. Jasno też było tam na tej twarzy jak w dzień piękny na wiosnę, wesoło w sercu i w głowie jak w gaiku o świcie, a spokojnie i cicho jak w kościele. Czasem tylko zakipiała krew młoda tak nagle, jakby chciała wykipieć, a wtedy Antek byłby w stanie zranić kogo śmiertelnie, lecz zato znowu chwilami, przychodził na niego spokój tak cichy i zamyślenie tak głębokie, że nie wiedział, co się z nim dzieje, a wtedy dusza jego wymykała się z ciała i mieszkała przez oka mgnienie u Boga. Ale to było tylko chwilami bo zresztą zawsze był raźny i wesół i prawie zawsze jednaki.

Teraz zbliżył się do ojca i zaczął się razem z nim przypatrywać Wisłoce.

— Hej! hula sobie Wisłoka, jak na weselu— rzekł Antek.

— Patrzajże, Antku—powtórzył ojciec – kiedy taką krę niesie, a kra się chyba, a bałwany ją przeskakują, niema się co porywać, niktby natenczas na tamtą stronę nie przeszedł.

— Kiedyby się uparł, a wiedział sposób, przecieby ta jakoś i przeszedł — rzekł na to Antek i oczy mu zabłyszczały, jakby już chciał próbować.

— No, ja nie mówię, żeby już wcale nie można — rzekł stary — ale nie pedejmować się tego dla żartu. Jużci i ja raz poszedłem po takiej krze, ale to szło o życie człowieka. Pani pułkownikowa z Zawisłocza już umierała i trza jej było przenieść lekarstwo. Pułkownik sam stał na brzegu z doktorem i błagali na klęczkach No, to się jakoś i przeszło. I chwała Bogu, bo zacna pani żyje sobie do dziś dnia, a jegomość sowicie mi się za to wypłacił. Bo to te wszystkie budynki, jak je tu widzisz, to z jego drzewa, a co Boże Narodzenie, to jak bułka za grosz, jest trzy korce żyta i trzy korce pszenicy, a to temu już tyle lat! jużby i dworskie grunta zasiadł tem zbożem, com go dostał z Zawisłocza.

Tak rozprawiwszy się z Wisłoką, której nie mógł nie oddać pierwszeństwa nad wszystkiem innem, począł się stary rozglądać po kraju rozłożonym po tamtej stronie rzeki. Nie było tam wiele widać, bo przeszkadzały lasy i góry, lecz stary Bernat, który znał każde drzewo na czyim stało gruncie, widział wiele, a więcej się jeszcze domyślał. Wszystkiego zaś domyślał się po łunach, rzucających coraz to krwawsze odblaski na niebo, i po dymach to wznoszących się w górę, to ścielących się ponad lasy. I wyliczał synowi, które z tych wsi już uległy zniszczeniu, które z nich już dogasały w pożarze, a nad któremi nowe podnosiły się łuny...

A tych nowych łun było coraz to więcej.

Powiat pilzneński, niegdyś tak bogaty i piękny, tak ludny w szlachtę najznamienitszej krwi w Polsce, tak ochoczy i żwawy podczas konfederacji Barskiej, owe dwory, pełne zamożności i cnoty,

owe murowane zameczki, modlące się Bogu w swojej skromnej powadze, owe starożytne siedziby Rychterów, Stojowskich, Boguszów, Bobrownickich i Rogalińskich, które od Zygmuntów i Jagiellonów do dnia dzisiejszego przechodziły spadkiem z ojców na synów, owe odwieczne po pradziadach pamiątki, bogate szable z pod Obertyna i Orszy, drogocenne namioty z pod Chocima i Wiednia, obrazy święte, Anioły stróże tych rodzin, wszystko to dzisiaj drapieżna podruzgotała ręka, spaliła domy do fundamentów i zmazała się krwią tych szlachetnych, którzy przez całe wieki własnemi piersiami ochraniali tę ziemię! Wszystko to poszło z dymem i śmiercią w wiekuistą zagładę. Pomiędzy popiołami na gruzach pozostała się czereda zbójów i gwałcicieli, obwijających swoje zbrodnicze członki w skrwawione złotogłowia i lamy...

Myślał nad tem poczciwy Bernat, kiwał głową boleśnie i mówił do syna:

— Tyle tam bogactwa marnieje! tacy to zacni panowie!

I syn jego zesmutniał przy tem — i tak obadwa stali w milczeniu, patrząc przed siebie i myśląc.

A wtem po drugiej stronie Wisłoki, ba, na samej Wisłoce, pokazał się jakiś człowiek, nietylko, o ile się zdało, nieznany, ale nawet dziwny cokolwiek. Był to jakiś smukły i cienki mężczyzna, miał zieloną kurtę na sobie, białą czapkę konfederatkę na głowie i wielkie buty powyżej kolan na nogach. Miał przytem dużą ładownicę skórzaną, pałasz i kordelas u boku, parę pistoletów za pasem i dubeltówkę w prawicy. Tak skoczył z tamtego brzegu na

krę płynącą, a podniósłszy strzelbę do góry dla utrzymania się w równowadze, skoczył potem na drugą, z tej na trzecią i czwartą i widocznie dążył, ażeby się dostać na brzeg przeciwległy, do starego Bernata,

Zobaczywszy go Bernat, złożył ręce z przestrachem i zawołał:

— Chryste Panie! miej-że go w swojej opiece!

Zaczem patrzył wytężonemi oczyma na każdą krę, na którą śmiały wędrowiec miał skoczyć, wskazywał mu ją rękami i pocił się biedak z niecierpliwości i trwogi, ażeby kra pod nim nie pękła, lub się nie przeważyła. Jeden skok taki niezręczny lub nieszczęśliwy, to była śmierć najpewniejsza, bo niktby go był z pod kry i bałwanów nie dostał.

Ale młodzieniec miał przytomność i zręczność. Zawsze spokojnie na krze jednej wytrzymał, póki nie opatrzył dokładnie tej, na którą miał skoczyć, a kiedy skoczył, zawsze trafił na środek i równowagę zachował. Tak już się przeprawił przez dwie trzecie części Wisłoki. Skoczył raz jeszcze szczęśliwie i drugi—lecz dalej przy samym brzegu była zatoka, właśnie w tem samem miejscu, gdzie dawniej był przejazd przez rzekę. Tu zataczały się kry wirem powolnym w zatokę i jedne z nich osiadały wprawdzie u brzegu, lecz za to drugie z tem większym pędem porywały rozhukane bałwany i czasem tylko je unosiły na środek rzeki, ale daleko częściej roztrzaskiwały w kawałki. O to też teraz chodziło, ażeby trafić na taką krę, która zawinie w zatokę i siądzie. Zdaje się, że wiedział o tem młodzieniec, bo się chwilkę zatrzymał i pilnie po

krach rozpatrywał. Upatrzył sobie jednę nareszcie i skoczył—ale najnieszczęśliwiej. Uderzona kra jego ciężarem, zanurzyła się najpierw cokolwiek w wodę, zaczem ją bałwan przesadził i porwał z sobą z gwałtownością piekielną; niósł ją tak jeszcze przez kilka kroków, ale niebawem uderzył o drugą i roztrzaskał w kawałki. Młodzieniec padł na wznak i runął jak kula pod wodę, tylko jego czapka splynęła.

Hej! trzeba było widzieć w tej chwili Bernata! — W imię Ojca i Syna! — zawołał, podniósł ręce do góry i rzucił się jak lew rozjuszony między mordercze bałwany. Ledwie można było przypuścić, żeby chciał wyratować rozbitka, trzeba prawie myśleć, że sam chciał zginąć, tak niepodobną była ta walka z rozhukanym żywiołem, tak niepodobny ratunek! Ale tam, gdzie chodziło o życie człowieka, nie było dla tego starca nic niepodobnem... Tak również myślał i nieodrodny syn jego. Jakoż w tem okamgnieniu porwał za wiosło, które leżało na brzegu i skoczył z nim na pomoc swojemu ojcu. Z tem wiosłem stanął on u brzegu w tem miejscu, gdzie Bernat skoczył do wody i jak najpilniej kry odpychał od brzegu. Odepchnął w ten moment jednę, odepchnął czemprędzej drugą, a nim trzecią odepchnął, jego ojciec już był z powrotem na brzegu. I wyniósł w swoich silnych ramionach młodzieńca i złożył go w bezpieczeństwie na ziemi. Odetchnął z głębi piersi stroskany Antek, otarł zimny pot z czoła i rzekł:

— Jakbyście powrócili z tamtego świata!

— Panu Bogu niech będzie chwała!—odpowie-

dział Bernat, zaczerpując powietrza — trudno było dać zginąć bliźniemu,

A już się wtedy zmierzchało. Zaczem Bernat natychmiast do rozbitka przystąpił i nachylił się nad nim, bo młodzieniec zdawał się być bez przytomności. Jakoż istotnie był on omdlały zupełnie. Młodziuteńka twarz jego była blada, jak ściana, oczy zamknięte, a na czole powyżej skroni miał ranę świeżą, z której krew się lała strumieniem. Lecz Bernat, nachyliwszy się nad nim, zamiast go trzeźwić w ten moment, uderzył w dłonie i zawołał:

— Matko moja najświętsza! toż to syn pułkownika z Zawisłocza! nasz ukochany Karolek! Paniczku mój!—wołał starzec w radości i wziął go napowrót w ramiona, ażeby nim potrząść i wodę żeń wylać.

Ale za teraźniejszem dotknięciem rybaka młodzieniec się zbudził natychmiast. Otworzył oczy i siadł, rozpatrując się ze zdziwieniem, co się z nim dzieje. Poczem głowę wsparł na ręce, jakby sobie musiał dopiero przypominać to wszystko, co się z nim stało. Wszakże przytknąwszy rękę do czoła, uczuł krew ciepłą, spojrzał na rękę skrwawioną, wzdrygnął się i zawołał:

— Krew! oni mnie tam ranili...

Wtedy Bernat siadł przy nim i jak mógł, tak go pocieszał. Zawiązał mu też zaraz ranę na głowie, a potem mówił:

— Bądźcie spokojni, paniczku. Jakoś to będzie powoli. Ani wam włos z głowy nie spadnie! tak mam w Bogu nadzieję. Ale cóż tam się dzieje na

waszym zamku? gdzie ojciec wasz a mój jegomość kochany?

Na to młodzieniec wpatrzył się w niego swemi wielkiemi, błękitnemi oczyma tak silnie, jakby obłąkania dostawał. Ale w ten moment łzy rzęsiste i duże wytrysnęły mu z oczu, zasłonił twarz obydwiema rękami i płakał głośno, jak dziecko...

Stary Bernat już się domyślił, co się tam stało na zamku. Zrobił krzyż święty na piersiach i zaczął zcicha szeptać modlitwę za dusze zmarłych.

Nim jeszcze starzec modlitwę skończył, młodzieniec się zerwał na równe nogi, wpatrzył się w przeciwległy brzeg rzeki i zawołał:

— Oni gonią za mną. Uciekajmy coprędzej!

Obadwaj rybacy spojrzeli także w tej chwili na tamten brzeg rzeki i w samej rzeczy zobaczyli tam teraz kilkudziesięciu ludzi. Przybiegli za młodzieńcem mordercy i stanąwszy nad brzegiem, wołali w niebogłosy w tę stronę.

— Hej! Bernacie! rybaku! a trzymaj tam dobrze tego ciaracha! Nazabijał on ludzi niemało! Zawieź go do Tarnowa, niechaj go tam obwiesząl...

Zawrzał gniewem poczciwy Bernat, zgrzytnął zębami i rzekł:

— Bodajże was pierwej powywieszano! — Ale chodźmy, paniczku, do chaty, bo niema się co tak bardzo pokazywać tym zbójom.

Jakoż go wziął natychmiast pod ramię i zaprowadził do siebie.

II.

Wieś Zawisłocze była to jedna z najpiękniejszych wsi, położonych po tamtej stronie rzeki. Sześćset morgów ornego pola, sto morgów łąk, około tysiąca morgów nietykanego lasu, sto dwadzieścia osad, a do tego stawy, młyny i propinacya — była to zawsze piękna szlachecka fortuna. Dziś, po nabytych doświadczeniach z postępem czasu, jesteśmy zdania, że każda wieś taka była podówczas państwem, na którem można było żyć wyśmienicie bez wielkiej pracy, co roku do wód zagranicznych wyjechać, co roku jakieś ulepszenia porobić i jeszcze pod koniec życia znaczne pozostawić zapasy. Ale podówczas mało kto wiedział o rzeczywistej wartości swego majątku — dowiedział się o niej dopiero teraz, kiedy mu z państwa, przynoszącego nieomylne dochody, pozostał nagi kawałek ziemi, z synekury warsztat rzemieślniczy, do którego trzeba umiejętności, pieniędzy i pracy, ażeby zeń chleb powszedni wydobyć.

Zawisłocze było od kilkuset lat w posiadaniu familii Karola. Była to starożytna szlachecka rodzina, która wprawdzie nie należała do tak zwanych dynastów, ale jej ilustracyi nie brakło. Było trzech kasztelanów w tym rodzie, jeden biskup przemyślski i dwóch starostów grodowych. Wszakże najczęściej bywali oni komisarzami do spraw kurlandzkich, gdańskich, toruńskich i tym podobnych, niemniej nadzwyczajnymi posłami do Tatar, Moskwy lub Turecczyzny, bo też przedewszystkiem innem służyli ojczyźnie wojskowo. Żołnierze, jak to niestety wiadomo, najlichszą w Polsce odbierali nagrodę — mieli tylko w tem swe ukontentowanie, że uczeni nie odbierali żadnej. Wolno im wszakże było odbierać nagrody z rąk sprawiedliwszej płci pięknej, jakoż tak zawsze czynili, że o ile nadszarpali swych fortun na wojnach, o tyle je potem naprawiali wianami. Tak i dziadowie Karola utrzymali się przy swych większych majątkach dopóty, dopóki miewali zawsze świeżą sławę wojenną i mogli ją potem zamieniać na wiana. Ale za czasu Augustów, czasu spokoju, już podupadli cokolwiek — podczas konfederacyi Barskiej, bijąc się na dwie strony, bo i z nieprzyjaciółmi kraju i z sąsiadami dysydentami, w których Pilznieńskie obfitowało, stracili dwie trzecie części swojej fortuny—i odtąd już nigdy się nie podnieśli. Pozostało im Zawisłocze i na niem tylko siedzieli.

Ojciec Karola, pan Kalasanty, już tylko podstolic Pilznieński, byłby niezawodnie podniósł sławę swego imienia, ale trafił na czasy najnieszczęśliwsze. Poszedł on torem swoich pradziadów! Zaczął swoją

praktykę w kawaleryi narodowej pod przewództwem Zajączka, a skończył ją pod Kościuszką. Nie można było piękniej w świat wstąpić i trza to przyznać, że nie można było lepiej tego wstąpienia uświetnić, jak to uczynił pan Kalasanty. Powrócił ze sławą i ze wspomnieniem miłości i szacunku u braci. Jednakże raz zacząwszy wojskową karyerę, nie mógł na tem poprzestać. W dwa lata potem wyjechał do Włoch, zaciągnął się do legionów i odtąd służył bez przerwy aż do Wiedeńskiego traktatu. Przeszedł potem w randze majora do wojska polskiego, a lubo dotychczas jeszcze nie osiągnął takiego stopnia, któryby był sprawiedliwą jego zasług nagrodą, jednak teraz otwierała się pora po temu. Inni to potrafili—ale on nie miał szczęścia do tego. W parę lat bowiem swej nowej służby znalazł się w położeniu postawienia oporu jednemu z najwyższych swych przełożonych, walka była nierówna, musiał służbę porzucić. Z żalem niezmiernym składał ten zacny człowiek i żołnierz zrodzony swój mundur wojskowy— byłby też może nawet tego nie przeżył, ale na jego szczęście, miłość przyszła mu w pomoc. Stojąc niedawno w Lubelskiem, poznał panienkę zacnego domu, zakochał się w niej i tylko dlatego tę miłość w sobie utłumił, iż mu się zdało, że dla żołnierza żona być może tylko ciężarem. Wystąpiwszy jednak z wojska, pobiegł zaraz w Lubelskie, wyspowiadał się ze swoich uczuć i powrócił z żoną do Zawisłocza. Tu każdemu zapewne się zdaje, że Zawisłocze wówczas w najgorszym znajdowało się stanie. Tak jednak nie było. Majątek ten był wprawdzie przez lat trzydzieści w dzierżawie, ale przez

piętnaście lat pierwszych trzymał go brat stryjeczny pana Kalasantego, a przez drugie piętnaście lat dziwnym zbiegiem okoliczności, trzymał go rodzony brat jego żony, pan Robert, który o miedzę miał wieś swoją własną i tutaj mieszkał od lat dwudziestu. Obadwaj ci dzierżawcy byli ludzie porządni i zacni— i tym sposobem się stało, że ojciec Karola odebrał majątek w stanie dobrym, a nawet można powiedzieć najlepszym. Przywiózł on oprócz tego posagiem żony dziesięć tysięcy czerwonych złotych, a to go znów postawiło w możności urządzenia się wedle woli i postawienia swojego domu na stopie takiej, jaka mu się zdawała być odpowiednią godności jego imienia. Było też w jego domu porządnie, zamożnie, a nawet dosyć wystawnie—było nawet i pięknie. Pan Kalasanty nie był wprawdzie umiejętnym rolnikiem, na płodozmianie się nie znał, nawozów sztucznych nie robił, nasion olejnych nie siewał, a nawet i w koniczynę nie wierzył, ale miał zdrowy sens w głowie i umiał rygor utrzymać pomiędzy ludźmi. Były to wtedy dwa najgłówniejsze przymioty dobrego gospodarza i były wystarczające. Niemi zaopatrzony, wymurował on odpowiednią gorzelnię, wysadzał dla niej po tysiąc korcy ziemniakow i na jej odwarach po sto dwadzieścia wołów wypasał. Ziemniaczyska zasiewał jęczmieniem, jęczmień na piwo przewarzał, a młótem karmił dojrzałe krowy jejmości. Pobudowawszy do tego młyny, zregulowawszy wyręby po lasach i wyciągnąwszy propinacyę jak kwintę, miał bardzo piękne dochody. I cieszył się tem zacny ojciec Karola i rozumiał o sobie, że jest jednym z najznamienitszych rolni-

ków — a nie wiedział tego nieborak, że był żadnym rolnikiem, że robił w roli najgorzej, że mimo gorzelni i browaru, daleko więcej wyczerpywał z tej roli aniżeli jej wracał, że nakoniec właściwie nie miał ani grosza dochodu z roli, tylko mając gotową pracę od stu dwudziestu kmieci, tę pracę jako tako w produkt pokupny zamieniał i jako tako sprzedawał. Lecz mniejsza o to na teraz. Umiał on bowiem przynajmniej tych dochodów przyzwoicie używać. Jakoż istotnie prowadził dom taki, który mógł za wzór służyć wszystkim sąsiadom.

W Zawisłoczu był stary zameczek. Pan Kalasanty jeszcze się w tym zameczku urodził i nawet trochę wychował, ale gdy dorósł, pozostały z tej starożytnej budowy tylko dwie baszty i jednopiętrowe pomiędzy niemi skrzydło. W tem skrzydle przemieszkał jeszcze pierwszy dzierżawca cały czas swojej dzierżawy, drugi nie potrzebował mieszkania i zostawił go pustką, pan Kalasanty zastał już tylko ruinę. Mimo to jednak, iż na początku swojego gospodarstwa potrzebował stawić gorzelnię i browar i dom mieszkalny, nie rozebrał tej starożytnej pamiątki, pełnej materyałów wybornych, tylko przeciwnie zrestaurował ją przynajmniej o tyle, ażeby mogła na długie lata zostać pamiątką. Do niej przymurował dom mieszkalny mniej więcej w tym samym stylu i tym sposobem urządził sobie bardzo poważną siedzibę, chociaż właściwie zupełnie nową, jednak przynajmniej bezpośrednio złączoną z siedzibami jego ojców i dziadów. I w tej starej siedzibie, chociaż po większej części była dziś przeznaczona na lamusy i magazyn, odnowił on jeszcze kilka ko-

mnat poważnych i zrestaurował galeryę zewnętrzną, na którą mając tam bezpośrednie przejście ze swego domu, wyprowadzał niejednokrotnie swych gości i pokazywał im wsie, pola i lasy, które niegdyś należały do Zawisłocza, Czynił to wszakże nadzwyczaj rzadko, bo chociaż nie był dumnym nad miarę, jednak go to bolało, że jego przodkowie kilkaset lat w takich dobrych czasach przeżyli, a zostawili mu tylko jednę wioskę górzystą. Ale się na nich nie skarżył, a wspomnienie o nich zawsze go raczej pobudzało do pokory, niż dumy. Z tej galeryi można było wejść ukrytemi drzwiczkami do baszty, w której znajdowały się schody, sprowadzające na dół do włoskiego ogrodu, pełnego rozmaitych wałów i szkarp, pełnego pysznych drzew starożytnych i starych powyszczerbianych alei; ten ogród zaś spuszczał się na dół i przytykał do lasu, a las rozciągał się aż do brzegów Wisłoki....

Mając tak piękne z Zawisłocza dochody, a do nich jeszcze i gotowiznę, pan Kalasanty prowadził dom bardzo gościnny, a nawet i okazały. Nie widział wcale, dlaczegoby miał sobie żałować. Przez pierwsze lata po ożenieniu nie było jakoś potomstwa. Gryzło to niepomału starożytnego szlachcica, zamyślał się wtedy, łzy mu stawały w oczach i mówił do siebie:—Żeby choć jedno chłopczysko! Więcej nie pragnę. Ale i to jakoś nie idzie!—Jednakże prędko się w tym frasunku pocieszał, a może tylko przez miłość dla żony udawał i wtedy mówił z westchnieniem:—Skończyło się na mnie. Ot! i tak dobrze. Nawet i lepiej... A więc hulajmy sobie, moja jejmość kochana, nie mamy, ktoby po nas dziedzi-

czył.—I otworzył wrota swojego domu na ścieżaj. Oczywista rzecz, że mu gości nie brakło. Gdzie była dobra kuchnia i dostateczna piwnica i gdzie tem obojgiem rozporządzał gospodarz, posiadający miłość i szacunek u braci, tam w owych czasach nigdy się nie trzeba było frasować o gości. Pan Kalasanty posiadał to wszystko troje w jak najlepszym gatunku. To też czy zimą, czy latem, w post i w zapusty, w dzień pogodny, czy słotny, zawsze u niego siadało po kilkanaście osób do stołu, zawsze bywało gwarno, huczno, wesoło, zawsze się zajmujące w noc późną przeciągały gawędy, a czasem nawet ich miejsce zajmowały muzyka, tańce i biesiady. Ojciec Karola miał wtedy wszystko, co do prowadzenia takiego domu potrzebne. Utrzymywał na swoim dworze gmach służby, trzymał nawet kilku kozaków do ustawicznych posyłek, zaopatrywał śpiżarnię sowicie i co roku sam jeździł na winobranie do Węgier, zkąd zawsze dwie bryki ładowne przyprowadzał ze sobą. Był nawet w jego domu pewien ton jakiś, który o cokolwiek przenosił zwyczajny nastrój innych domów szlacheckich. I tak znajdował się u niego jakiś *quasi* marszałek dworu, było zawsze kilku rezydentów i rezydentek, liczna służba domowa nosiła barwę herbowną, była jakaś kapela nadworna, pani miała swe ekwipaże osobne, pan trzymał koni dla siebie bez liku i zresztą był we wszystkiem ten ład, ten rygor żelazny, ta służbistość dokładna i nagła, którą się dzisiaj spotyka tylko po wielkich i od lat wielu trwających dworach. Była tedy już dlatego samego na jego dworze jakaś pewna wystawność, niekoniecznie błyszcząca nowiu-

leńkiemi świecidełkami, ale zato imponująca powagą. Pan Kalasanty lubił zresztą wystawność. Jego żona nie jeździła nigdy inaczej, jak ogromną herbowną karetą i poczwórnym cugiem anglezowanych fryzów, on sam jak żyw nigdy nie siedział na bryczce—a kiedy jechał w odwiedziny do księcia, bawiącego czasami w Tarnowie, którego razem ze wszystką szlachtą wielkim był wielbicielem, to szły przynajmniej trzy poczwórne powozy w otoczeniu kilku kozaków. Odwiedziny takie były dla niego największem świętem, tak on cenił wysoko i tak kochał serdecznie tego znamienitego reprezentanta dostojnej rodziny Sanguszków, w czem zresztą nie różnił się wcale od całej szlachty tarnowskiej, a nawet od całego narodu;—jakoż gdy wrócił z takich odwiedzin do domu, bywał w złotym humorze, co moment coś opowiadał o księciu i mówił:—Otóż to mi pan całą gębą. Pan tam, gdzie trzeba, a zresztą szlachcic taki, jak inni. Takich mi dajcie a więcej, a wtedy... Ale tu nagle ucinał i kończył ze smutkiem:—Ale to próżna! polutrzyło się to wszystko do niepoznania i zaprzedało dyabłu duszę na zawsze.— Tak prawie wszystkie swoje refleksye kończył zwykle z goryczą—a lubo zresztą zazwyczaj niby wesoły miał humor, często nawet był pełen figlów i żartów; jednak ta gorycz przebijała się zawsze w jego rozmowach i była na dnie jego pogodnej duszy, jak czarna chmura, zasłoniona jasnemi promieniami słońca. Czasem nawet ta gorycz objawiała się jeszcze daleko wybitniej natenczas, kiedy mu przyszło wspomnieć o ludziach, którzy w najświeższych czasach dorobili się fortun świeżutkich i jeszcze śwież-

szych zaszczytów. Wtedy ojciec Karola nie mógł wcale ukoić swej żółci. Kozłem jego ofiarnym był zazwyczaj jego najbliższy sąsiad z za rzeki, pan Bernata i starego przewozu, wspomniany już powyżej szambelan. Tego człowieka nie mógł on strawić na żaden sposób, wywlekał go zawsze przed siebie i mówił:—Albo ot! jak ten panicz za rzeką! Wiercipięta, szacherek, europejczyk! Nie wiem sam, komu dziad jego lulki nakładał, a on już na sejmy jeździ, francuszczyzną zaplata, o małej szlachcie rozprawia! Mundurki nosi, w szklanej karecie się wozi—a sam o tem nie wie, że wygląda jak małpa w drucianej klatce, którą we frak czerwony ubiorą, ażeby sztuki wyprawiała przed gminem! Tak mówił także o innych, jemu podobnych. Były to wszakże chwile, w których starzejący się major złośliwego człowieka raczej udawał, aniżeli nim był wistocie. Był on bowiem tak dobrym, a nawet i dobrotliwym do tego stopnia, że gdyby tenże sam szambelan, którego tak nienawidził, był podupadł przypadkiem i przyszedł go prosić o pomoc, to byłby był pewnie połę uciął od swojej granatowej czamary, a nie odtrącił od siebie. Takim był także i względem wszystkich. Nigdy tam nikt od niego nie odszedł nie otrzymawszy zawezwanej pomocy, a wiele wsparcia udzielał bez zawezwania, wielu ludzi ubogich się przeżywiło na jego dworze, wiele sierot się wychowało pod opieką jejmości, tegoby nikt nie przeliczył. Był przecież przytem ojciec Karola tyle rozumnym i doświadczonym, iż mimo swojej dobrotliwości, nie dał się tak łatwo odrwiwać i jak to często bywa z takimi ludźmi, nie stał się bankierem

oszustów — znał on się dobrze na ludziach i umiał im także odmawiać—a tym sposobem, jak z jednej strony zyskiwał sobie miłość serdeczną u ludzi, tak znowu z drugiej umiał utrzymać się we czci i poważaniu.

Dziwnie strojnie i pracowicie dopomagała mu w tem wszystkiem jego ukochana małżonka. Jak on był wysoki wzrostem, barczysty, silny, potężny, tak ona znowu była malutka, szczupłutka, chuda i prawie niewidzialna przy jego boku. Ale widzialnym był błogi jej wpływ tak na niego, jak na cały porządek domowy. Żołnierz od dziecka, który całą swą młodość, bal i połowę męzkiego wieku przepędził między obozowem ogniskiem a hulaszczym spoczynkiem po miastach, trochę birbant za młodu, trochę libertyn, a zresztą nigdy nie dbający o jutro, człowiek taki, kiedy raz się rozhulał, kto wie do jakich przyprowadzić mógł rezultatów i w jakie popaść ostateczności. Ale miał on w swej żonie nieodstępnego anioła-stróża. Ona to swoim łagodnym wpływem, swoją roztropnością pełną pogody, religijnością swoich przekonań, a zresztą swoją powagą, którą mimo swego maleństwa, umiała zawsze i wszędzie utrzymać, ułagodziła znacznie ten umysł, częstokroć szorstki i lekkomyślny; ona uszlachetniła mu serce, ona go nauczyła poznawać, gdzie wesołość, serdeczność i dobrotliwość winny mieć swoje granice, czem się zyskuje miłość, a przez co traci powaga, co się winno swym przyjaciołom, a co sobie samemu. Z jej to może przyczyny ton ich domu nastroił się trochę wyżej nad inne domy szlacheckie—lecz niezawodnie z jej także przyczyny roz-

chodziły się z tego domu, jako piękny przykład dla innych, poszanowanie i cześć dla przeszłości, zamiłowanie w rzeczach ojczystych, pociąg do czytania ksiąg polskich, odpowiednia powaga i godność w zachowaniu się względem nieszczęśliwych okoliczności ogólnych i znoszeniu dolegliwości bieżących. Tak ożywiwszy swoim duchem szlachetnym dom cały i nastroiwszy pomału swojego męża do tego tonu, daleką była od tego, ażeby z tej swojej przewagi wyzyskiwać korzyści dla siebie — nigdy jej na myśl nie przyszło zdobywać sobie trwałą przewagę nad mężem — naprawiła w nim, co było do naprawienia i nie dawszy mu nawet poznać, że kiedykolwiek była jego mistrzynią, poddała mu się zupełnie i była tylko aniołem-stróżem jego uczuć, myśli i czynów. I tak niebawem ustaliła się między niemi owa nieporównana harmonia, w której mąż głosem przeważnym rej prowadził we wszystkiem, a żona wtórowała mu wiernie i dźwięcznie, dodając tylko jego donośnym tonom słodyczy, miękkości, kwiecistości i blasku. Błogosławione takie małżeństwo, któremu Pan Bóg dozwolił takiego szczęścia dostąpić.

Jakoż istotnie w kilka lat takiego pożycia pobłogosławił Pan Bóg to szczęśliwe małżeństwo Dzieciątko małe zakwiliło w kołysce—urodził się im synek prześliczny. Ile tam było szczęścia, ile pociechy, ile radości, nie potrzeba powiadać. Pan Kalasanty, w szale nieznanej dotąd ojcowskiej miłości, wyprawił chrzciny tak sute, że o kilka mil w koło sprosił szlachtę do siebie, biesiadował z nimi przez cały tydzień i wypróżnił całą piwnicę. Dopiero,

kiedy ostatnia pękła butelka, ostatni gość odjechał z przed ganku...

Była to wszakże ostatnia feta na jego dworze. Od tego czasu bowiem pan Kalasanty, o ile bliższym węzłem związał się ze swoją żoną, o tyle stawał się stateczniejszym. Przesiadywał całe godziny przy kolebce Karola, patrzył w anielską twarz jego, myślał o jego przyszłości i mówił często do żony: — Mamy syna, moja gołąbko, mamy już obowiązki, trzeba się ustatkować.

Nie było nic więcej po myśli matce dziecięcia, jak ten zamiar jej męża. Wzmacniała też go w nim ile możności. Mówiła mu, że czasy dziś trudne, że się zbliża wiek nowego w świecie porządku, że w tym wieku straci zupełnie znaczenie blask dziedzicznego imienia, że może nawet cnoty zaprzestaną popłacać, a kto nie będzie miał odpowiedniej swoim ambicyom fortuny, ten może nigdy tych ambicyi nie zadowoli. Ich syn powinien mieć i te i owe ambicye, powinien mieć nawet pretensye, ma do nich prawo po swoich ojcach i dziadach — trzeba zatem przed wszystkiem innem postawić go w możności pokuszenia się o te pretensye. Trzeba mu tedy dać wychowanie staranne, pracowite, nawet kosztowne, lecz trzeba także pamiętać o tem, ażeby mu odpowiednią pozostawić fortunę. Ma ten ród z woli Bożej istnieć i dalej, to niech istnieje w takiem samem znaczeniu, jak dotąd — a miałby się zniżyć i pójść w poniewierkę, to niechaj raczej całkiem istnieć przestanie... Zgodził się na to mąż jaknajzupełniej— i odtąd miała być przedewszystkiem zaprowadzona oszczędność w ich domu. Jakoż istotnie od tego

czasu zaczęło z każdym dniem coraz mniej gości bywać w ich dworze, zmniejszono o troszeczkę służbę domową, zredukowano ilość stajennych koni, a pan Kalasanty zaczął czytać książki o wychowaniu i rozmawiać o tym przedmiocie z poważnymi sąsiady.

Tak minęło lat kilka we wzrastającej powadze i ciszy—stary żołnierz jej nie przerywał, bo już takie było postanowienie — ale trudno tego zataić, że mu takie życie nie smakowało. Kochał żonę i dziecko z całego serca, bawił się z niemi po kilka godzin serdecznie, przez drugie kilka godzin bawił się gospodarstwem, ale zresztą nudził się nieraz do mdłości i powiedział swojemu dawnemu wachmistrzowi w sekrecie:—Miłe to życie w domku swym własnym, przy kochającej żonie, przy ukochanem dziecięciu, to bardzo miło; ale... przecież to niema jak koń i kulbaka!

Jakoż, gdy wojna wybuchnęła owego czasu, pan Kalasanty ani na łzy żony, ani na płacz dziecięcia nie zważał, tylko dmuchnął za Wisłę, jakby go nigdy nie było... W rok potem wrócił—i przywiózł wprawdzie tytuł pułkownika ze sobą, ale nie można powiedzieć, ażeby mu ten tytuł przyniósł jakąkolwiek pociechę. Z tytułem bowiem przywiózł on jakąś gorycz, jakąś boleść tak ciężką ze sobą, że mimo najlepszej chęci, nie mógł jej w sobie przetrawić. Bardzo smutne było usposobienie pana Kalasantego. Uważała to żona i bardzo się tem martwiła. Teraz, kiedy ich synek coraz to żwawiej podrastał, kiedy się trzeba było nim coraz więcej zajmować, kiedy najskrzętniej trzeba było myśleć o przy-

sparzaniu fortuny, właśnie teraz jej mąż zaczął upadać, opuszczać ręce i zapominać o wszystkiem. Usiłowała ona wyrobic w nim rezygnacyę poważną, usiłowała go natchnąć energią, obudzić w nim nowe zajęcie się życiem, jeżeli już nie dla siebie, to przynajmniej dla syna. Ale było to prawie naprożno. Żelazny ten mąż wobec bagnetów i armat, słabym był wobec straconych nadziei. Jego czas już przeminął, rola się jego skończyła—żył jeszcze ciałem, ale duszą już umarł. Tak poszedł i on między te dziwne utwory losów przeciwnych, pomiędzy te straszliwe ofiary półśmierci — powiększył sobą liczbę niepogrzebanych umarłych...

Wszystkiem też odtąd zajmował się tylko na poły, wypełniał wprawdzie swe obowiązki, lecz machinalnie. Pilnował gospodarstwa, ale tylko o tyle, ażeby nie podupadło zupełnie; zajmował się wychowaniem swojego syna, lecz sam nie wiedział, jakby miał sobie przytem poczynać. W długich ze swoją żoną rozmowach o tem, wypowiadał niejednokrotnie bardzo rozumne zdania, ale najczęściej kończył rozpaczą i mówił:—Najlepiejbyśmy się przysłużyli naszemu synowi, gdybyśmy go tak wychowywali, żeby się stał handlarzem na wielką skalę: zdobędzie sobie ogromne skarby, przyjdzie do wielkich zaszczytów i nawet nie obruszy się na to jego sumienie. Zabić dziś w dziecku sumienie, to najpewniejszy warunek szczęścia dla niego.

Okropna to filozofia—wypowiedzieć ją choćby żartem, może tylko rozpacz ostatnia. Rozumiała to przecież pani pułkownikowa i tylko litowała się nad swym mężem, a zresztą nie zwracała na to

uwagi. Była ona sama i zdań i usposobień jaknajzupełniej przeciwnych. Była kobietą. Mężczyzna, który przez całe życie żył i zajmował się tylko losami całego narodu, kiedy go te losy zawiodły i rzuciły na ziemię, skończył już swoją karyerę, już mu natenczas niepodobna obracać się w kółkach maleńkich, kiedy jego całe życie obracało się w kole tak wielkiem. Za nic mu wtedy wszystkie pomniejsze widoki, za nic szczęście domowe, za nic los własnej rodziny; on sam jest niczem w swych oczach, bo nie wie, po co ma jeszcze żyć na tym świecie. Nie tak wszakże kobieta. Kobieta, mimo daleko większej skłonności do ideałów, przecież w istocie rzeczy o wiele praktyczniejszą jest w życiu. Nie obejmuje ona nigdy tak obszernych planów swem sercem, a chociaż je kiedy obejmie, to nigdy do ich ziszczenia tak gorąco się nie przywiąże, ażeby doświadczywszy zawodu, nie umiała go przenieść na sobie. Zniesie go zawsze i z wysokości swoich zawodnych myśli zawsze potrafi zstąpić w sferę ciaśniejszą. I w każdej sferze potrafi żyć jeszcze dalej i dalej, bo myśl jej wiecznie tylko dąży ku temu, ażeby mogła być pożyteczną. I dopóki tylko jest w stanie, bez względu na stokroć miane i stokroć utracone nadzieje, nie opuszcza swoich rąk pracowitych, nie poddaje się żadnej rozpaczy, nie porzuca nawet nadziei. Znamy kobiety, które wybiegały z szablą w ręku na pole i bezwątpienia marzyły o urzeczywistnieniu przez siebie nowej ery dla świata; upadły i potem skubały szarpie i pielęgnowały ranionych. Wróciły do domu, wychowywały dzieci i zaopatrywały śpiżarnię. Kobieta jest

to niespracowana mróweczka, nie znająca nigdy spoczynku i nie gardząca żadnem zajęciem. Probuje ona czasem podnieść kłodę ogromną, potem cokolwiek mniejszą i jeszcze mniejszą; ale nakoniec nosi maleńkie słomki i szpilki szyszek z takim samym zapałem, jak gdyby burzyła światy i budowała nowe w ich miejsce. Kobieta powinna być pod tym względem wzorem dla mężczyzn.

Taką też była pułkownikowa. Widząc, że mąż jej opuścił ręce, ona ich nie opuściła tembardziej. Zajmowała się skrzętnie gospodarstwem domowem, wglądała często w sprawy ważniejsze, a przedewszystkiem oddawała się pilnie wychowaniu dziecięcia.

Karolek był wychowywany nadzwyczajnie starannie. Do małego dzieciątka sprowadzono jednę bonę Francuzkę, drugą Angielkę, a jak tylko podrosło cokolwiek, przyjęto nauczyciela, sprowadzonego także z niemałemi zachody. Pułkownik sam, będąc czasu wojny w Warszawie, poszedł pomiędzy tamtejszych uczonych i prosił ich o wybór takiego człowieka. Wybrano mu go i przedstawiono—nie były to czasy do uskutecznienia tego zamiaru bez zwłoki—ale zato po wojnie dał się uskutecznić ten zamiar, z wielkiemi wprawdzie kłopotami dla pułkownika, ale za to z tem większem zadowoleniem dla nauczyciela.

Z tego nauczyciela byli oboje pułkownikowstwo niekontenci cokolwiek, bo był to człowiek, który częstokroć takie objawiał zdania i takie wypowiadał zasady, że ich obojga dreszcz przejmował. Co czasem mówił o szlachcie, o jej moralnym upadku,

o niepojmowaniu przez nią ducha czasu, a ztąd o przyszłości gotującej się dla niej, tegoby się był nie powstydził i najzagorzalszy demagog. Przypatrywała mu się za to przez złotą lornetkę matka Karola i nie mogła mu się napatrzeć—lecz sam pułkownik czasem się tak niecierpliwił, że się porywał z miejsca jak zwierz raniony i wołał: — A waćpan co powiedziałeś, mościpanie Skiba?—Poczem stał, patrzył na niego zmrużonemi oczyma i dodawał mrukliwie:—Nie darmo mnie ostrzegano, że waćpan także do Honoratki zaglądał.—Po takiej scenie zachodził zwykle pułkownik do pokoju swej żony i mówił w tej alteracyi: — Trzeba będzie, moja gołąbko, pozbyć się tego pana nauczyciela, bo nam napoi Karolka takiemi zasadami, że go na dziwoląga wystrychnie.—I ja jestem tego samego zdania — odpowiadała pułkownikowa—i myślę o tem oddawna. Żeby się tylko trafił jaki inny na jego miejsce!—I tak oboje rodzice ciągle myśleli o tem, ale nigdy nie przychodziło do tego. Przy ich usposobieniach, usposobieniach ludzkich, zwyczajnych, nie mogło nawet przyjść kiedykolwiek do tego. Nauczyciel ten bowiem miał tylko tę jednę wadę, że wyznawał niektóre ogólne zasady takie, które się nie podobały rodzicom—a natomiast miał tyle cnót rozmaitych, cnót szczególnych, codzienne przynoszących owoce, a ztąd co chwila widzialnych, że wobec nich zawsze znikała owa jedyna wada, której ci ludzie, niezbyt daleko sięgający swym wzrokiem, nawet właściwie nie umieli ocenić. Jakoż w samej istocie był to człowiek pod wielu względami dość niezwyczajny.

Pan Skiba był mały wzrostem, chudy niezmiernie i może nie ułomny z natury, lecz od ciągłego garbienia się nad księgami tak przygarbiony, że jak ułomny wyglądał. Nie miał może podówczas więcej jak lat dwadzieścia siedem lub osiem, ale nie było na nim już ani śladu młodości. Przeciwnie, twarz jego zżółkła, wybladłe usta, wzrok zmęczony i krótki i widoczna siwizna, przedstawiały go starszym o drugie tyle. Jego wiekuisty fraczek czarny, lub granatowy, krótkie pantaloniki, kaszkiecik tkany z włosienia, tabakierka i chustka kraciasta w lewej, a w prawej ogromna trzcina czerwona, były niejednokrotnie dziwowiskiem dla elegantów—jego roztargnienie sławne na całą okolicę i równie sławna niezaradność w zwyczajnem życiu, robiły go czasem i śmiesznym. Tak wyglądał nauczyciel Karola zewnętrznie, lecz wcale innym był w rzeczywistości. Skłonny do wszelkich idealnych uniesień, pełen uczucia dla wszystkiego, co wzniosłe i piękne, lubo wrzekomo tylko jak płazik pełzał po ziemi, latał wistocie jak ptak zuchwały po wymarzonych przez siebie światach. I zarówno mu było—czy to w odbudowanych w swej wyobraźni dziejach zamierzchłych Egiptu, czy w pełnych poezyi krainach Grecyi, czy w orężnych czasach średniowiecznego rycerstwa, czy w błędnem kole owoczesnych prac naukowych, czy między niestałemi siedzibami pierwotnych Słowian, czy w wyśnionym przez siebie świecie gmino-władnych rzeczypospolitych — wszędzie zarówno umiał się znaleźć, wszędzie swobodnie sterować dzielnemi skrzydły swojego ducha i wszędzie znaleźć nową rozkosz dla niego. Podówczas najwięcej znajdował rozkoszy dla

siebie w gmino-władnej rzeczypospolitej—i za to, jak się wspomniało powyżej, nie lubili go rodzice Karola. Ale Skiba nie zawsze latał tak po powietrzu; najczęściej siedział nad staremi księgami, któremi napchana była cała baszta starego zamku i nawet z nich bardzo piękną bibliotekę ułożył. Za to już go rodzice lubili; lecz jeszcze daleko więcej za to, że był niezmiernie cichym a pracowitym i pilnym, jak Benedyktyn ze średnich wieków. Godzin swoich pilnował daleko lepiej, niż stary zegar w sali jadalnej, łagodnym był przy nauce, jak baranek, a cierpliwym jak mrówka. Sto razy powtórzyć jedno swemu uczniowi, sto sposobów wynaleźć, ażeby mu trafić do przekonania, było u niego rzeczą zwyczajną; nie rozgniewać się nigdy, nigdy się nie zachmurzyć, a zawsze wynagrodzić za pilność, było jego zasadą. Był przytem równie dobrym dla wszystkich, miłosiernym do tego stopnia, że sam był wiekuiście bez grosza, choć był nieźle płaconym; był niewzruszenie poczciwym, czasem szlachetnym, wprawdzie nieraz kapryśnym, albo upartym, lecz mimo to, zdawał się mieć pewny i wyrobiony charakter. Prócz tego posiadał on i rzetelną naukę; mimo skłonności do mrzonek i ideałów, gdzie chodziło o fakta, był nadzwyczajnie gruntownym; znał wiele starożytnych języków i prawie wszystkie europejskie, żyjące, a lubo nie wszystkiemi mógł mówić płynnie, znał je tak dobrze, że nad czem zająknęły się bony, to się zawsze znalazło u niego. Nad to wszystko, był on jeszcze tak przywiązanym do domu rodziców Karola, jakby do rodziny należał, a ucznia swego tak serdecznie ukochał, że oka z niego nie spuścił: ze

zdrowym bił się w palcaty, zbierał kwiatki po łąkach i wiązał równianki dla matki; nad łóżeczkiem chorego czuwał po całych nocach. Takiego człowieka nie mogli oddalić rodzice; nie dozwalało im tego ich serce, nie zniosłoby było sumienie...

Jakoż ich syn nietylko się pod okiem tego nauczyciela wychował do lat szesnastu, ale gdy pod tę porę uznano za rzecz najlepszą wysłać go na naukę do Lwowa, to go wysłano razem ze Skibą.

W roku 1845 w jesieni obaj wrócili: Skiba jeszcze daleko siwszym i jeszcze więcej zgarbionym— Karol dorosłym i na pociechę rodziców bardzo pięknym młodzieńcem. Skiba powrócił do swojej baszty i zasiadł tam znowu nad swojemi księgami — Karol został przy rodzicach, do dalszego namysłu.

Z wielką ciekawością przypatrywali się oboje rodzice synowi, który teraz już miał to wszystko, co na człowieka potrzeba. Matka widziała w nim wszystko najlepsze—i ojciec także nie inaczej rozumiał, z tą tylko małą różnicą, iż mu się zdawało, że Karol pod względem pewnych zdań i opinii już teraz miał zupełnie tak samo usposobioną głowę, jak Skiba. Zaniepokoił się tem zacny pułkownik i badał go coraz ciekawiej.

— Szlachta zgubiła Polskę!—powiadał groźnie młodzieniec—szlachta już niema żadnej przyszłości i nie powinna mieć żadnej. *Delenda est haec Carthago!* Zrywał się na to stary karmazyn, jak oparzony, cofał się w kąt i załamywał ręce przed sobą.

— Ale mój Karoleczku—powiadał potem, wychodząc z kąta — powiedzże mi z swej łaski, któż

miał zgubić tę Polskę, kiedy już miała być zgubioną? Trudnoż ją miał lud zgubić, kiedy był martwą brylą i nie miał w niczem żadnego głosu?

— To tem gorzej dla szlachty! — odpowiadał młodzieniec — to jest właśnie jej winą! to jest występkiem nigdy nieodpuszczonym! to nawet jest zbrodnią, wołającą o pomstę do nieba.

— Jeszcze o pomstę?!—jęknął sędziwy starzec z boleścią.—Ale mój Karoleczku, przecież ty jesteś także szlachcicem.

— Jestem — odpowiedział gorączkowo młodzieniec — ale się wstydzę tego, że nim jestem! Dałbym niezmiernie wiele za to, gdybym nim nie był!

Na to już tylko łzy stanęły w oczach starcowi, przystąpił do syna, ścisnął go za ramię i rzekł z pokorą:

— Przepraszam cię, moje dziecko, że jestem twym ojcem... Ale bądź mi spokojnym, to już nie długo.

Nie wiemy, co się po tych słowach działo synowi. Ojciec wyszedł ze łzami w oczach do przyległej komnaty.—I odtąd nigdy już o tem z nim nie rozmawiał. Jeżeli miał jaką zgryzotę, to ją zgryzł w sobie i tłumił. Był wprawdzie od tego czasu smutnym, ponurym i bardzo mało mówiącym—czasem, kiedy patrzał na syna, dziwnie głęboka boleść malowała się na jego twarzy—ale kiedy się spostrzegł, to ją ukrył jaknajstaranniej i nigdy nie dał widzieć po sobie. Owszem, przeciwnie, bywał wesołym przy synie, wdrażał go zwolna w cały stan interesów, oddawał mu je koleją i mówił, że z wio-

sną wszystko mu odda w całości. Biedny, szlachetny starzec! Szlachetnym był nawet w swojej najgłębszej boleści, szlachetnym w najdrażliwszej dla siebie sprawie, szlachetnym do ostatniego oddechu.

Tak minęła reszta jesieni i wreszcie zima nasza. Z zimą zaczęły się pomału rozchodzić owe burzliwe, zatrważające wieści, o których się wspomniało powyżej. Karol był temi wieściami nadzwyczajnie zajęty, często wyjeżdżał z domu, nie powiadał nigdy, gdzie bywał, a kiedy wrócił, długie miewał ze Skibą narady. Od czasu do czasu pokazywały się jakieś osobliwsze figury na zamku, nigdy dotąd niewidywane, przez nikogo nieznane, które przyjeżdżały Karola odwiedzać. Panowie ci zwykle tylko krótką chwileczkę na pokojach bawili, poczem śpiesznie się wynosili do starego zamczyska i tam, albo w wielkiej komnacie, obwieszonej staremi obrazy, albo w zbrojowni, albo w komnatce Skiby długie w noc późną wiedli rozhowory. Czasem nawet nikt nie zajechał widomie do dworu, a pomimo to Karol przysyłał służącego do matki, prosząc ją, aby do komnat zamkowych przysłała wieczerzę dla osób sześciu, ośmiu, albo dwunastu. Rozpytywany przez pułkownika służący, opowiadał, że tam, w górnych pokojach, było gości bez końca. Oczywiście, ci goście przychodzili pieszo przez ogród, wślizgiwali się przez owe wschodki kręcone do baszty i tak samo potem znikali...

— Za szpiega mnie mają — powtarzał sobie z przytłumioną boleścią staruszek — mnie, który ży-

cie strawilem na usługach ojczyzny. O Boże wielki! cóż to za czasów dałeś mi dożyć!...

Ale przed synem milczał. A natomiast wybrał się do Krakowa i bez zwłoki wyjechał. W parę dni wrócił — i wrócił dziwnie wesołym. Śmiał się, rozprawiał huczno i butno, pił stare wino, i znowu się śmiał i rozprawiał. Dość, że szalona to była wesołość, wesołość taka, jaką tylko rozpacz sprowadzić może...

Widział to Karol i patrzył z niedowierzaniem na ojca. Chciał go pytać o powody tej wesołości, a nie śmiał, chciał go zrozumieć przeczuciem, a nie mógł. Było już wtedy pomiędzy nimi nieporozumienie gruntowne—ojciec i syn byli sobie obcy zupełnie—nie było pomiędzy nimi ani jednej nitki wiążącej. Byli obaj jak dwie planety, które krążą około tej samej sfery i widzą siebie nawzajem, ale nie dotkną się nigdy...

Czuł to w swem sercu syn, lecz zdało mu się, że tak być musi. Był pod tym względem nielitościwym, jak duch czasu, jak nowa idea wchodząca w życie. Czuł to i ojciec, lecz ten był litościwszym od syna. Jakoż starał się to ile możności naprawić. Wkrótce też po powrócie swoim z Krakowa wziął go za rękę, posadził przy sobie i rzekł mu wesoło i dobrotliwie:

— A waćpanowie coś tam robicie a kryjecie się z waszą robotą przedemną.. —Spłonił się Karol, a starzec mówił dalej:

— A ja przecież wiem, o co chodzi. Powiedziano mi to w Krakowie. No, i więcej ci powiem: ja tego nawet nie ganię...

Syn patrzył ze zdziwieniem na ojca.

— Głupstwo to będzie—ciągnął po wypoczynku staruszek — głupstwo wierutne, głupstwo, jakiego jeszcze nie było na świecie; ale... ale wiesz co, bywają głupstwa, które niekoniecznie złe rzeczy przynoszą w skutkach. Upić się aż do stracenia przytomności, to także głupstwo, a przecież upicie się takie od czasu do czasu pomaga zdrowiu...

— Ej! nie głupstwo to będzie, mój ojcze — rzekł na to śmielej młodzieniec — bo to cały lud rolny....

— Ale co mi waść gadasz!—zawołał na to starzec z energią—głupstwo wierutne! Daj-no mi takich sto koni, jakie ongi miewałem, sto tylko, rozumiesz mnie waść, młokosie! a ja ci pokażę, co ten wasz lud wart jest w takich imprezach! Na sieczkę go zerznę, w błoto zadepczę, razem z takimi komendantami, jak ty i twój Skiba!... Rozumiesz wasze? ty malec jesteś, a tamto błazen, niech kichnę tylko, to z was ani ślad nie zostanie!

To rzekłszy, przechadzał się prędkim krokiem po komnacie, sapiąc mocno, wąs gryząc i spoglądając z pod oka na syna. Syn stał jak wmurowany. Wysapał się przecież staruszek i znów złagodniał, zaczem przystąpił do niego i położywszy mu rękę na ramieniu, rzekł dobrotliwie:

— No, ale mimo to i ja nie od tego. Pójdziesz ty i ja pójdę, nie puszczę cię przecież samego. Tylko to mi wiedz, proszę, że komendy żadnej nie przyjmę, w szeregu stanę, jeżeli między tem tałałajstwem będą jakie szeregi!

Na tem skończył staruszek i wyszedł. Zdzi-

wiony Karol sam nie wiedział, co myśleć. I myślał sobie w swojej zbałamuconej głowie: albo to podstęp jest jakiś, albo... albo co to takiego?

Ale tymczasem staruszek zaczął myślec na seryo o swem przedsięwzięciu. Zajął się bronią, kazał ją czyścić i opatrywać. Wybrał dla siebie konia, ostrzelał go i jeździł na nim co dzień po dwie godziny. Wybrał drugiego konia dla syna, kazał mu jeździć przy sobie i uczył rozmaitych obrotów. W parę tygodni potem namówił żonę, ażeby wyjechała na jakiś czas z domu i wyprawił ją do Krakowa z całym dworem kobiecym i wszystkiemi kosztownościami.. Widział tedy Karol dowodnie, że ojciec wcale z tem nie żartuje. I kontent wreszcie był z tego, rozmawiał wiele ze staruszkiem, a nawet zaczął zbliżać się sercem do niego. Nie mogąc przecież zrozumieć tego, dlaczego ojciec, który z przekonania i z serca jest tym wojennym zamiarom przeciwny, sam przecież chce w nich wziąć udział, badał go pod tym względem jak najciekawiej. Ale staruszek odpowiedź wymijał i składał się raz tem, drugi raz owem. Nie mogąc zresztą tak łatwo pozbyć upartego natrętą, udawał przed nim najczęściej, że sam w to wierzy i ma jak najlepsze nadzieje. I uwierzył temu młodzieniec, bo i czemużby niemiał uwierzyć? Zdawało mu się to tak naturalnem, tak prostem, jak każda prawda codzienna. Aż dopiero ostatniej nocy prawda się przed nim wykryła...

Było to dnia 18 lutego zaraz z północy. Dnia tego mieli oni jeszcze na czas przed świtem wyruszać i z tego powodu już po północy byli obaj

gotowi. W sali jadalnej na wielkim stole paliła się lampa oliwna, Karol stał przy niej i pistolety nabijał, Skiba chodził wielkiemi krokami popod ścianą podłużną, a staruszek siedział na sofie, głowę oparł na dłoni i jakoś smutno był zamyślony. Z początku Karol rozmawiał ze Skibą, który dziwnie się tem niepokoił, że inni idą, a on jak baba na gospodarstwie zostaje.

— Hm! — mówił Skiba, zażywając potężnie tabakę — wprawdzie ja nie tak bardzo zdolny do szabli, na koniu także jeździć nie umiem, lichoby było ze mną na wojnie... No, ale jakże mi zostać w domu? co na to powiedzą ludzie? co świat na to powie?...

Spojrzał pułkownik z pod oka na frasującego się Skibę i rzekł:

— Już to, że tęgich macie dziś ludzi, o tem niema co mówić. Przypatrzywszy się twórcom tej sprawy, nie trudno zgadnąć, jaki koniec jej będzie.

Spojrzał znów teraz Karol na ojca i zdaje się, że się tą uwagą obraził, bo zaraz rzekł:

— No, to kiedy ojciec już tak napewno wie o złym końcu tej sprawy, to czegoż ojciec sam rękę przykłada do tego?

— Czemu? — powtórzył starzec, wstał i zaczął się po komnacie przechadzać, ale odpowiedź zamilczał.

— Ja tego doprawdy już nie rozumiem — ciągnął syn dalej — jest w tem jakaś dziwna niekonsekwencya.

— A chcesz wiedzieć, czemu to robię? — rzekł wreszcie starzec, kładąc rękę na jego ramieniu — ja

kuli szukam, której nie mogłem znaleźć przez całe życie. Wtedy nie czas był jeszcze, ale dziś czas wielki; już mam też w Bogu nadzieję, że mojej prośby wysłucha.

Dziwnie jakoś przejęły Karola te słowa — ale starzec zerwał się w ten moment i jakby go jakaś żelazna ciągnęła ręka, zawołał dziwnym, nie swoim, półmartwym głosem:

— Naprzód! naprzód! już czas!

I niechaj nikt nie myśli, ażeby to usposobienie starego żołnierza było wyjątkowem. Wszyscyśmy wtedy byli usposobieni tak samo. Wszyscyśmy byli pełni straszliwych, złowieszczych przeczuć, pełni nieznanej trwogi, pełni krwawej rozpaczy, a próżni wszelkiej nadziei—aleśmy szli. Szliśmy ze spuszczonemi głowami, jak ofiary na rzeź — patrząc z rezygnacyą szaleństwa na topór, który miał koniec położyć naszym cierpieniom, spoglądając z goryczą na tę ziemię, na której prócz łez i wspomień nic się nie zostawało naszego. Tak szliśmy—i poszli, aby już nigdy nie wrócić...

I wielu z nas rzeczywiście już nie wróciło. Jedni się rozproszyli po świecie, drudzy potonęli w więzieniach, najnieszczęśliwsi zginęli w polu, albo pozabijani po domach. Ale pułkownik jeszcze powrócił...

Wyjechawszy przed świtem z domu, razem z synem wrócił około północy. Gdzie byli, co tam widzieli, nikt o tem nie wiedział. Powrócili i zasiedli cichutko w domu, jakby nic nigdy nie było. Było coś wszakże i zapewne nie mało. W obudwóch bowiem przez ten dzień jeden zaszła niezmierna zmia-

na. Obaj byli smutni, zwarzeni i jakby struci. Jeden z nich nie znalazł ziszczenia swych złudzeń, drugi kuli nie znalazł—dość to powodów do smutku. Jednak obaj i przed sobą milczeli. Siedzieli w domu, patrząc i słuchając, co będzie...

Tak mijał dzień jeden za drugim i minęło ich cztery. Do starego dworu tylko zbłąkane donosiły się wieści, z których nie można było wyrozumieć dokładnie, co się gdzie działo na świecie. Ale na co tu było koniecznie wieści? Wyszedłszy na basztę, widać było wszystko, jakby na dłoni. Łuny pożarów i snujące się wszędzie gromady rozbestwionego ludu przedstawiały widomie całą historyę tych dni piekielnych. Wychodził tam czasem starzec z synem, rozglądał się po całej okolicznej krainie i wpatrywał się łzawem okiem w gorejące pożarem zamki i dwory. Tak patrząc z baszty dnia czwartego wieczorem, rzekł z rozpaczliwą boleścią do syna.

— Ostatnie chwile starego świata! Na co krwawemi trudy, poświęceniem i pracą długie składały się wieki, zmienia się w oka mgnieniu w gruz i ruinę. Pomiędzy popiołami i zgliszczem jeszcze przez jaką chwilę widać będzie zbielałe kości i czaszki tych, którzy byli sercem i duchem narodu — przez jaką chwilę będzie się jeszcze błąkać koło nich cicha pieśń o ich życiu i ich wielkiej przeszłości wspomnienie. Ale niebawem chwasty i zielska tam wzrosną, węże i płazy się w ich siedzibach zagnieżdżą, umilknie pieśń i obumrze wspomnienie—i cisza będzie na wieki!...

I byłby zapłakał starzec, ale już nie miał łez w oczach. Rozpacz tylko odbiła się w jego zmęczo-

nym wzroku i gorycz okrążyła usta wybladłe. I stał tak, jak martwy posąg, oparty plecami o basztę starego zamku, patrzący na łuny pożarów, rozścielające się wkoło, z rękami załamanemi na piersiach.

Na te słowa dreszcz przeszedł młodzieńca. Pierwszy to raz w jego życiu jakaś inna krew uderzyła mu w żyłach. Pierwszy raz w życiu objawiła się jego oczom przeszłość narodu, taka wielka i piękna jak była—stokroć piękniejsza jeszcze w tej chwili, kiedy śród powszechnej pożogi i mordów ostatnie jej resztki waliły się w gruzy... I zdało mu się, jak gdyby na niego jakieś zupełnie nowe spłynęło światło, światło dziwne, urocze, zachwycające. W jego bladawym, półmartwym blasku ujrzał swój własny zamek w wielkiej świetności: komnaty pełne rycerstwa, pancernicy w krużgankach, giermki z rajtaryą w dziedzińcu. Pomiędzy nimi wiał duch chrobry i czerstwy, życie bujało w pełni, wielkość przechodziła widomie...

Spojrzał potem na kraj roztoczony szeroko około niego i ujrzał ów obraz przerażający, który taką rozpaczą jego ojca napoił. I zadrżał w głębi swojego wnętrza, bo zdało mu się, jakoby widział wcieloną jednę z najstraszliwszych scen Apokalipsy. Zasłonił ręką strwożone oczy i znowu pogonił w przeszłość...

Ale już teraz przeszłość sama uciekła od niego — a na jej miejsce zaczęły mu się snuć jakieś obrazy, może gdzieś z niedalekiej przyszłości. Zdawało mu się bowiem, że widzi swój własny zamek w najstraszliwszej ruinie: z powyszczerbianych murów kapały na dół kwitnące bluszcze i róże, lecz na

ich szczycie kołysał się puszczyk, ptak zapomnienia i śmierci, i wył pieśń pogrobową. On sam, sieroce, opuszczone pacholę, stał pod murami i wyciągnął ramiona, aby tę czcigodną siedzibę swych ojców wziąć w swe objęcia i przycisnąć do piersi — ale wichr jakiś straszny porwał go z sobą i niósł gdzieś w przepaść, tłukąc i rozbijając go o zimne skały bez pamięci, bez końca...

I znowu zadrżał młodzieniec—i spojrzał z trwogą na ojca.

I ojciec spojrzał teraz na niego, zbudził się z zamyślenia i rzekł:

— Chodźmy ztąd. Jakoś ciemno mi w oczach...

— Och! i mnie ciemno, mój ojcze! — odpowiedział młodzieniec z boleścią—i poszli obaj do dolnych komnat.

Tam się obaj rozeszli — obaj, ażeby się oddać swobodnie myślom—jeden z nich myślom o śmierci, drugi zapewne o życiu, lecz może gorszem od śmierci.

Nazajutrz rano długo nie było widać staruszka. Karol był niespokojny i wszedł ostrożnie do jego sypialni. Zastał go klęczącego przy łóżku i trzymającego krucyfiks w ręku. Dziwne to jakieś wrażenie zrobiło na nim i patrzył z trwogą na ojca. W samej istocie staruszek był jakiś nieswój i mówił rozmaite rzeczy, nie koniecznie w związku.

— Chciałbym—powiadał—ażeby to Zawisłocze przecież nie wyszło z twych rąk. Inny to będzie świat, w którym żyć będziesz, pełen kramarzy i wyrobników... no, ale i między takimi można być samym sobą. Mogą ci wydrzeć to, co jest do wydar-

cia, ale nie mogą ci przecież wydrzeć sumienia... A zresztą, jak tam sam zechcesz; wszakże nie o mnie tu idzie. Zróbże mi to przynajmniej, ażeby matka twoja tu dni swoje skończyła. Pamiętaj także i o naszych pamiątkach. Buzdygan mego pradziadka, rzędzik mojego ojca, szabla gdzieś moja, och! choć tej szabli nie daj się sponiewierać; dwadzieścia i kilka lat była zawsze przy moim boku!... .Dubienka, Racławice, Warszawa, Włochy, Niemcy, Hiszpania i znowu Polska i znów Warszawa... och! moje dziecko, choć mi tę szablę zachowaj!...

Przy tych słowach Karol już nie mógł się wstrzymać i w płacz wybuchnął jak dziecko.

— Ojcze mój!—wołał—mówisz tak, jakbyś już dzisiaj miał mnie porzucić!

— Bądź-no spokojny—mówił staruszek—śmierć to jest fraszka, nie pierwszy raz myślę ja o niej, nie pochwyci mnie ona znienacka. Umrzeć, to nic; ale z żalem umierać, och! z takim żalem!...

I rozpłakał się starzec jeszcze daleko głośniej od syna. Widząc to Karol, rzucił mu się do nóg jak długi. Podniósł go ojciec, przyjął w swoje objęcia i nie wypuścił z nich długą chwilę. Ukoili się potem obaj, a ojciec mówił:

— Nie myśl-że, proszę cię, że mam żal jaki do ciebie. I cóżeś ty mi zawinił? Dzieje się tylko to, co z urny losów wypadło. Świat na miejscu nie stoi, wiem o tem dawno. Wszystko, co żyje, musi też zginąć—a ginie na to, ażeby swą śmiercią dać życie swemu następcy. Przecież i ja znam tę filozofię, samiście mnie jej nauczyli...

Poczem już mówił spokojniej, a wkrótce wy-

szedł ze swojej sypialni, ażeby się przekonać naocznie, czy wszyscy ludzie są na swych miejscach i czy obrona dworu jest w pogotowiu. Od czterech dni bowiem wszystko tu było do obrony gotowe, broń ponabijana, amunicya pod ręką, ludzie pod pilną komendą. Staruszek zawsze pilnował domowego porządku trochę po wojskowemu, a dziś tembardziej. Nie było niby zresztą czego się tak bardzo obawiać: Zawisłocka gromada sama się pojawiła we dworze i zapewniła pana, że mu włos z głowy nie spadnie, trzymała straże i w dzień i w nocy, i zdawała raporty do dworu; był to nakoniec już piąty dzień rzezi, zdawało się więc dosyć prawdopodobnem, że kiedy dotychczas żadna banda zbójecka nie wpadła, to już nie wpadnie. Uspokojono się tedy tą myślą— a kiedy pora obiadu nadeszła, staruszek był nawet dosyć pogodny, przy obiedzie pił stare wino, żartował sobie z Karola, że taką wojnę odprawił i drwił całą gębą ze Skiby, że nawet do takiej wojny nie miał dosyć odwagi.

Tak siedzieli we trzech przy stole i już im przyniesiono ostatnie danie — kiedy wtem okrzyk się rozległ po sieni, że chłopi nieprzejrzanemi chmurami wpadli w dziedziniec. Na tę wiadomość Karol zbladł jak nieżywy i spojrzał okiem rozpaczy na ojca—Skiba znikł z sali jadalnej jak duch, jak gdyby świecę kto zdmuchnął — a staruszek porwał się z krzesła i skoczył jak opętany do okna. Ale w tej właśnie chwili wszystkie szyby w całem przyziemiu dworu pękły odrazu i brzękiem spadły w drzazgach na ziemię, przez potłuczone okna zaczęli się na-

pastnicy wdzierać do komnat, a zarazem szturm przypuszczono do drzwi od sieni.

Staruszek miał przez te dnie wszystkie jednego konia okulbaczonego dla siebie, a drugiego dla syna i miał ten zamiar, kiedy mu dadzą znać, że czerń się zbliża, wskoczyć wraz z synem na siodło i albo umknąć, albo z konia się ze zbójcami ucierać. W tym celu trzymał on dniem i nocą strażnika na wierzchu baszty, który go miał zawiadomić o zbliżaniu się czerni. Ale, jak widać, strażnik go zdradził, zdradzili go także prawdopodobnie i właśni słudzy, kiedy go o zjawieniu się zbójców zawiadomili tak późno, co zresztą niema być dziwno nikomu, bo tak się działo wszędzie natenczas. Obaczywszy się tedy staruszek napadniętym znienacka i nie widząc sposobu dostania się do swych koni, porwał tymczasem za garłacz i lunął z niego pomiędzy chłopów całą garścią grankulek. Zrobił to samo Karol i także nieźle uderzył. Upadło kilku w ten moment, kilkunastu się się z jękiem zwinęło i ustąpiło z dziedzińca. Lecz pozostały tysiące. Więc w miejsce ich skoczyli inni i jeszcze z tem większą natarczywością zaczęli się pchać przez powybijane okna do komnat—rzucili się nawet z taką wściekłością do okien, że odstąpili szturmu do drzwi od sieni. Widząc to ojciec Karola, w tem oka mgnieniu się spostrzegł, że ta obrona okien na nic się nie zda, bo okien było bez końca, a obrońców dwóch tylko; znalazł też jednocześnie inny ratunek. Zawołał więc w ten moment do syna:

— Szablę do boku, a dubeltówkę do ręki i za mną!

Sam zaś uczyniwszy to samo, rzucił się naprzód do sieni. Przed drzwiami do sieni, jak się wspomniało powyżej, nie było w tej chwili chłopów, bo wszyscy się rzucili do okien; stary więc drzwi otworzył dębowe i wypadł w ganek. Tam stanął chwilkę, ażeby przejrzeć pole przed sobą. W samej istocie przed gankiem chłopów nie było i środek dziedzińca także był pusty; wprawdzie w głębi dziedzińca, około oficyny, stajen i bramy, było ich mnóstwo; ale to próżna była praca, wypadłszy już raz na dziedziniec, trzeba się było przez nich przebijać. Rzekł tedy raźnie do syna:

— Naprzód co siły! ognia dwa razy, a potem szablę do ręki! przecież jakoś się wyrąbiemy.

W tej samej chwili Karolowi przyszła myśl inna: komunikacya dworu ze starym zamkiem, a ztamtąd przejście do starego ogrodu! Z tą myślą porwał ojca za ramię i już pierwsze słowa wymówił— ale w tem oka mgnieniu zjawia się hurma zbójów za nimi, którzy już dotąd przez okna wdarli się do pokojów. Zwracają się do nich czemprędzej ojciec z synem, dają ognia raz, drugi i trzeci; przywitani tak chłopi, pierzchają nazad i drzwi od pierwszego pokoju do sieni zamykają za sobą, Karol już tryumfuje i mówi:

— Teraz na wschody i w zamek!

Ojciec go nie rozumie przez okamgnienie — a wtem pada strzał ze środka dziedzińca i uderza w sam lewy bok starca. Pochwycił starzec syna za ramię i zbladł jak ściana, ale w ten moment się zachwiał i padł na kamienną posadzkę. Kula szu-

kana przez niego przed pięciu dniami, znalazła go wreszcie!

Co się działo Karolowi w tej chwili, trudno opisać. W pierwszym momencie nie pragnął zapewne nic innego, jak drugiej takiej kuli dla siebie. I może nawet w głębi jego serca odezwało się takie uczucie. Ale w takich wypadkach zawsze jest silniejszym w człowieku instynkt zwierzęcy, aniżeli każda inna myśl ludzka i aniżeli inne uczucie. Instynkt ten oczywiście kazał mu siebie ratować — i poszedł za tym instynktem bez żadnego namysłu. Jakoż w ten moment rzucił się na wschody, z których się dostał do komnat starego zamku, z tych komnat w galeryę, ztamtąd do baszty, a z baszty kręconemi schodami wpadł do ogrodu. Ogród ten, jak już wspomiano, gubił się w lesie, a las rozciągał się aż do brzegów Wisłoki. Tym to sposobem Karol zjawił się tak niespodzianie u starego przewozu, gdzie w tym dniu po raz wtóry uszedł niechybnej śmierci...

III.

Zaledwie poczciwi przewoźnicy przyprowadzili Karola do chaty, wpadł on w stan jakiś tak dziwny, który się nie da opisać. Piekła go rana na głowie, paliło go coś jakby ogniem we wnętrzu — a mimo to zimno mu było i trząsł się cały jak w febrze. Przytem co chwila coraz silniejsza opadała go senność; budził się i znowu głowę opuszczał na piersi, tracąc zupełnie przytomność. Rzeźki syn przewoźnika musiał stać przy nim i trzymać go obiema rękami, aby nie upadł na ziemię. Naniesiono nareszcie słomy do chaty, wyścielono mu legowisko i złożono go na niem, aby przynajmniej wygodnie odpoczął. Karol natenczas już nic nie wiedział, co się z nim działo; zasnął, jak kamień, i spał całą noc...

Nad ranem niby się zbudził, tak mu się przynajmniej zdawało. Otworzył oczy, siadł na barłogu i zaczął się rozpatrywać po chacie. Jeszcze nie rozwidniło się było natenczas i ciemna noc zasłaniała

okna, wychodzące na dziedziniec. Przedewszystkiem tedy uderzyło go światło płomienne, które wychodziło z komina i połowę świetlicy napełniało blaskiem czerwonym. Przed kominem stała stara, obdarta, bezzębna baba i warzyła coś w garnkach. Szary, ogromny kot siedział tuż przy ognisku, spoglądał babie w twarz pomarszczoną, mrugał i grzał się. Jakiś dreszcz mimowolny przeszedł Karola na widok tego sielskiego obrazka, wzdrygnął się i odwrócił oczy od niego...

Po chwili rzucił okiem ku przeciwległej ścianie i tam trochę swobodniej odpoczął. Tam bowiem siedział Antek na ławie i strugał jakieś kołki toporkiem, a niedaleko od niego stał stary Bernat przy warsztaciku i wiązał sieci rybackie. Zobaczywszy pogodną twarz tego zacnego starca, rozbolały młodzieniec z głębi piersi odetchnął; przypomniał sobie, jakie mu dobrodziejstwo ten starzec wyświadczył i idąc za tem wspomnieniem, głowę opuścił na piersi i począł się błąkać swemi skostniałemi myślami po niedalekiej przeszłości. Za moment wszakże spojrzał na Bernata i rzekł:

— Chodźcie no do mnie, staruszku.

Spostrzegł dopiero teraz stary przewoźnik, że jego gość się obudził; jakoż przystąpił raźnie ku niemu i spytał:

— No, i cóż tam paniczku? zdrowiście dzisiaj? wyspaliście się? głowa nie boli?

Na te wszystkie pytania Karol nie odpowiedział, tylko wzamian zapytał:

— Proszę was, odpowiedzcie no mi wyraźnie, co to się stało? Może to być, żeby cały lud wiejski

tak się obałamucił? może to być, ażeby tego nie pojął, żeśmy nie chcieli niczego więcej, jak jego swobody? Nie! to być nie może. To było tylko obałamucenie chwilowe, może tylko miejscowe. Inaczej tam jest na wielkim świecie. Tam gdzieś się biją. Puśćcie mnie, dajcie mi moją szablę, ja pójdę!...

To mówiąc, zaczął się zrywać. Lecz stary Bernat zaraz go ręką powstrzymał i rzekł:

— Dajcie - no pokój paniczku. Niema tam czego się zrywać, nikt się tam nigdzie nie bije. Już tam pobitych nie mało...

— Hm!—odpowiedział na to młodzieniec, a widać już było po nim, że wcale nie był przytomnym.— Hm! to powiedzcież mi to przynajmniej, czy wszędzie napadano na dwory? czy i w Zawisłoczu napadali?

— Otóż to masz!—rzecze mu Bernat—a gdzież pułkownika zabili?

— Mego ojca zabili!— zawołał Karol przerażającym głosem, chwycił się obiema rękami za głowę, uraził się w ranę na głowie, jeszcze raz krzyknął i padł na poduszkę bez przytomności.

Na odgłos tego wykrzyku otworzyły się nagle drzwi od alkierza i jakiś głosik młodziutki, dźwięczny, prześliczny, zawołał z przestrachem w chatę:

— Co tam się dzieje? chodźcie-no tu, Bernacie! co tam takiego?

Poskoczył Bernat ku drzwiom i odpowiedział:

— Nic, nic, panienko. Ot! zabolała go rana co-

kolwiek, ma też gorączki trochę, jak to bywa zwyczajnie; ale już usnął sobie nanowo.

— Znów zasnął? — zapytał tenże sam głosik, a w tym momencie na ramieniu Bernata pokazała się rączka maleńka i biała, a ponad jego głowę wyjrzała główka prześliczna, promieniejąca owym niewysłowionym urokiem młodości, która nie dba o piękność i z każdej z nią walki wychodzi zawsze zwycięzko. Główka ta była otoczona papilotami i pokazała się w tem świetle czerwonem, jak głowa świętej, otoczona promiennym blaskiem; tak się unosząc nad ramionami Bernata, wpatrzyła się pilnie w twarz leżącego na ziemi młodzieńca. Wszakże po małej chwili zjawisko to zniknęło, a w jego miejsce dał się znów słyszeć tenże sam głosik, mówiący z żywością:

— Śpi dosyć spokojnie, ale zaraz my się zbierzemy i będziemy już czuwać nad nim bez przerwy.

W samej rzeczy od tej godziny daleko więcej dusz czuwało nad zdrowiem Karola, aniżeli było potrzeba. Przeniesiono go z ziemi na łóżko, sporządzone przez Antka naprędce, podłożono dwie poduszki pod głowę, nakryto kołdrą wygodną. Zawsze siedziało przy nim po dwie lub trzy osoby obkładano mu lodem głowę bez wypoczynku, opatrywano ranę starannie. A Karol spał ciągle bez odetchnienia. Zbudził się czasem, powiódł dokoła błędnemi oczyma, zawołał wody i znowu zasnął. Czasem się rzucał we śnie i wymawiał jakieś burzliwe słowa, niezrozumiałe nikomu. Czasem płakał przez sen, albo kwilił jak dziecko. Miał jeszcze ciągle gorączkę, lecz

coraz słabszą. Nazajutrz rano oddychał już całkiem swobodnie, a w południe już i wyraz jego twarzy się zmienił: zdawało się jakby usnął tylko na chwilkę i śnił o kwiatach i wiośnie.

Samym wieczorem się zbudził nareszcie i otworzył oczy takie pogodne i czyste, jakby przez jedno niebo był przeszedł we śnie, a drugie miał zobaczyć na ziemi. Ciemno już było teraz tak, jak dnia wczorajszego przed świtem, .i tak samo jak wczoraj płonęło czerwone światło na kominie, i tak samo stała owa bezzębna baba przy garnkach i szary kot mruczał i grzał się, Obejrzał Karol ten obrazek teraz trochę dokładniej i chłodniej i pomyślał sobie: — Nie wszystko to takie piękne pomiędzy ludem, jak w gminnych pieśniach. — Potem patrzał na Antka i na Bernata, którzy znów byli jakąś pracą zajęci, a to mu się podobało daleko lepiej. Pracowitość naszego ludu jest już dawno uznaną,—szkoda tylko, że ta pracowitość nie zabija w nim owej szkaradnej, niepowściągliwej chciwości, która go niestety tak łatwo skłania do występków i zbrodni. Szkoda to wielka! Tak myślał Karol—i myślał potem: — Jak też to dziwnie dzieje się na tym świecie; jabym był dla nich krwi utoczył z pod serca, a oni mi ojca zabili! — I na wspomnienie ojca łzy mu stanęły w oczach i zakrył twarz obiema rękami i płakał.

A kiedy zaczął łkać głośno, tuż obok niego odezwał się jakiś głosik kobiecy cichym, bolesnym szeptem:

— On płacze...

I słyszał to Karol i zdało mu się, jakby się

łzy przebijały w tym głosie. Zwrócił się prędko i dziwna rzecz, co w tej chwili obaczył. Tuż obok głów jego łoża siedziały dwie niby wiejskie kobiety, lecz lubo były jak najzupełniej po wiejsku ubrane, już na pierwsze wejrzenie miały w sobie coś takiego, że wyglądały raczej jak napowietrzne zjawiska, aniżeli ziemskie istoty. Może zresztą w samej istocie nic w nich napowietrznego nie było, ale tak się to młodzieńcowi o rozigranej i gorączkowej wyobraźni zdawało.

Więc jedna z nich siedziała na żarnach, na których miała wyścieloną poduszkę, i unosiła się nad nim tak wysoko, że musiał na nią spoglądać jak w niebo. Ta miała na sobie jakąś gurmankę z granatowego sukna, prostego kroju, lecz bardzo zręcznie wciętą w staniku, spódniczkę białą haftowaną u dołu i buciki wprawdzie skórzane, ale tak drobniutkie i delikatne, że jeszcze nigdy żadna gurmanka nie miała zaszczytu chodzić we spółkę z taką parą bucików. Lecz jeszcze daleko więcej, niż z temi bucikami, kłóciła się ta dziwna postać niewieścia ze swoją gurmanką swą młodocianą twarzyczką. Szatynka była i miała swe bujne, lśniące włosy splecione z tyłu w pospolite warkocze, ale na czole i obok twarzy kręciło się pełno filutków i loczków, takich figlarnych, takich wesołych i trzpiotowatych, że lubo były w jak największym nieładzie, przecież tam między niemi siedział niejeden koncepcik, o którym dobrze wiedziało zwierciadło. Temi loczkami i filutkami była ocieniona jej drobniutka twarzyczka, rysów tak delikatnych i cery tak przezroczystej, jak gdyby ją zefir wydmuchnął z mgły

porankowej, unoszącej się nad kwiatami; do tego oczy duże orzechowego koloru, usta jak koral, ząbki jak perły. Tak siedziała na swej wysokości, a oparta niedbale o ścianę z wyciągniętemi przed siebie nóżkami, któremi kołysała podstawiony stołeczek, zdawała się być królową mórz, płynącą na miękkich falach ku brzegom jakichś nieznanych krajów, nieznanych jeszcze, lecz w wyobraźni pewnie już wystrojonych w miłość i wiosnę i kwiaty i najpiękniejsze nadzieje....

Druga była także niepospolitem stworzeniem. Nie tyle może delikatna, jak tamta, nie eteryczna, nie wychuchana, ale zato co do zaokrąglenia form i ich pulchności przewyższała o wiele tamtą Brunetka była, o włosach czarnych jak heban, twarz miała białą, jak marmur, oczy niebieskie. Niby nie było w tem nic osobliwego, ale jakie tam ognie płonęły w oczach, jakie rożowe barwy się mieniły na licu, jaka krew płomienna grała na ustach, tego nie łatwo opisać. Wielki też kontrast był pomiędzy temi dwiema kobietami, może to nawet były dwa typy dwóch odrębnych od siebie światów: tam duch i nerwy, tu poprostu ciało i krew. Tak się przynajmniej zdawało. Patrząc na te obiedwie kobiety, wybór nie był tak łatwy. Pierwszą otaczał ów urok, wypływający z tysiąca rozmaitych źródełek, a ożywiony blaskiem młodości, który tak silnie zwykł działać na wyobraźnię; druga zaś miała tę prostą, okrągłą, skończoną piękność, która najczęściej wyobraźni nic nie zostawia, ale zato tak silnie chwyta zdrowe, wesołe serce.

Wybór był tutaj niezmiernie trudny, ale An-

tek podobno już wybrał, bo odkąd te kobiety tutaj siedziały, nie mógł oczu oderwać od drugiej i chociaż niby coś robił toporkiem, ani jednego nie zastrugał koleczka. Widział to ojciec, cmoknął ustami, i rzekł mrukliwie:

— Już ci mi widzę zgłupiał do reszty. Masz strugać kołki do czółen, a ty sam siedzisz jak kołek.

Karol jeszcze nie wybrał, lecz zobaczywszy te obiedwie kobiety, niesłychanie się zdziwił. Cofnął się nawet pod tem wrażeniem ku ścianie, przypatrzył się im po raz drugi i trzeci i spytał całkiem po prostu:

— Kto wy jesteście?

Na to pytanie, zapewne wcale niespodziewane, okrążył usteczka pierwszej uśmiech pomimowolny, spojrzała mu śmiało w twarz i widać było po niej, że miała na myśli jakąś mistyfikacyę. Ale spotkawszy się z temi dużemi, błękitnemi oczyma młodzieńca, które w tej chwili po raz pierwszy widziała, a które były pełne niewysłowionej słodyczy, razem z uśmiechem i rumieniec rozkwitł na twarzy. Za okamgnienie uśmiech przeleciał, ale rumieniec coraz się wzmagał i wzmógł się wreszcie do tego stopnia, że młoda dziewczyna musiała oczy spuścić ku ziemi. Chciała mu odpowiedzieć, ale nie mogła, oddech jej zaparł się w piersiach...

— Któż wy jesteście? — powtórzył Karol łagodniej, a przypatrując się twarzy i ubiorowi dziewczyny pierwszej, mówił potem jąkając się:—Niepodobna jest... niepodobna jest przecież... Ja już sam nie wiem...

Te słowa Karola zmieszały jeszcze tembardziej dziewczynę. W jej młodej głowie uroiło się było zapewne, że choć ten obcy młodzieniec wróci do przytomności, ona się przed nim w swojej przybranej roli potrafi utrzymać do końca, a tymczasem zaraz za pierwszem wejrzeniem okazało się to niepodobnem. To ją niezmiernie zaniepokoiło. Jakoż zeskoczyła w ten moment ze swej wysokości, złożyła rączki przed sobą i zaczęła mówić, zaledwie trochę przytomna:

— I ja już nie wiem! Doprawdy... to jakoś tak dziwnie...

I umilkła, kręcąc się niespokojnie na miejscu, płonąc od wstydu, bojąc się zostać, a przecież odejść nie mogąc. Ta niepewność, ta trwoga, to zmieszanie, ten wstyd niewinny, otoczyły ją nowym urokiem, takim pięknym i takim zachwycającym, że zdumiony młodzieniec pod jego silnem wrażeniem, jakby się nanowo odrodził. Tak mu się jakoś zrobiło błogo, tak swobodnie, tak lekko, jak gdyby więzy wszystkich ziemskich boleści odrazu opadły z niego, skrzydła mu odrosły od ramion i uleciał w powietrze!

Tak się poczyna miłość u mężczyzn, bo to poczęcie jest tylko przeczuciem błogości, zadowolenia i szczęścia, które im miłość przynosi. Przeciwnie się dzieje u kobiet. Ich miłość poczyna się jakimś straszliwym niepokojem, niewysłowioną obawą i trwogą. I słusznie. Albowiem dla nich miłość jest tylko bramą do nieskończonych cierpień i bólów, drogą do ustawicznych poświęceń zdrowia i życia, czasem się staje rzutem w objęcia śmierci, szczęścia z niej

mają li tyle, ile go może dać poświęcenie się dla szczęścia drugiego, ile go daje świadomość, że uszczęśliwiły tego, którego ukochało ich serce.

Tak patrzyli oboje na siebie, nie umiejąc przemówić ani jednego słowa.

Jednakże na ich szczęście przystąpił do nich Bernat w tej chwili i rzekł:

— A państwo już patrzą na siebie przez dwie doby, a pono się jeszcze nie znają.

— Ja już się trochę domyślam — rzekł na to Karol swobodniej, a obracając się do dziewczyny pierwszej, dodał z uśmiechem:—Przepraszam panią za moje obcesowe pytania. Ani mi przez myśl nie przeszło, ażebym mógł znaleść takiego towarzysza niedoli...

— Widzi pan—odpowiedziała mu na to wesoło dziewczyna — jak to się dziwnie jakoś zrobiło. Pan mnie nie umiał zapytać, a ja nie umiałem odpowiedzieć. Patrząc na pana wciąż przez dwie doby, zdawało mi się, że pana znam już tak dobrze, jak mego brata; ale jak pan oczy otworzyl, takem się jakoś zmieszała...

— Przepraszam panią i za to.

— Oh! cóż to szkodzi! Zresztą pan temu nie winien. Tylko ja temu winna, bo przecież powinnam była to wiedzieć, że póki się nie widziało oczu człowieka, to jest tak samo, jak gdyby się go wcale nie znało. Wiedzą o tem ludzie i nigdy nie robią znajomości z sobą z zamrużonemi oczyma.

Uśmiechnął się Karol z naiwności młodej dziewczynki, lecz rzekł z uczuciem:

— Pani byłaś łaskawa troskać się osobiście

o zdrowie nieszczęśliwego człowieka, nie wiedząc może nawet, kto on jest i jak się nazywa?

— Prawdę mówiąc — odpowiedziała dziewczyna — nie potrzeba mi było koniecznie o to się dowiadywać; dość jest wiedzieć, że człowiek, ażeby mu być w potrzebie pomocnym. Ale ja już wiem wszystko o panu, to jest wiem to, co mi powiedział Bernat, a nareszcie i to, co pan sam powiadałeś w gorączce.

— Dla Pana Boga żywego! — zawołał Karol — cóż ja takiego gadałem?

— A! tego panu nie powiem! — odpowiedziała mu na to trzpiotowata dziewczyna z bardzo figlarnym uśmieszkiem—tego panu nie powiem. Ale możesz pan być zapewnionym, żeś mi się wyspowiadał ze wszystkich grzechów. Tak już wiem wszystko o panu... tak wszyściuteńko...

I nie skończyła filutka, tylko uderzywszy w swoje drobniuteńkie rączki, wykręciła się tak zgrabniutko na pięcie, jak kwiatek róży na wietrze i odpłynęła na środek chaty. Lecz powróciła i patrząc w oczy Karolowi, uśmiechała się do niego z pod swoich gęstych filutków i loczków tak samo, jak się fijołek uśmiecha, kiedy się ukryl pod splotem cierni przed drapieżną ręką człowieka.

Patrzał na nią Karol także z uśmiechem, lecz w tym uśmiechu malowała się tylko rozkosz i szczęście. I jakaś pokorna wdzięczność malowała także za taki sen złoty na jawie, za takie błogie złudzenie. Czytała to w jego twarzy dziewczyna i dziwnie się tem zajmowała.

Po chwili pierwszy przemówił Karol:

— Pani wiesz wszystko o mnie, a ja, niestety, nic nie wiem o pani

— Ale się pan domyśla...

— Domyślam się, że panią także podobne musiało spotkać nieszczęście jak mnie, kiedy się ukrywasz w chacie Bernata...

— Dom nam zrabowano—odpowiedziała dziewczyna z przelotnym smutkiem — powybijano okna, poniszczono ozdoby... ale nic więcej.

— Rodzice pani?—zapytał Karol.

— Matki nie mam już dawno... ojciec mój wyjechał do miasteczka zawczasu.

— I ma pani już wiadomości o ojcu?

— Nie mam jeszcze do dziś dnia, ale wiem pewnie, że się mojemu ojcu nic stać nie mogło.

— Zazdroszczę pani tej pewności...—rzekł Karol—ale się cieszę nią całem sercem. Chciałbym, ażeby oprócz mnie, nie poniósł takiej straty nikt więcej. Ja może sobie jeszcze jakoś dam radę na świecie! cóżbyś pani poczęła, gdybyś została sierotą!...

To szlachetne, żywe współczucie młodzieńca przemówiło dalеko wymowniej do młodziutkiej dziewczyny, aniżeli boleść, malująca się w jego oczach niebieskich. Onby był w stanie się dla niej poświęcić! Ważne to było odkrycie. Zbliżyła się też zaraz do niego, usiadła przy nim na nizkim stołku i przypatrywała mu się ukradkiem. I nie znalazła w nim ani cienia kłamstwa lub fałszu, prawdą to było, co mówił. To otworzyło jej serce, zapragnęła mu się odwdzięczyć, zapragnęła przedewszystkiem dać mu

się poznać. Jakoż usiadłszy przy nim, spojrzała mu w oczy, spojrzała potem na ziemię i rzekła:

— Pan wie, kto ja jestem?

— Jeżeli mnie moja domyślność nie myli, jesteś pani córką właściciela tej wsi...

— Tak—rzekła ona—Józia jest mi na imię.

Po tem wyznaniu, tak naiwnem i prostem, zdawało im się, jak gdyby się gdzieś znali od wieków, tylko dziwnem zrządzeniem losu nigdy się nie spotkali. Nowo zabrana znajomość postępowała pędem, jak między dziećmi, jak w takich okolicznościach nieszczęsnych, gdzie etykieta nie może nawet przyjść na myśl, jak zresztą w takiej chacie wieśniaczej, gdzie człowiek nie potrafi być czem innem, jak Bożem stworzeniem, człowiekiem. Była to tedy już pora do zwierzeń wzajemnych; główne to fundamenty przyjaźni u ludzi starych, a cóż dopiero u młodych? Im kto jest młodszym, tem żywiej czuje ich potrzebę. Józia była o wiele młodszą, ona zaczęła. Jej serce było w tej chwili tak pełne, ona może nigdy w swem życiu nie znalazła nikogo, komuby się zwierzyła otwarcie. Nie miała matki. Ale niestety! nie miała podobno także z czem się zwierzać tak bardzo. O lalkach, które porzuciła niedawno, o kwiatach, które ukochała niedawno, nie chciała mówić w tej chwili. Coś się z nią teraz stało takiego, że te łalki i kwiaty zdawały się jej niesłychanem dzieciństwem. Jakaś powaga napłynęła do jej umysłu, czuła to, że już przestała być dzieckiem. Najważniejszym z całego jej życia wypadkiem była ucieczka z domu, schronienie się w chacie, poznanie

Karola, pielęgnowanie go w jego słabości. O tem zaczęła mówić:

— A pan nic nie wie, co się z panem działo przez te dwie doby, jak pan tu jesteś? Kiedy pana ci ludzie przyprowadzili i ja zobaczyłam tak straszną ranę na czole, byłam pewna, że pan zabity. Takem się zlękła, żem oniemiała z przestrachu. A śmiesznam była, bo przecie pan szedł i mówił. Drugi znów przestrach, kiedy pan zemdlał. Znowum myślała, że pan zabity. I bardzo długo to trwało, bośmy pana złożyli na słomie, tarliśmy pana po skroniach, a pan ani oczu nam nie otworzył. Dopiero potem, za godzinę może, ej! gdzietam! to trwało strasznie długo, zaczął pan zrywać się we śnie i mówić...

— Co ja mówiłem?

— Doprawdy, ja sama nie wiem. Coś strasznego pan mówił. Jam się tak bała, żeśmy obiedwie z Basią przez całą noc ani oka nie zmrużyły. Ucichł pan potem, a my przecież nie spały. Aż nad ranem znów pan się zerwał i coś zawołał. Znowuśmy się przelękły, ale pan zaraz usnął. Na drugi dzień nam Bernat powiedział, że to wszystko z tej rany, którąby trzeba opatrzyć. Bardzom się tem zmartwiła, bo to ci chłopi takie grube mają ręczyska, ta baba tutejsza taka szkaradna, a ją anim wiedziała, jak się koło ran chodzi. Kazałam więc Basi, ale wyobraź pan sobie, taka to dziewczyna niezręczna, że jak tylko się głowy pana dotknęła, pan tak krzyknął, że aż mnie ukłóło coś w sercu. Jużem nie wiedziała, co zrobić. Dopiero pomalutku zaczęłam sama odwijać panu chusteczkę z głowy i wciąż zlewałam ją

cieplą wodą, i tak pomaleńku odwiązałam panu tę ranę, a tak szczęśliwie, że pan ani się ruszył.

Dziwnie ta spowiedź otwarta chwyciła za serce Karola. Z uwielbieniem spojrzał na zacną dziewczynę, chciał rękę ku niej wyciągnąć, lecz nie śmiał, łzy mu się tylko w oczach zakręciły. Dostrzegła to uczucie wdzięczności Józia, zarumieniła się zlekka i oddech na chwilę wstrzymała. Potem mówiła dalej:

— Otóż ja myślałam, że tam Bóg wie, jak wielka ta rana, a to tylko tak, jakby nożem kto przeciął. Bardzom się tem ucieszyła. Więc wzięłam zaraz nożyczki, wystrzygłam panu włosy w tem miejscu, a potem użyłam chleba, pajęczyny, świeżego masła i takeśmy panu tę ranę zaopatrzyli. Bernat powiada, że to za kilka dni się zgoi i ja tak myślę; ale cóż?...

— Cóż takiego? — zapytał Karol.

— A nie bardzo pan się przestraszy? — zapytała z trwogą dziewczyna.

— Ale ja wcale się nie przestraszę.

— Cóż z tego wszystkiego, kiedy podobno panu z tej rany zostanie znaczek na czole...

Karol musiał się uśmiechnąć.

— Pan się śmieje, a to może będzie znak duży, może taki jak blizna, bo trzeba panu wiedzieć, że ta rana idzie w dół czołem aż niedaleko oka. Bernat mi mówił, że można było i na to poradzić, ale mi kazał wziąć igłę i zaszyć panu tę ranę. Aż mnie dreszcz przeszedł na taką radę...

Karol milczał w zamyśleniu przez chwilę.

— Pan może się gniewa na mnie, żem nie po-

szła za radą Bernata? — zapytała dziewczyna smutnie i prawie ze łzami.—Ja wiem już teraz, żem źle zrobiła, no, ale cóż?... jabym była tego nigdy nie potrafiła.

— Ale gdzież tam!—zawołał Karol, budząc się z zamyślenia — gdzieżbym się gniewał na panią! Co mi tam może zaszkodzić blizna! Ja myślę o tem, jak pani dobrą jesteś, jaką szlachetną! ja nie mam słów, abym to opowiedział, co czuję.

— No to dobrze!— zawołała wesoło dziewczyna — to ja się cieszę niezmiernie, żem to przynajmniej zrobiła, com mogła. Pan będzie zdrów już niezadługo i teraz pan już zdrów całkiem, tylko jeszcze osłabiony cokolwiek. Nieprawda?

— Osłabiony jestem troszeczkę — rzekł Karol— lecz mimo to czuję, że z dniem dzisiejszym zupełnie nowe we mnie wpłynęło życie. Zbudziłem się na to, ażeby boleć i płakać — grób świeży leży przedemną i tyle innych grobów prócz niego! — ale nad temi grobami nowa weszła jutrzenka, która już mnie dotknęła dobroczynnemi rękami pani. Zdaje mi się, jakbym się nanowo odrodził; cały świat nowy otworzyłaś mi pani!

Trwała chwilka milczenia. Dziewczyna oczy spuściła ku ziemi. Zrozumiała zapewne tych słów znaczenie, może nawet nie była jej nieprzyjemną treść ich, ale nie przypadała jej do serca ich forma. Było to jeszcze dziecko, proste i naturalne, jak je Bóg stworzył, a nie popsuli jeszcze wymyślni ludzie; tylko to tedy, co było równie proste i naturalne, jak ona, przypadało z łatwością do jej umysłu i serca; wszystko zaś, co wymyślne, wygórowane i sztuczne,

budziło wstręt w niej i mimowoli obudzało niewiarę Oby się z takim wstrętem zachowała do śmierci! Jest on po wszystkie czasy najpiękniejszą ozdobą kobiety i z pomiędzy wszystkich przymiotów niewieścich, on jeden tylko może stanąć na równi z najszlachetniejszym klejnotem ich serca: ze wstydem dziewiczym,

Jednak ten wybuch uczucia, zrodzony raczej w gorącej głowie, aniżeli w sercu, lubo się mniej podobał dziewczynie, nie zbił jej przecież z toru. Prowadziła dalej rozmowę. I prowadziła ją zawsze w sposób sobie właściwy. Naciągała ze szczególniejszą energią jej ducha ku wesołości, naturalności, swobodzie, omijając jaknastaranniej wszelkie wspomnienia smutków, wszelkie ekstazye bolesne. Bo to nietylko sztuka lub filozofia życia, nietylko zimne sobkostwo, nabyte doświadczeniem lat długich, omija tak starannie to wszystko, co nam niemiłe, co nas przygniata i boli—czyni to jeszcze z daleko większą energią natura. Im kto młodszy, im żywszy, im więcej ma sił żywotnych, tem żwawiej się prześlizguje przez wszystkie bóle i smutki, tem uporniej wyrywa się wszystkim trującym zmartwieniom. Jest to ta sama energia, ta żylastość, ten upór nigdy niepokonanej i wiecznie się w sobie odradzającej natury, który widzimy w ogniu tak łakomie szukającym dla siebie żeru, w wodzie, przeżerającej największe tamy, w drzewach pokaleczonych, a przecież ciągle odrastających, w płazach stokroć strąconych z drogi i stokroć na nią powracających...

— Pan jesteś z Zawisłocza — mówiła dalej dziewczyna — to tak blizko jest od nas, tylko

przez wodę, a ja przecież nic nigdy nie słyszałam o panu... To jest tak, niby ja coś słyszałam, bo mi tatko powiadał, że w Zawisłoczu mieszkają państwo pułkownikowstwo, którzy mają jednego syna; ale coby się działo z tym synem, jakoś mi nigdy nie przyszło zapytać.

— Nie dziwna rzecz — rzekł na to Karol — że pani o mnie nic nie słyszała. Ja prawie nigdy tu nie mieszkałem. Przez całe życie byłem w szkołach we Lwowie...

— Ale pan skończył już szkoły?

— Skończyłem przeszłego roku w jesieni.

— A! to pan się musiał ucieszyć! I ja już także skończyłam. Co to tam moje szkoły! nic przeciw pana, a przecież tak mnie niemi zmęczyli, tak mnie wymordowali, że gdyby było tylko rok jeszcze, jużbym była nie wytrzymała, Taka to nudna była Francuzka, taka nudna... ah! że nie umiem tego powiedzieć. Kiedy odjeżdżała tego roku po świętach i przy pożegnaniu zaczęła płakać i troszeczkę omdlewać, jużem i ja mało co nie omdlała. Myślałam sobie, pewnie jeszcze zostanie. Com tylko miała wódek kolońskich i octów, wszystkie na nią wylałam. Otrzeźwiła się przecież i odjechała, aż mi się lżej jakoś zrobiło. Bo trzeba panu wiedzieć, co ja się nacierpiałam od tych Francuzek, to jeno Bogu wiadomo. Bo to nietylko tę jednę miałam, cztery ich było koleją i Niemka była przez całe dwa lata i Angielka przez rok, a każda mnie czegoś uczyła. Przecież to wreszcie minęło... Teraz, po odjeździe Francuzki, przyjechała ciocia ze Lwowa, ale jak tylko

zaczęły chodzić wieści o jakichś rozruchach, znów odjechała — a teraz już nie wiem co będzie.

— Bardzo panią żałuję, że pani tyle się nacierpiała. Ja przez twardsze i dłuższe przeszedłem szkoły, ale nie mogę się na nie uskarżać. Uczyć się trzeba było, to prawda, ale nie brakło też i rozrywki. Nasze schadzki studenckie w jesieni, nasze literackie wieczory, a potem bale w karnawał, wycieczki do dalekich ogrodów o wiośnie, pływalnia w lecie, ujeżdżalnia, sala szermierska, a nakoniec wakacye! Daleko więcej mieliśmy rozrywek niż trzeba. A cóż dopiero powiedzieć o tych wszystkich marzeniach, o rozmaitych widokach, zamiarach, nadziejach, których się tyle przesunęło przez głowę! Każdego z nich wprawdzie zaledwie wystarczyło na tydzień, ale ich nigdy nie brakło. W tem właśnie było szczęście największe. Nie żyło się nigdy dniem jednym, ale całemi latami w jednej godzinie, czasem całą przyszłością w jednej maleńkiej chwili. A przyszłość ta zawsze pełna zieleni i kwiatów, pełna rozkoszy i szczęścia. Tak życie przeżyć, w samych snach tylko, snach wymarzonych dowolnie i nie być nigdy dotkniętym żelazną ręką rzeczywistości — tak życie przeżyć, byłoby godnem aniołów. Ale, niestety, krótkie to tylko są chwile. Mijają prędko, a człowiek sam nie wie, kiedy się zbudził i stanął na progu całkiem innego świata. Wczoraj się jeszcze do snu położył na miękkim puchu, budzi się dziś i widzi twarde deski pod sobą...

— To może prawda, ja nie wiem — odpowiedziała dziewczyna, idąc wiernie za jego myślą — ale przecie panowie jesteście szczęśliwsi od nas. Jeżeli

który z was się obudzi na twardych deskach, to sobie je potem wyściele, jak mu się będzie podobało, a biedna dziewczyna musi przez całe życie spać na takiem łożu, jakie jej los wyścielił. I nie poradzi nic, choćby chciała tak, jak ja z moją Francuzką...

Uśmiechnęła się przytem, milczała chwilę, a potem mówiła dalej:

— Doprawdy, ja kiedy o tem pomyślę, to mnie dreszcz jakiś przejmuje. Ale przecie ja sobie na to poradzę. Gdyby mnie chcieli za takiego wydawać, któryby mi się nie podobał, to ja nie pójdę — i cóż mi zrobią! Ubiorą mnie, zaprowadzą przed ołtarz, a ja ani słówka nie powiem! Spyta się ksiądz, powiem, że nie chcę — i co mi się stanie? Ale tatko mój dobry, on mi tego nie zrobi...

Było zmartwienie, była wnet i pociecha. I znów się śmiała pusta dziewczyna i szczebiotała dalej:

— Otóż ja panu powiem, że w naszym ogrodzie jest jeden punkt taki, z którego widać basztę Zawisłockiego zamku. Widać także kawałek zębatych murów, a kiedy jesień nadejdzie i drzewa z liści opadną, to widać prawie połowę zamku. Ale powiadał mi tatko, że rodzice pana tam nie mieszkają, tylko wybudowali sobie pałac przy zamku. To się tatkowi nie podobało i mówił...

Tu szczebiotliwa dziewczyna nagle ucięła, a Karol spytał z uśmiechem:

— Cóż tatko mówił?

— Ej! tego panu nie powiem,..

— Spodziewam się, że przecież nie mówił nic złego?

— Ani złego, ani dobrego; tylko tak, jakieś

morały, których tatko ma zawsze dość w pogotowiu, kiedy co mówi o szlachcie.

— Proszę pani—zapytał Karol z uśmiechem—co tatko mówił o szlachcie? bardzo mnie to interesuje.

— Oh! tego ja panu nie potrafię powtórzyć. Nigdy mi się to jakoś nie chciało trzymać pamięci....

— O małej szlachcie mówił tatko zapewne! — ciągnął dalej swoje badania Karol, patrząc w oczy dziewczynie.

Spostrzegła się przy tych słowach niebaczna Józia, że już za wiele mówiła, zarumieniła się i rzekła z niecierpliwością:

— Ej! ja już nie wiem... co nam tam z tego! I dlaczego to pana interesuje?

— To mnie interesuje dlatego, że to drobne słóweczko: mała szlachta, była podobno najgłówniejszym powodem, dla którego nasi ojcowie nie harmonizowali ze sobą. Każdy z nich miał się za lepszego szlachcica i żaden nie chciał drugiemu ustąpić. Smutne zaprawdę czasy, w których zawsze pytano o to, jaki kto szlachcic, a nie pytano nigdy, jaki kto człowiek!

— O! mój tatko bardzo uważa na to, jaki kto szlachcic. Na stoliku w salonie zawsze jest pełno herbarzy. Jak tylko o kim jest mowa, tatko zaraz do herbarza. Dopiero mu rachować matki, babki, dziadków, pradziadków. Czy mógłby być szambelanem? czy w danym razie mógłby być hrabią? Jeszcze jak ciocia przyjedzie z Krakowa, to jak zaczną

oboje rachować nazwiska i pokrewieństwa, na mnie aż poty biją, tak mnie to nudzi.

Śmiał się Karol i mówił:

— Szkoda, że mój ojciec nie wiedział o tem, byłby się pewnie z panem szambelanem pogodził. bo to było i jego ulubionem zajęciem. Ta tylko była pomiędzy nimi różnica, że mój ojciec do herbarzy nie chodził. Wszystko wiedział na pamięć, a zresztą wartość szlachectwa rozróżniał uchem. Kiedy kto wspomniał jakie nazwisko, które należało do nowszych, to zaraz mówił: A to co za nazwisko? nie było go w Polsce. Jakiś to będzie *posthumus*. Chwast, który wyrósł na naszych grobach... A kiedy przeciwnie wspomniano nazwisko inne, to wołał głośno: Dobry szlachcic, z dziada pradziada. Siedzieli na Podlasiu, Wołyniu, Litwie, bili się pięknie, rotmistrzowali, jest tam kasztelan jeden i drugi, są starostowie, biskup łucki albo kujawski, jest Potocka, Tarnowska, albo Działyńska. I dziwna rzecz, że nigdy się w tem nie omylił. Po takiej konwersacyi myśmy nieraz ze Skibą szli do herbarzy i zawsześmy potwierdzenie znaleźli.

— Proszę pana, kto jest pan Skiba! Pan o nim ciągle coś mówił w gorączce,

— Skiba — powtórzył Karol — to dawny mój nauczyciel.

— On mieszka w tej baszcie, którę widać z naszego ogrodu?

— Tak, pani,

— We fraczku, w kaszkieciku, z laseczką, króciutki, malutki, siwiutki, łysiutki, a do tego garbaty i z głową ogromną jak dynia. Cha, cha cha! myśmy

się tak uśmiały z niego z moją Francuzką, żeśmy się aż za boki trzymały.

— Gdzież go pani widziała?

— On raz był u nas, przeszłego roku.

— Co on tam robił?

— Miał jakiś interes do tatka. Był w tatkowym pokoju ze dwie godziny, a potem był na herbacie. Ale trzeba mu to przyznać, że jakiś mądry jest człowiek. Mówił po francusku tak gładko i tak wymownie, że moja Francuzka powtarzała po kilka razy: *Voilà le bel accent polonais*! I opowiadał nam bardzo piękne rzeczy o kwiatach, a tak ciekawie, żeśmy się go odsłuchać nie mogły. Bo my widzimy kwiat tylko z wierzchu, a on nam powiadał, co jest we środku; dlaczego który kwiat rośnie tu, a nie rośnie gdzieindziej, dlaczego jeden rośnie tak, a drugi inaczej! On zna każdy kwiat, choćby najmniejszy i każdą trawkę. Poszliśmy potem do ogrodu, a on nam takich kwiatków nazbierał na naszej łące, żeśmy o nich i nie wiedziały. Bardzo się nam potem podobał i nawet żal nam było, kiedy odjeżdżał. Ale nigdy potem już nie był!... Pan musi bardzo kochać tego nauczyciela! On taki dobry. Jak zrywał kwiatki, to tylko kilkanaście ich zerwał, a więcej nie chciał i mówił: „Szkoda. To jest także zabójstwo.“ I opowiadał nam potem, że każdy kwiatek żyje tak samo jak człowiek, w dzień karmi się sokami, poi powietrzem, oddycha, cieszy się, śmieje się w słońcu. A na noc się skuli biedaczek i zasypia. A jak się chowa przed deszczem, jak zwija swoje listeczki, jak się odwraca! — bardzo mi żal było tych kwiatów.

— O! Skiba, Skiba!—zawołał Karol—co to tam skarbów jest w tym człowieku! Żeby tak inna fizyczność! Lecz na nieszczęście, duch ją roztargał zawczasu, zmiął, zniszczył, wyssał, wypalił, że zaledwie zostało tyle, ile mu trzeba na pomieszkanie! O! Skiba.—powtarzał Karol—nikt go tu nie zna i na jego nieszczęście, nikt znać nie będzie do śmierci. Przejdzie i zniknie niepostrzeżony niczyjem okiem, niezbadany niczyim rozumem. Lecz pozostaną po nim olbrzymie ślady na wieki. Dojrzą kiedyś ludzie te ślady i dziwić się im będą, nie wiedząc, kto je zostawił. Dziwić się będą ruchowi tego wielkiego zegara, który zacznie obiegać popędem nowego ciężaru:

O kołach, o sprężynach rozum was naucza,
Lecz nie widzicie ręki i klucza!...

Kiedy to mówił Karol, dziwnie się twarz jego zmieniła. Obrócił się na znak, patrzał szeroko otwartemi oczyma do góry i mówił jakby w boleści. Słuchała go dziewczyna z wielką uwagą, ale zarazem jak gdyby ze grozą. Twarzyczka jej nawet obciągnęła się jakąś chmurką posępną; milczała chwilę, a potem rzekła:

— Kiedy pan tak mówi, mnie jakieś mrowie przechodzi. Zdaje mi się, jakbym się pana bała. Nie trzeba tak mówić...

Obrócił ku niej młodzieniec twarz swoją, rozpromienioną w tej chwili uśmiechem niewysłowionej słodyczy.

— Otóż tak to jest dobrze! —zawołała z radością — nie trzeba się zapuszczać w żadne głębokie mądrości. Kiedy kto mówi o takich rzeczach... do-

prawdy, może to bardzo niemądre, co ja tu powiem, ale dlaczego nie mam powiedzieć? Kiedy kto mówi o takich rzeczach, to mnie dreszcz jakiś przejmuje. Jakoś tam duszno jest w tym waszym świecie duchowym, duszno i zimno zarazem, jak w grobach pod kościołami. I zdaje mi się, że nie można być bardzo szczęśliwym, zaglądając co moment do takich grobów. I zdaje mi się, że sam Bóg tego po nas nie żąda, bo groby dał dla umarłych, a dla żywych dał ziemię. Pan nie woli tej ziemi, na której takie zdrowe powietrze i kwiatów tyle i tyle pięknych rzeczy bez końca? Ja wolę. I pan to woli i już pan nie będzie mówił więcej tych rzeczy.

— Nie, już nie będę — rzekł Karol.

— Widzi pan, tak to najlepiej. Zostańmy sobie na ziemi. Brzydka jest teraz ta ziemia; tyle na niej spełniono morderstw, tyle rabunków! Ach! kiedy o tem pomyślę, to mi się zimno robi na całem ciele. Biedni ci ludzie! co oni mają do przecierpienia ze wszystkich stron! Jeszcze im domy spalono teraz, porabowano dobytki, pozabierano ostatnie suknie. Patrz pan! ja tak zostałam, jak mnie pan widzisz. Nie mam już nawet żadnej sukienki, ani czepeczka na noc i tylko te jedne buciki. Wszystko mi tam pozabierali... Ale ja się tem przecież nie martwię, bo tak nie zostanie. I pałac się odmuruje i sukienki się sprawią i buciki i wszystko jak trzeba. A jak śnieg zginie, to i wiosna znów będzie! słońce, powietrze, kwiatki i całe roje słowików. I ja znów będę żyła tak, jak dotychczas—i pan niech tak zrobi, to jest najlepiej.

— Jakże pani żyła dotychczas?—zapytał Karol.

— Cóż tu jest opowiadać? — odpowiedziała, rumieniąc się dziewczyna.

— Niechże mi pani opowie, ja słucham bardzo ciekawie.

— No, to opowiem panu, kiedy pan chce tak koniecznie. Otóż rano jak wstanę, to pacierz mówię. Potem się trochę ubieram, ale nie bardzo — a potem już idę do herbaty, bo tatko tego nie lubi, kiedy nie przyjdę zawczasu. Przy herbacie tatko czyta gazety i ja czytam troszeczkę. Potem muszę iść do śpiżarni, bo tatko chce, żebym się gospodarstwa uczyła. Więc ja idę i patrzę, jak szafarka wydaje kucharzom. I wie pan, co ja tam widzę? widzę zawsze jak kradną; ja wszystko widzę,.. ale im tego nie mówię, jakoś nie mogę. A potem idę do tatka i raportuję, czego już wkrótce będzie brakować, bo tatko sam musi wiedzieć o wszystkiem. Potem już idę do salonu i gram troszkę na fortepianie. Żeby pan wiedział, jak mi wtedy jest dobrze. Po tych słoninach, mąkach i krupkach, tam jakbym nanowo odżyła. Kiedy gram z pół godziny, to jakbym drugi pacierz zmówiła. A potem idę do mego pokoju i czytam. Ej! nie mam książek takich, żeby mi się podobały! Tatko ich ma dosyć, ale mi ich nie daje. Dał mi ich kilka, ale cóż? Lamartine, Chateaubriand, Alfred de Vigny i coś tam jeszcze, to takie wszystko jakby nieżywe. Ale ja przecie mam jakieś książki. Całego mam Mickiewicza, Zaleskiego trzy tomy, „Zamek Kaniowski“ i rozmaitych innych całą szafeczkę. Wszystkie te książki zostały się pomojej mamie, tatko je kazał wynieść na strych i zamknął tam w lamusiku; ale ja sobie je powykradałam

pomału i mam. I czytam sobie ukradkiem, ażeby tako nie widział. A pan może myślał, że ja nic nigdy nie czytam? O! ja i na pamięć umiem niejedno. Ja nawet wiem, zkąd pan wziął te wiersze, co pan dopiero powiedział. To z *Dziadów*. Ja ich nigdy nie mogłam zrozumieć, a teraz tak mi się zdaje, jakbym je zrozumiała. Oh! żebym ja miała kogo, coby mi to wszystko objaśnił! Pan pewnie każde słóweczko rozumie... Ja bardzo mało, tylko gdzieniegdzie...

Niedawno odwiedzałam dom nieboszczki matki,
Ledwie go poznać mogłam! już ledwie ostatki!
Kędy spojrzysz, rudera, pustka i zniszczenie!...

Ach! może i ja tak powiem, jak do domu powrócę!—Bo trzeba panu wiedzieć, że te Przewoźniki to po mojej mamie. To moje będzie kiedyś, bo mama mi je zapisała. Może i nic więcej nie będę miała; bo te majątki, co tatko na Podolu pokupił, to przeznaczone dla Fonsia, a Borówka to tatkowa oddawna. I pewnie ją także kiedyś Fonsio dostanie. Bo tatko chce, żeby Fonsio był bardzo bogaty i żeby się pięknie ożenił i żeby coś znaczył na świecie. O mnie już mniejsza; ja jestem sobie sierotka!... Ale i tak dobrze—a może nawet i lepiej...

I zamyśliła się biedna dziecina nad swoją dolą. Widać, że i w tej wonnej różyczce siedział już w głębi jakiś robaczek, który ją toczyć zaczynał. Odpędzała go ona jak mogła, nie chciała o nim nic wiedzieć, lecz mimowoli musiała go czuć chwilami...

Bardzo to zajmowało rozbudzonego młodzień-

ca. I wszystko go zajmowało, co słyszał z ust tego ślicznego dziewczęcia. A śliczna była w tej swojej szczebiotliwości. Wesolutka jak dziecko, zwinna jak ptaszek, lekka jak maleńki motylek i jak motylek tylko unosiła się nad każdym przedmiotem, o którym mówiła: i łzy i radość, smutek i szczęście, uśmiech i groza, wszystko przebiegało przez jej umysł tak lekko, jak chmurki majowe po niebie. Karol był zachwycony. Już się wiele dowiedział, ale chciał się wszystkiego dowiedzieć. O, gdyby się był wszystkiego dowiedział, jeszczeby mu było nie dosyć. Chciałby był ją całą wpoić w swą duszę, całą ogarnąć swem sercem i nigdy już nie powrócić...

— Pani mi tyle rzeczy opowiedziała — rzekł po chwili — takich pięknych, a tak zajmujących, że ich się nie mogę odsłuchać. Ach! czemuż ja nie umiem pani za to nic oddać wzamian. Moje życie tak było proste, tak jednostajne...

— Ale gdzież tam! przerwała mu dziewczyna — daleko więcej mi pan opowie, aniżeli ja panu. Pan tyle starszy odemnie, tak długo do szkół chodził, tyle się uczył, pan ma wiele do powiedzenia. Ja to widzę po panu i nie dam sobie niczego zataić. Pan mi to wszystko będzie musiał opowiadać, ja tego bardzo ciekawa. Ale to chyba aż jutro. Pana męczy czuwanie. A i ja także już dwie noce nie spałam, muszę szkaradnie wyglądać... Więc jutro znowu się obaczymy—a teraz dobranoc panu.

— Dobranoc pani — rzekł Karol prawie z boleścią i wyciągnął ku niej swoją rękę wybladłą. Przecie się na to odważył.

Dziewczyna spojrzała na jego rękę, potem spoj-

rzała mu w twarz i spuściła oczy ku ziemi. Sama nie wiedziała, co robić i bardzo się tem pomieszała.

— To jakoś tak dziwnie... szepnęła cicho, ale w ten moment dodała raźnie: — ale nie! cóż to dziwnego?

I położyła swą rączkę drobniutką na jego dłoni. Lekkie ściśnienie jak myśl połączyło ich ręce na oka mgnienie:

— Dobranoc — zawołała dziewczyna i już jej nie było w świetlicy.

Pod tę porę stary Bernat już spał, jak zabity na ławie. Przewrócił się czasem na drugą stronę, pomruczał coś sobie pod nosem a czasem zadygotał zębami. Śnił zapewne o rybach. Kiedyindziej wyciągnął się na wznak, nabrał w piersi powietrza i świsnął przeciągle i długo: śniło mu się natenczas, że czółnem tak szybuje po wodzie. Nakoniec zaczął zgrzytać zębami, bo i ten piękny zwyczaj posiadał, a wtedy śniło mu się zapewne, że widzi swoich niezacnych braci, nurzających się w zbrodniach...

Ale Antek siedział zawsze jak kołek na ławie. Z otwartemi oczyma, z wyostrzonemi uszami, słuchał bezustannie, co państwo młodzi z sobą mówili. Czy słuchał li przez ciekawość, czy w słuchającym budziło się współczucie, czy zazdrość, trudno odgadnąć.

W tej chwili wbiegła Basia do chaty. Przyniosła ona na sobie całą płachtę napełnioną rozmaitemi gratami, zrzuciła ją zaraz na ziemię i odetchnęła. Zerwał się Antek i stanął koło niej...

Basia powróciła w tej chwili z dość niebez-

piacznej wyprawy. Ale sama ona ją sobie wymyśliła i miała odwagę wykonać. Okryta zmrokiem, wkradła się milczkiem do dworu i poszukała po wszystkich kątach, czyby tam czegoś nie wynalazła, coby im się zdać mogło w tem ubogiem schronieniu, które im nawet najpierwszych potrzeb nie było w stanie dostarczyć. Dwór już na teraz był pusty, żywej w nim duszy nie było, a po pokojach było porozsypywanych rozmaitych gratów bez liku. Basia zrobiła pomiędzy temi gratami wybór i całą płachtę przyniosła.

— Widzisz, panie Antoni — rzekła z tryumfem do chłopca— co ja tam nazbierałam rozmaitości. To się moja panienka jutro ucieszy! boć są tu rzeczy, co i coś warte...

Odrzucił Antek dwa końce płachty i dziwił się tym błyszczącym rupieciom. Jakoż w ten moment zaiskrzyły ma się oczy, zarumieniły policzki i rzekł:

— Słuchajno Basiu! a żeby my teraz we dwoje poszli do dworu, możebyśmy co więcej przynieśli!

— Ba, kiej się boję.

— O! toś się sama nie bała, a teraz ze mną się boisz?

— Jakież to proste chłopisko! ja się sama nie boję, bo jak mnie złapią, to nic — a kiedyby nas oboje złapali, zarazby się domyślili, że się tu panna ukrywa. O pannę jeszcze i mniejsza, bo przecież by jej nic nie zrobili; ale tego panicza pewnieby wzięli.

— Ej! gdzie się ta zaraz domyślą! To jak nas złapią, to się przyznamy do siebie.

— A i to prawda. To chodźmy.

Podskoczył chłopiec z radości, podobno nietyle dlatego, że szedł do dworu, ale że szedł razem z Basią. Jakoż rzekł, biorąc za klamkę:

— Kiedyby nas napadli, będę się bronił do krwi. Choćby mnie i zabili, to nic. Ale cię za to choć pocałuję na drodze...

— A nie!—zawołała na to z energią dziewczyna, stając prawie w żołnierskiej postawie.

Zmiękł trochę chłopiec, ale rzekł jeszcze:

— Ej! już cię ta pocałuję koniecznie, przecie ta w tej ciemnicy nikt nie obaczy.

— A nie! — zawołała dziewczyna jeszcze gwałtowniej — bobym cię tak trzasnęła po gębie, żeby ci świeczki stanęły.

Jednak w tej chwili ona znów zmiękła i rzekła:

— Albo nie pójdę...

— O! a to co znowu? — zawołał chłopiec— no to już nie, jeno chodźmy.

— Chodźmy—odpowiedziała—ale pamiętaj!

I wybiegli oboje czemprędzej z chaty.

Tak, tam na polu, jeszcze nie pogasły zgliszcza spalonych domów, jeszcza krew poległych nie skrzepła, jeszcze nie pogrzebiono ich ciała, a tu w tej chatce już się nowe ruszało życie. Jeszcze tam pod niejednym dachem łzami zalana małżonka nie wypuściła ze swych dłoni martwej ręki swojego męża, inna leżała krzyżem na jego grobie, a tu już miłość znalazła nowych dla siebie adeptów, sypała kwiaty nadziei na ich półsenne skronie i budziła w ich sercach tętno, mające odżyć we krwi nowych pokoleń. Ale tak zawsze dzieje się na tej ziemi. Nie potrzeba tu takich katastrof wielkich, rzezi tak krwawych,

wojen takich morderczych, zawsze śmierć wojnę prowadzi z człowiekiem, pożera ludzi, niszczy jego prace i dzieła. A zawsze człowiek mężnie z nią walczy — pada sam, walczy jego następca i tak dalej i dalej. I nigdy tych wojowników nie braknie, walka trwa dalej i przedłuża się w nieskończoność. Prawie nie wiedzieć, kto tu zwycięzca a kto zwyciężony.... Ale podobno zwycięzcą jest tu duch ludzki wiekuisty i nieskończony, wciąż pracujący i nigdy niespracowany, nie znający spoczynku, ani żałoby, a postępujący wciąż naprzód i naprzód, bez zmęczenia, bez końca. A zwycięzcą w tym duchu jest Bóg sam, który go stworzył i żywi i tę walkę olbrzymią własną prowadzi ręką....

IV.

Karol przespał noc niespokojną. Zaledwie zasnął, zaczęły mu się jawić jakieś straszliwe pożary, pękające i w gruz się sypiące zamki, krew lejąca się strumieniami, trupy niepogrzebane. Budził się z przestrachem co chwila i drżał ze zgrozy. Po północy dopiero wypogodziło się niebo jego marzenia. Zjawiła się przed nim biała sukienka, kaftaniczek błękitny, twarzyczka śliczna, loczki, filutki, oczka śmiejące, kwiaty i wiosna. Zasnął tedy spokojnie i marzył sny najpiękniejsze...

Kiedy się zbudził, prawie mu się jeszcze zdawało, jakby był we śnie. Albowiem przed jego łóżkiem stała już Józia we własnej osobie—a jaka śliczna była w tej chwili! I co się to z niej zrobiło! Ubrana była w spódniczkę jasną błękitną, miała na sobie kaftaniczek czarny jedwabny, a do tego rękawki, mankietki, kołnierzyki jak śnieg białuteńkie. I perełki już były na szyi i bransoletka na rączce i te wszystkie filutki i loczki niby w nieładzie a prze-

cież jakoś inaczej. Ale co z tego wszystkiego było warte najwięcej, to jej twarzyczka, wyspana dziś, świeżutka jak listek róży, a rozpromieniona radośnie jak najpiękniejszy ranek wiosenny. Tak stała przed nim i patrząc mu w oczy, powiedziała:

— Dzień dobry.

Gdyby się to było Karolowi stało kiedybądź-indziej, gdyby jakakolwiek kobieta była się pojawiła nad jego łóżkiem, byłby się pewnie zarumienił po uszy i nie wiedział, co mówić; ale zjawienie się to zdawało mu się tak naturalnem, tak prostem, tak prawie koniecznem, że byłby się może daleko więcej zadziwił, gdyby go było nie było, aniżeli, że było.

— Dzień dobry pani!—zawołał wesoło—a jaka pani dziś śliczna! Jaka sukienka ładna, jakie rękawki piękne i kołnierzyki!

— Patrzaj-że pan, to jest wszystko, co mi się z mojej garderoby zostało. A tyle tam miałam sukienek!—Ale popatrzno pan, co tu stoi przy panu...

Karol spojrzał około siebie—a tam stał mały stoliczek piękną nakryty serwetką, na nim taca srebrna ogromna, samowarek maleńki, nalewka porcelanowa, dwie filżanki ze złotemi brzegami, cukier, bułeczki, troszkę rodzenków, troszkę migdałów, bułeczka chleba i masło. Co tylko można było uzbierać tak z przyniesionych przez Basię zdobyczy, jak ze skromnych zasobów Bernata, wszystko to skrzętnie pozbierała gospodarna dziewczynka i zastawiła przed tym, o którym także przez noc całą marzyła. Na jej rozpromienionej twarzyczce widać było tę całą

radość nieopisaną, jaką jej zrobienie tej niespodzianki przyniesie...

Karol się nie mógł napatrzeć na nią, a lubo w tem zachwyceniu nie umiał jej opowiedzieć, co czuje, jednak ta wdzięczność, która się malowała na jego twarzy, była dla niej dostateczną nagrodą. Zrozumieli się w oka mgnieniu bez słów i w tem oka mgnieniu powiedzieli sobie daleko więcej, niżeli wczoraj przez cały wieczór... Tak zasiedli do tego skromnego śniadania—ale oboje milczeli. Może już sobie powiedzieli za wiele — i nie wiedzieli, co mówić dalej?—Weszli w świat całkiem nowy i jakoś dziwno im było...

Ale niebawem znów się zaczęła rozmowa. Tylko dziś szło to całkiem inaczej niż wczoraj: dziewczyna była więcej milczącą, więcej rozmownym młodzieniec. Ona wypowiedziała już wszystko, co umiała powiedzieć. Przebiegła zlekka całą swą przeszłość—o przyszłości zaś nawet jeszcze i nie umiała zamarzyć. Nie tak było u niego. On jeszcze nic nie powiedział, a miał jej tyle do powiedzenia. On przeżył przeszłość tak pracowitą, tak wielę rzeczy wsiąknął w swój umysł i serce i nic jeszcze z tego nie wydał. Oprócz tego, od wczorajszego wieczora zdawało mu się, że tak wie wiele, tak ma pierś pełną, że jeśli jej nie otworzy, to mu pęknie z wezbrania. A nad to wszystko miał jeszcze i przyszłość przed sobą, w którą już nieraz zaglądnął, w której niejeden już pałac zbudował i jeszcze nikomu go nie pokazał. Dawniej, gdy sobie taki pałac zbudował, szukał w nim pomieszkania tylko dla siebie; dziś widział, że nie zaszkodzi, jeśli tam bę-

dzie miejsce i dla kogo innego... Karol miał mnóstwo rzeczy do powiedzenia i mówił bez odpoczynku.

I Bóg nie wie, co mówił. Było to bowiem jeszcze także dzieciątko; wszystko tam było jeszcze zamknięte jak w pączku. Pączek pełny, materyałów bogactwo wielkie, ale wszystkie surowe. Nikt jeszcze dziś wiedzieć nie mógł, co się z tych materyałów wyrobi: czy gmach wspaniały, jednostajnym wyniosły stylem, który lśnić będzie w słońcu przez długie lata? czy kupa gruzów, która osiądzie w cieniu i zarośnie chwastami i zielskiem?—I to jeszcze być mogło i tamto.

Tak też i mówił...

— O! jakże ja jestem nieszczęśliwym w tem życiu! Zaledwie wstąpić w progi rzeczywistego świata i tak się rozbić szkaradnie! Czyż się mogłem spodziewać kiedy, ażeby to, co mi się zdało tak pewnem, okazało się niepodobnem?... Gdzież moje najpiękniejsze marzenia, gdzież ta jutrzenka, która miała przyświecać całemu życiu? Jeszcze nie weszła—a już przy odblaskach pożarów zagasła!—Ale... może ja widzę za krótko. Przez szkiełko dnia dzisiejszego trudno obaczyć wieki. A któż wie, jak wygląda nasienie, z którego z czasem wykwita duch przyszłych epok? czy powiedziałby kto, że ten kwiat jasno ponsowy, taki pełny i piękny, że gasi wszystkie blaski ogrodu, wystrzelił z ziarenka szarego maku?—Jeszcze to wszystko w Boskiem jest ręku;—biada tylko tym, którzy musieli być przy posiewie..

Po chwili zaś mówił dalej:

— Biada mnie przed wszystkimi! Jam ojca

stracił—i zostałem sierotą... O! pani nie znałaś mojego ojca: był to już jeden z ostatnich. Prosty człowiek jak tysiąc innych, jakich milion jest w Polsce, lecz jaka to wielkość w tej prostocie! Jaka tam miłość niezwyciężona, a jaka wzniosła szlachetność!— Ja wprawdzie nie zakochałem się tak w tej szlachcie naszej, ażebym w niej całkowicie utonął. Nie myślę wiązać mojej przyszłości z jej losem. Do walącego się domu nikt się nie sprowadza. Bluszcz tylko obwija się o drzewo spróchniałe i pada z niem razem w śmierć, bez zmartwychwstania... Ale nic mi to nie przeszkadza wyznać, że byli pomiędzy nimi wielcy i niezrównani. Każdy z nich był czemś niepospolitem, choćby tylko jako jednostka tak olbrzymiej całości, choćby tylko jako następca takich moralnych bogaczów. Właściwie mówiąc, żaden z nich nie był nigdy jednostką; nigdy nie był sam na tej ziemi, bo zawsze za nim stało kilkudziesięciu, którzy już wprawdzie zeszli z tej ziemi, ale towarzyszyli mu duchem. On, kiedy działał, to w imieniu całego rodu, a kiedy mówił, to jakby wieki z niego mówiły... Takim był mój ojciec. Szlachcic dumą i wyniosłością; lecz jaki szlachcic sercem i sumieniem! Dla powszedniego oka zdawał się niby być zakutym w żelazo, twardy jak głaz, niedosięgniony jak wieża, lecz pod tem żelazem jaki tam miękki, jaki serdeczny był człowiek! To był mój ojciec. Nie umiałem go nigdy zrozumieć, nigdy uszanować; dziś dopiero to czuję, kiedym go stracił! Śmierć jego zapomnę—a tego nigdy nie przeboleję!...

To rzekłszy, wyciągnął się z boleścią na łożu i patrzył w górę załzawionemi oczami. I dziwnie

pięknym był w tym momencie. Jego twarz ściągła, rysów szlachetnych, a cery tak delikatnej, jak ją można mieć tylko w takim wiosennym wieku, wybladła teraz jeszcze daleko więcej, i oblała się przejmującym wyrazem smutku. Jego usta, okrążone jasnym puchem pierwszego zarostu, otworzyły się do połowy i zdawały się pragnąć jakiejś ochłody. Jego oczy, duże, błękitne, patrzyły przez łzy ku niebu i zdawały się wzywać ztamtąd pociechy. Bardzo pięknym był ten młodzieniec w tej chwili;—nie można było nie patrzeć z żywem współczuciem na tę twarz tak jeszcze młodą, a tak bolejącą, nie można było nie połączyć się sercem z jego szlachetną żałobą....

Dziewczyna patrzała w twarz jego, jak w tęczę. Ani jej na myśl teraz nie przyszło powiedzieć mu: „że tak mówić nie trzeba“ — ważne to były rzeczy, ważniejsze, aniżeli to wszystko, co kiedykolwiek w swem życiu słyszała; to całe światy były, o których dotychczas nie miała nawet pojęcia. Kilka słów tylko, może tylko głos jakiś niezrozumiany obił się o jej uszy —a przecież otworzyła się przed nią cała głąb jego duszy, jakaś bezdeń tak wielka, większa niżeli cała ta ziemia, większa niżeli świat ten, o którym z nauk wiedziała. I bezdeń ta jakąś nadludzką siłą ją pociągnęła ku sobie, stanęła na brzegu, główka jej się zakręciła i wpadła. Za nic jej już było to wszystko, co znała dotychczas, za nic wszyscy ludzie na ziemi; jeden był tylko człowiek na całym świecie, ten jeden tylko, na którego patrzyła.

Trwała chwilka milczenia. Karol leżał tak nie-

ruchomo jeszcze przez oka mgnienie i patrzył bolejącemi oczami w jakiś świat niewidzialny, sobie tylko znajomy. Ale niebawem twarz jego wypogodziła się trochę, lice mu wyjaśniało, przez czarną chmurę promień słońca się przedarł; z takim uśmiechem obrócił się do dziewczyny i rzekł łagodnie:

— Przepraszam panią, żem znowu mówił tak smutnie. Ale są boleści w tem życiu naszem, którym się oprzeć nie mamy władzy. Są one jak wichr szalony, w którego ręku my tylko jesteśmy jak liście zwiędłe. Pani nie masz pojęcia o takich boleściach....

— O! gdzieżtam! — rzekła kwilącym szeptem dziewczyna — wiem i ja o tem, i nie pierwszy raz słyszę, że są takie boleści na świecie. Ile razy sobie matkę moją przypomnę, zawsze mi taka boleść staje w pamięci. Może nawet ja sama doświadczyłam czego takiego w życiu, co niepodobne do szczęścia. Tylko jestem jeszcze tak lekka, żem się umiała przez to prześliznąć....

— O! zmiłuj się pani — zawołał Karol—jeżeli możesz, zachowaj tę lekkość przez całe życie. To najpewniejszy warunek szczęścia. Lekkość ptaszyny, lekkość motylka, lekkość oddechu tylko — o! jakże będziesz szczęśliwą! Będziesz młodą i piękną aż do późnej starości, w latach zgrzybiałych będziesz wesołą i świeżą jak dziecko, umrzesz i w śmierci obudzisz tylko zazdrość w patrzących!... Naucz mnie pani tej sztuki

— O! już się pan nigdy jej nie nauczysz!

Spojrzał na nią Karol z uwagą i rzekł po chwili:

— Odpowiedziałaś mi pani jak mędrzec. Tak, jest to rzecz, której się nigdy nie można nauczyć. Jest to nie sztuka, lecz przymiot, a przymiot taki, który trza przynieść z sobą koniecznie. Można go tylko stracić, lecz nigdy nabyć. Raz utracony, nigdy się już nie wraca. Jest on jak niewiadomość.... a może się nawet na niej głównie gruntuje.

I znowu chwilę pomilczał i tak mówił dalej:

— Trzeba jednak wiedzieć, iż wedle zdania ludzi uczonych, tę umiejętność prześlizgiwania się z taką lekkością ponad ziemskie boleści można jeszcze odzyskać potem, w późniejszym wieku. Nauka i doświadczenie z życia mają nam ją przynosić, jako nagrodę za cierpliwość i pracę. Może tak jest — ja o tem nie wiem. Wiem tylko tyle, że kiedy się raz ma świadomość czegoś takiego, co jest rzeczywiście i swojem istnieniem ból nam przynosi, to tej świadomości już się pozbyć nie można do grobu. Bólu można się pozbyć, to prawda, ale czy można inaczej jak przez odrętwienie, to wątpię. A zresztą przypominam sobie, żem raz widział brzoskwinię, zrobioną z wosku. Była tak piękną, tak świeżą, tak naturalną, że nawet ten delikatny puszek był na niej, który tak podziwiamy w brzoskwini. Ale.... przybliżyłem ją do ust, woni nie miała — ukąsiłem ją, zęby mi w niej uwięzły. Nie słuchaj pani nigdy, kiedy kto przed tobą odkrywa tego świata boleści. Ja już nigdy o nich przy pani nie wspomnę....

— O! niech pan mówi — rzekła półgłosem dziewczyna—wszystko to, co pan mówi, nie robi mi żadnej przykrości....

Młodzieniec spojrzał na nią z wdzięcznością

prawie zachwyt się odbił na jego twarzy. A potem tak mówił dalej:

— O! to dziwna jest rzecz z tą naszą boleścią. Jest ona jak gdyby we krwi naszej, otacza nas ciągle jak nasze chłodne powietrze. I nie może być inaczej. Dziedziczymy ją bowiem po ojcach naszych bolesnych, wysysamy z mlekiem matek naszych bolesnych, uczymy się czytać na książkach pełnych boleści. O! te książki nasze! ile tam w nich jest bólu, ile rozpaczy! — Ale ja, kiedy patrzę na panią, to mnie jakaś dziwna chęć zbiera odjąć się tym boleściom. Na co mi cierpieć nad rzeczami, którym boleść nic nie pomoże! Tylu już cierpiało przedemną i czy się to na co przydało? Dam temu pokój, otrząsnę się z tego i będę żył tak, jak człowiek żyć powinien na ziemi. Będę używał, będę wesół i szczęśliwy, jak wielu innych. Czy to tak trudno? czy nie mam środków po temu? O! mam ich dosyć i wszystkie pod ręką. Obejmę rodzicielski majątek, urządzę go sobie wedle mojej fantazyi: będę miał piękne mieszkanie, ogrody ładne, konie wyborne, ekwipaże dogodne, sług podostatkiem — i będę sobie żył w wesołości, swobodzie, szczęściu, do śmierci.

To mówiąc, patrzył na Józię. Ona patrzyła w ziemię ze złożonemi przed sobą rękami; ale w tej chwili uśmiech zabłysnął na jej twarzy, jakby przez łzy, i rzekła cicho:

— Niech pan tak zrobi.

— Pewnie, że tak zrobię — odpowiedział młodzieniec stanowczo — byłbym też bardzo naiwnym, gdybym zrobił inaczej.

— Niech pan tak zrobi — powtórzyła dziewczyna swobodniej — to będzie bardzo rozumnie. Ja w Przewoźnikach pozostanę na zawsze, będę pana widywać codziennie i będę się cieszyć, że pan taki szczęśliwy. Potem ja pójdę zamąż, pan się ożeni i będziemy sobie żyć razem, jak najbliższe rodzeństwo....

Nie było w niej jeszcze żadnej innej myśli w tej chwili, ale przecież, gdy to mówiła, lekki rumieniec okrył jej lice.

Karolowi oddech zaparł się w piersiach, popatrzył na nią, a potem rzekł:

— Maleńkie słówko—a przecież mnie zabolało.

Na te słowa dziewczyna się lekko wzdrygnęła, krew jej uderzyła do twarzy, opuściła oczy ku ziemi i przez jedno oka mgnienie była jakby nieżywa. Ale w tej chwili łzy jej się zakręciły w źrenicach, powstrzymywała je póki mogła, lecz gdy widziała, że ich ukryć nie zdoła, zerwała się raźnie i wyszła śpiesznym krokiem do alkierzyka.

Karol ją odprowadził wzrokiem aż do drzwi; byłby pół życia dał za to, gdyby ją mógł był powstrzymać, a przecież kiedy odeszła, odetchnął z głębi ściśnionej piersi, jak gdyby mu jakiś ogromny ciężar spadł z serca....

To oka mgnienie było kulminacyjnym punktem ich znajomości. Odtąd nie byli już sobie znajomi, ale jedni z sobą. Nacierające dotąd na siebie prądy ich serc wpadły w siebie nawzajem i popłynęły jednem korytem. I popłynęły tak harmonijnie, tak spokojnie i cicho, że zaledwie można było dosłyszeć ich szmer....

Wieczorem siedzieli oboje przy sobie i rozmawiali. Ona mówiła:

— Ach! gdybyś ty wiedział, jaka ja nieszczęśliwa! Tak mnie tam źle jest w tym naszym domu, tak nudno, tak zawsze smutno, że nie umiem ci tego powiedzieć. Ja nie mam matki—tak dawno ją już straciłam! Od tego czasu jestem wciąż na opiece kobiet obcych, a zawsze takich, które strasznie mnie nudzą, tak męczą, tak prześladują, że trzebaby było mieć świętą cierpliwość, ażeby z niemi wytrzymać. Tak ciągle cierpiąc, tak się męcząc w zgryzotach, żebym choć jedno serce miała, któreby mnie kochało, żeby choć jedno ucho, któreby moich skarg wysłuchało cierpliwie! Nigdzie nikogo. — Ojciec mój taki zimny jest dla mnie. Zawsze zajęty interesami, zawsze jakąś rachubą, czasem przez kilka dni ani na mnie spojrzy. On mnie kocha, ja wiem; on mnie często do swojej piersi przyciśnie, czasem nawet w rękę mnie pocałuje; ale co mnie z takiego kochania! On się mnie nigdy o nic nie spyta; on nie wie, co ja myślę lub czuję. On nawet nie chce nic wiedzieć o tem i postępuje ze mną, jak z jakim sprzętem. Mniejsza już o to, że z Fonsiem postępuje inaczej. — O! dla Fonsia wszystko tam jest; spowiadają się przed sobą z grzechów śmiertelnych, mniejsza już o to. Ja Fonsiowi nic nie zazdroszczę; i ja go kocham. Ale czy nie mogłoby także i dla mnie być troszkę takiego serca? Jabym się kontentowała tak małem, odrobineczką tylko... ale i tej dla mnie tam niema!

I płakała biedna dziewczyna. I jemu łzy w oczach stanęły, ale je wstrzymał z zapałem i rzekł:

— Nie płacz, Józiu! nie płacz dzieciątko moje! to tak nie pozostanie, to się już skończyło na zawsze. Ja ciebie kocham, żebym sobie dał wszystkie żyłki wypruć za ciebie. Ja ciebie nie pozostawię na pastwę twoim cierpieniom i nudom. Ja ciebie wydrę choćby z objęcia piekieł! Wydrę i przyniosę na własnych rękach do siebie. Tam oddam ci cały dom mój i zamek i wszystko, i będziesz nad tem jak królowa panować do śmierci. Moja matka cię przyjmie jak swoje dziecko rodzone, przyciśnie cię do swej piersi i każdą łezkę własną ręką osuszy;—ona jest taka dobra, tak mnie kocha, jest święta! Ja będę u nóg twych klęczał przez całe życie, będę cię pieścił jak najpiękniejszy kwiatek mego ogrodu, będę strzegł twego szczęścia, jak anioł-stróż strzeże snów w kolebce śpiącego dziecięcia! Nie płacz, aniołku mój; ty będziesz najszczęśliwszą ze wszystkich kobiet na ziemi.

Z lubością spoglądała dziewczyna na niego i mówiła z serca:

— O! ja wiem, jakbym ja była szczęśliwą przy tobie! Tak mi się zdaje, że ty tylko jeden jesteś na całej ziemi, z którymbym poszła w świat i zapomniała wszystkiego; ty tylko jeden, ani chcę wiedzieć o innym! Ty masz coś w sobie takiego, jak ten obrazek Matki Najświętszej, wiszący nad mojem łóżkiem, któremu bym życie moje oddała. Ty mi się zdajesz być bliższym, niżeli brat mój i ojciec, tyś prawie mi bliższym niżeli ja sama. Ja nie wiem; co to takiego, tak cię znam od niedawna, a zdaje mi się, jak gdybym cię znała od wieków. O! jakżebyśmy byli szczęśliwi oboje!—Ale cóż! czy nam po-

zwolą pójść z sobą razem gdzie nam się będzie podobać! Doprawdy, ja tego nie wiem i jakiś dreszcz mnie przejmuje, gdy o tem myślę....

— Nie pozwolą? — rzekł na to Karol ze zdziwieniem — a to dlaczego?... Któż to ja jestem? czylim nie taki dobry, jak każdy inny, któryby mógł się zgłosić o twoją rękę! czy nie mam wychowania odpowiedniego temu towarzyskiemu kółku, w jakiem się twoja rodzina obraca? Czy nie mam dostatecznego majątku, z któregobym mógł żonę utrzymać?

Pomyślała nad tem dziewczyna i rzekła:

— To prawda. Coby oni mogli mieć przeciw tobie? — Tak mnie ta myśl tylko przeleciała przez głowę... tak mi się to jakoś zdawało; sama nie wiem dlaczego. Ale to pewnie dlatego, żeś ty tak mało podobny do mego ojca i Fonsia. Jakoś mi się to w głowie pomieścić nie może, żebyście wy porozumieli się ze sobą, żebyście się kochali...

— Moje dzieciątko! — rzekł na to Karol porywczo—porozumiemy się z sobą, to dobrze; pokochamy się, to jeszcze lepiej. Ale jeżeli nie, to ja dla tego głowy sobie nie urwę. Jak ciebie kocham, na nich mnie nic nie zależy; wszystko na tobie. Jeżeli tylko ty będziesz moją, nic nie chcę więcej...

— Ach! zmiłuj się, moje życie, tak nie mów...

— Dlaczegoż to, mój aniołku? — spytał Karol łagodnie.

— Bo oni wszystko mają w swym ręku. Kiedyby się na mnie zgniewali, oniby nic mi nie dali...

— To niech nie dadzą.

— Oniby może nie dali mi nawet i tego, co moje...

— To niech i tego nie dadzą!—zawołał ze szlachetną energią młodzieniec,—a co mi! czy ja potrzebuję twojego majątku?—Owszem, niech tylko nic ci nie dadzą, to mi będzie najmilej. Owszem, niech tylko cię mogę wziąć bez niczego. Bez sukienki, bez trzewiczków, tak jak tu jesteś, tak ciebie kocham najbardziej. O! gdyby mi ciebie tylko taką oddali!

Z uwielbieniem prawie patrzała dziewczyna na niego, a radość promienna wymalowała się na jej prześlicznej twarzy.

— Ty jesteś dobry jak anioł—mówiła szeptem do niego; — ty jesteś takim, jakiegom sobie nawet w najpiękniejszych snach moich nie umiała wymarzyć... Umrę i jeszcze cię w grobie nie zdołam zapomnieć!

Już tutaj prawie zbytecznem jest opisywać, jak z każdem słowem, z każdem spojrzeniem te młode serca coraz ściślej łączyły się z sobą. Było troszeczkę obawy o to, czy ich nadzieje, ich gorące pragnienia, potrafią się ziścić bez przeszkód — było w trwożliwem sercu młodej dziewczyny jakieś niedobre przeczucie — lecz wobec ich chęci gorącej, w obec ich żywego uczucia, które prawie zawsze się równa natchnieniu, wszystko to wprędce zniknęło jak mara. Już odtąd ani im na myśl nie przyszło, żeby ich miłość znalazła opór najmniejszy. Szczęśliwi byli i marzyli tylko o owych czasach, kiedy będą jeszcze szczęśliwsi!

Takie też były ich długie, niewyczerpane rozmowy. Młodzieniec opisywał dziewczynie, jak wygląda dwór jego, jakie wokoło dworu ogrody, jaki

był sposób życia i jakie obyczaje za jego ojca. Dziewczyna go słuchała z wytężoną uwagą, wypytywała się o najdrobniejsze szczegóły i wszystkie się jej podobały.

— Ja już wiem, jak tam jest u was, — mówiła na to z zajęciem,—tak już znam wszystko, jak gdybym na moje oczy widziała. I wszystko to mi się bardzo podoba. Tak tam ciepło być musi u was, tak jakoś dobrze, tak jakoś... że nie umiem tego powiedzieć. Te staroświeckie sprzęty, te starożytne obrazy, ta kaplica domowa, ci starzy słudzy, ta cisza taka poważna i świątobliwa, ach! jak mnie to chwyta za serce. To mi przypomina dom mojej babki w Krakowie, to moją matkę wywołuje mi z grobu — jabym tam płakać, mogła, ja będę płakać, kiedy tam wejdę. Ale mi dobrze tam będzie... ja to tak czuję, jak gdybym już tam mieszkała. — O! w naszym pałacu jest nie tak, całkiem inaczej. Tam wszystko błyszczy, jak gdyby dopiero wczoraj było przywiezione ze sklepu — tam nigdzie niema ani jednego pyłeczku tatko tego przestrzega nadzwyczaj pilnie;—ale jakoś tam zimno jest u nas. Ja, kiedy patrzę na te złocone tapety, na te ryciny lśniące szklanemi szybami, to mi tak jest, jakbym się gołą ręką dotknęła lodu. Tylko mój pokoiczek jest inny. U mnie niema ani tapet złoconych, ani jednej ryciny, tylko obrazek Matki Najświętszej po mojej matce i duży obraz olejny od babki i niema nic więcej—ale tak tam jest u mnie cieplutko, tak dobrze... jak w Zawisłoczu.

To mówiąc, spojrzała z filuteryą w oczy Karola.

— Ach! chciałbym, żeby ci w Zawisłoczu było jak w niebie.

— Ja sobie wyobrażam, jak mi tam będzie. Pomiędzy temi starożytnościami, przy twojej matce staruszce, my oboje wyglądać będziemy jak dzieci, które przyjechały na święta z konwiktu. Będziesz widzieć, że ci starzy bezzębni słudzy jeszcze przez czas długi będą mnie nazywać panienką, a ciebie paniczem. A cóż dopiero, jak nas wywiozą w tej starej ogromnej karecie, po której czterech rogach u góry siedzą cztery prześlicznie z drzewa rzeźbione papugi?

— Przecież ci nową sprawię karetę, najpiękniejszą, jaką dostanę w Wiedniu.

— Ja nie chcę. Ja będę jeździła w tej starej. Ludzie się może śmiać będą ze mnie, ale ja z nich jeszcze daleko więcej i powiem: Albo wy wiecie, gdzie mieszka szczęście?

Byłby się Karol mógł do nóg jej rzucić, taką śliczną była w tej chwili.

A ona szczebiotała wciąż dalej.

I szczebiotała przez dziś i przez jutro—a młodzieniec się jej nie mógł nasłuchać.

Za każdym zwrotem nowym w rozmowie, za każdem słowem odkrywał w niej coraz piękniejsze przymioty umysłu, coraz żywsze uczucia młodego, niezepsutego serca. Co chwila powiadał, że jest zachwyconym do najwyższego stopnia, a przecież co chwila jeszcze się bardziej zachwycał. Zdawało mu się, że przez coraz bliższe poznawanie jej moralnej istoty może się z nią bliżej zespoli sercem, ale straci niejeden kwiatek z tego niewymownego uroku,

który nań w pierwszej chwili wywarła.—Ale gdzież tam! im bliżej ją poznawał, tem większy ją jeszcze urok w jego oczach otaczał, tem piękniejszą, tem czystszą, tem świętszą wydawała mu się jej postać. O! bo niewyczerpaną w swoich wdziękach moralnych jest każda kobieta, dopóki jest taką, jaką ją na tę ziemi postawiła natura. Sztuka, rzecz ludzka, bardzo płytkie ma dno—tylko to, co Bóg stworzył, choć takie zazwyczaj proste, jest bezdenne i niezgłębione. Gdyby o tem chciały wiedzieć kobiety, jakżeby je wiernie, jak nieskończenie kochano!

Oboje młodzi byli niewyczerpani w swoich rozmowach. Zrywali się codzień równo ze świtem, schodzili się z sobą już przy śniadaniu, nie odstępowali się przez dzień cały, szczebiotali przez cały wieczór — i jeszcze zawsze żegnali się z żalem, że noc tak prędko nadeszła. Co mówili z sobą, Bóg wiedzieć raczy. Dzieckiem trzeba być takiem, jak oni, ażeby to dosłownie powtórzyć. A nie każdemu jest dano, zachować takie nieocenione dziecięctwo na zawsze.—Wiemy więc tylko tyle, że w tych nieustających rozmowach byli niewymownie szczęśliwi. Stracili świadomość siebie, sam czas przed niemi ustąpił. Prawie cała ta ziemia z pod nóg im się wysunęła, byli jak gdyby w czystem powietrzu, jak gdyby w niebie. I nie myśleli już o tem, ażeby kiedykolwiek być mogło inaczej. Zdawało im się, że na wieki tak będzie...

Ale niestety! tak nie było.

Żal chwyta za serce, przerwać te chwile takiego szczęścia, chwile tak rzadkie, tak krótkie, niejedne-

mu wcale nieznane. Lecz trzeba je przerwać, bo się istotnie przerwały.

Jakoż dnia jednego wieczorem, kiedy właśnie oboje dopiero co mieli zasiąść do długiej na cały wieczór rozmowy, jakiś turkot gwałtowny dał się słyszeć przed chatą. Dziewczyna się zerwała z krzesełka i zbladła jak ściana.

— Basiu! co to takiego?—wymówiła głosem zamarłym.

Basia, która około komina droczyła się jak zwyczajnie z zakochanym w niej Antkiem, chciała wybiedz do sieni — ale wtem wszedł stary sługa szambelana, jeszcze pozostały po jego nieboszczce żonie, do chaty i ze łzami w oczach rzucił się do nóg swej ukochanej panience.

Jemu się serce rzucało z radości — a jej biedaczce serce się zakrwawiło z bólu.

Spojrzała na Karola—on był martwy jak głaz.

Tymczasem sługa zaczął się rozwodzić ze swoją radością, opowiadając przytem, że pan ich przysłał z Tarnowa, ażeby pannę zabrali i tam do niego przywieźli.

— A gdzie bym ja wam jechała!—zawołała dziewczyna z niechęcią—żeby mnie jeszcze gdzie na drodze zabili.

— Nic nam nie będzie, panienko!—powiedział sługa,—mamy ze sobą dwóch żołnierzy, jednego na koźle, drugiego z tyłu; ani nam włos z głowy nie spadnie. Siądziemy zaraz — a jeszcze pan spać nie pójdzie, kiedy będziemy w Tarnowie.

Był to wyrok ostatni i niecofniony.

Obróciła się dziewczyna do zdrętwiałego na łóżku młodzieńca i rzekła bolesnym szeptem:

— Ach! czegobym za to nie dała, gdybym mogła nie jechać!

Ale młodzieniec odpowiedział jej z rezygnacyą:

— Jedź! Inaczej nie można.

— Jedź—dodał trochę swobodniej, zaczerpnąwszy powietrza; — przecież niebawem się obaczymy. Jak tylko troszkę się wzmogę, zaraz za tobą przylecę.

Te słowa powróciły jej życie. W pierwszym momencie, pod bezpośredniem wrażeniem tej wiadomości straszliwej, zdawało jej się zapewne, że jak się dzisiaj rozłączą, to się rozłączą na wieki; teraz dopiero spostrzegła, że przecież nie odjeżdża na Ukrainę, a i tam jeszcze nie trudnoby ją odszukać. Tak odetchnęła cokolwiek — ale zarazem niezmiernie się tem przeraziła, że nic nie mówiła z Karolem o tem, co poczną na ten wypadek, jeżeli im się przyjdzie rozłączyć. I jemu także przyszła ta sama myśl w tej chwili. Spojrzeli oboje na siebie i zrozumieli się samem spojrzeniem; ale niestety! tylko to sobie powiedzieli, że nic sobie powiedzieć nie mogą.

Sługa naglił. Szalona Basia już wszystkie rzeczy do karety wyniosła, już przywiezione futro jej zarzucała na plecy.

— Bądź zdrów! — szepnęła jeszcze przez łzy, nachylając się nad łożem młodzieńca — i już była za drzwiami.

Nim jeszcze Karol zdołał jej odpowiedzieć, łzy rzuciły mu się do oczu i całą twarz mu zalały.

Tak nieubłagana konieczność, nielitościwa i nagła jak śmierć, rozdarła w jednem oka mgnieniu te dwa młodziutkie serca, złączone z sobą najczystszą spójnią, jaka kiedykolwiek złączyła dwoje ludzi ze sobą.

Po jej odjeździe cisza zaległa świetlicę, cisza straszna, przerażająca, jak gdyby samo życie umarło' jak gdyby je w tej chwili wyniesiono na cmentarz i tylko cztery nagie ściany po niem zostały....

W godzinę potem przystąpił Antek do łóżka Karola, siadł poufale na stolku i patrzał w twarz jego ze współczuciem.

Karol był blady jak ściana i na połowę ztrętwiały, ale bez przykrości spojrzał na tego młodego chłopaka, w którym przeczuwał wspólnika swojej żałoby.

Patrzał tak młody rybak przez długą chwilę na niego, namyślał się trochę, a potem rzekł jakby z żalem:

— Czegoż to panicz się smuci?

Karol mu nic nie odpowiedział.

— Bo co prawda, to prawda,—rzekł Antek—żebym ja był na pańskiem miejscu! nawet by mi łza jedna nie poszła. Pokochaliście się państwo, to się i pobierzecie. Wielki to pan ten ojciec naszej panienki, ale i paniczowi nie chybi. Już wam ta nikt nie przeszkodzi. Ale to mnie ciężki smutek, nie tak, jak panu!

— Cóż tobie? — odezwał się Karol nareszcie — wszakże i wyście sobie tak samo równi.

— Licha tam równi! Strasznie to sztuczna jest dziewka ta Basia.

— Co to jest sztuczna?

— O! albo to pan nie wiedzą? Sztuczna jak wszystkie dwórki. To takie kute a zmyślne jak lis. I tak i inaczej, już i trudno powiedzieć...

— Cóż? więc nie chce, ażebyś się z nią ożenił.

— I chce i nie chce, ot! jak to u nich zwyczajnie. Ale ja wiem, co się tam święci. Stangret jej się podoba od grafa, co to chodzi w tym kusym kaftanie, właśnie jak dyable niemieckie. On tam z końmi zajeżdża przed bramę, a jużem i sam widział z daleka, jak rozmawiali ze sobą. Chociaż i niewiem, jak się ta rozumieją ze sobą, bo to istne Niemczysko. Sprowadzili go gdzieś z za morza, żeby konie ujeżdżał. Zabij go, a nie przemówi ani słowa po ludzku. No! ale jak ja go kiedyś w garść wezmę, to on przecie przemówi! I ona wtedy przemówi; żeby ją jeno kto potem uciszył, bo to dużo będzie gadania.

— Mój kochany — rzekł na to Karol, orzeźwiwszy się trochę — ja się domyślam, jakie ty masz zamysły. Ale to bardzo nie dobrze. Bo proszęż ciebie, cóż ty masz za prawo mścić się na Basi za to, że cię nie kocha? Przecież każdej dziewczynie wolno jest kochać lub nie, jak jej się samej podoba.

— A kto tam pyta w takich nieszczęściach na prawo! Ja kiedy chwycę tego Niemca za kark, to jeno mi kwiknie w ręku jak zając. Niechże mnie potem powieszą! Jeszcze im podziękuję — a co mi wtedy po życiu!

— Bardzoś się widzę, mój Antku, rozdąsał. Musiała ci Basia dokuczyć. Ale nie mniej jej tego za złe. To jest kobieta, to dziecko; kobietom nic

nie można brać za złe. Jakie to słabe, jak nieszczęśliwe, jak umęczone przez wszystkich! Przyjdzie maleńka chwila swobody, to sobie igra natenczas jak dziecko, jak maleńkie kociątko. Zabijesz kocię, jeżeli w takiej igraszce drapnie cię kędy po ręce? Możesz mieć serce, choćby je tylko uderzyć? — A wszakżeś sam sobie winien, mój Antku; nie było igrać z kociątkiem! — Rozmyśl to sobie z uwagą, a jak rozmyślisz, pewnie przyznasz mi rację. Niemca bij, jeżeli cię to pocieszy — ale dziewczynie daj pokój...

Słuchał go chłopak z zajęciem i widocznie był rozbrojony.

— Jużci to prawda — rzekł po chwili z namysłem;—niema się ta mścić na kim, choć może i byłoby za co. Bo trza panu wiedzieć, że mnie okrutnie unieszczęśliwiła. Kiedy nie miała chęci iść za mnie, czemuż mi nie powiedziała odrazu? A ona mnie bałamuciła coraz to lepiej i jeszcze wciąż bałamuci. Tędy i tędy, i pójdę za ciebie i nie pójdę, dzisiaj zaczekaj, a jutro zasie daj pokój — a ja jej widzę po twarzy, że wciąż do stangreta się wraca. A to tak się nie godzi, bo to, panie, grzech wielki; trzeba się z niego spowiadać, a nie wiedzieć, czy go ksiądz odpuści...

— Nie dziwże się temu, mój Antolku, bo to tak zawsze jest z dziewczętami. Tobie się zdaje, że ona ciebie bałamuci, a ona sama jest jeszcze więcej zbałamucona od ciebie. Ty chcesz, ażeby ci powiedziała tak albo owak, a ona sama może nie wie, co się z nią dzieje. Tu ją serce pociąga do ciebie, a tam może co innego, bo to rozmaite bywają

u dziewcząt powody. Ale miejno cierpliwość, daj jej się dobrze namyśleć, a ja jestem pewny, że dobrze będzie na końcu. Bardzobym źle rozumiał o Basi, gdyby ciebie, gospodarza osiadłego na roli, mającego jeszcze prócz tego rzemiosło, nie przeniosła nad jakiegoś niemczynę, który w cudzej chodzi liberyi i cudze konie ujeżdża...

Dosyć te słowa przemówiły stroskanemu chłopakowi do serca, uspokoił się trochę i rzekł:

— Bardzo pan pięknie mi mówią. Pewnie i panby tak zrobił, gdyby panienka tak z panem balamuciła. Niema co mówić, trza mieć jeszcze cierpliwość...

Tak biedny Karol, choć sam był rozdarty na sercu i prawie zdrętwiały od bólu, jeszcze musiał drugiego pocieszać. Jednakże ta pociecha, udzielona młodemu przewoźnikowi, przyniosła i jemu samemu ulgi cokolwiek. Uczuł się swobodniejszym, weselszym na umyśle i sercu. Byłby był teraz mógł całą noc myśleć pogodnie o Józi i marzyć o tej szczęśliwej chwili, kiedy ją znowu obaczy.

Ale niestety! nad jego stroskaną głową wisiała już w tym momencie druga ciężarna gromami chmura, może jeszcze daleko groźniejsza od pierwszej.

W tej chwili bowiem wszedł stary Bernat do chaty. Wszedł cały drżący i roztargniony, twarz jego była zmieszana do najwyższego stopnia, oczy jego błyszczały gniewem i zgrozą. Przystąpił łaźnie do łóżka swojego gościa i rzekł głosem zachrypłym:

— Paniczku! źle pono z nami.

— Cóż tam takiego?—zawołał Karol, zrywając się nagle i siadając na łóżku.

— Złe, panie! żołnierze są we wsi, byli u księdza i strzęśli całą plebanię do nitki, poszli teraz do dworu i tam znów trzęsą. Jeżeli pójdą do Zawisłocza, to ani chybi, że zajdą także i tutaj. A może nawet przyjdą umyślnie! Zbieraj się panicz, siadajcie z Antkiem na szkapy i uciekajcie póki czas...

Jakiemi uczuciami ta niespodziana wiadomość przejęła serce Karola, nie potrzeba powiadać. Oparł głowę na dłoni, pomyślał chwilę, a potem rzekł:

— Uciekać mówisz? I gdzież uciekniemy? Pójdziemy w lasy, to zginiemy z głodu i zimna. Uciekniemy w pole, to nas zbójcy uchwycą i zamordują, Pójdziemy do miasta, a czyż nas tam Niemcy nie znajdą?

Bernat spojrzał na niego i prawie skostniał na miejscu. Prawdę mówił młodzieniec— nie było dokąd uciekać. Upadł też zaraz napowrót w poduszki i czekał z rozpaczliwą determinacyą tej chwili, w której los jego przyszłość rozstrzygnie.

Na szczęście ,swoje nie potrzebował przynajmniej czekać zbyt długo.

Za krótką chwilę zrobił się brzęk i hałas pod chatą. Obsadzono żołnierzem okna i drzwi, a do świetlicy wszedł oficer z osławionego podówczas pułku szwoleżerów z kilku pomocnikami swej służby.

Znaleziono Karola w łóżku, a przy nim płaszcz pistolety i strzelbę. Były więc zaraz i dowody, że winny, wtedy aż nadto wystarczające.

Rozpoczęto z nim małe pobieżne śledztwo, ale się nic nie dowiedziano od niego.

— Macie mnie—rzekł im krótko i węzłowato— to mnie weźcie i nie pytajcie o resztę.

Powiedział te słowa z taką godnością i rezygnacyą, że nawet najzawziętsza nienawiść umilkła.

Wzięto go tedy, okuto w ciężkie kajdany i wyprowadzono ze świetlicy.

Na progu jeszcze się raz zatrzymał i jeszcze raz spojrzał do wnętrza chaty. Chatka to była tak nędzna, tak mała, a on w niej przecież cały świat szczęścia zostawił! Na to wspomnienie łzy mu się rzuciły do oczu, ale je zgryzł w sobie i stłumił, aby się nie stał urągowiskiem dla nienawistnych siepaczy. Raźnie wskoczył na wóz, zawołał: Bywajcie zdrowi! i w oka mgnieniu zniknął gdzieś razem ze strażą wśród ciemnej nocy.

Ojciec z synem powrócili do chaty, posiadali w odległych kątach i nie umieli słowa przemówić do siebie. Tego dnia już wieczerzy nie jedli, zapomnieli nawet pacierza. Pokładli się potem każdy na swojem łożu i posnęli w tej osieroconej izdebce snem takim bolesnym, jak gdyby ich żywcem pokładziono do trumny.

V.

Narożna baszta Zawisłockiego zamku mieściła w sobie jedno z tych mieszkań, jakie się dzisiaj już bardzo rzadko spotyka. Gdzieś w jakimś niespalonym klasztorze, w jakiemś zamczysku ze średnich wieków, nareszcie w której za starożytnych kamienic jakiegoś starożytnego rynku, zdarza się jeszcze znaleźć takie połamane, powykręcane komnaty, pełne przymurków i framug, rozmaitych krużganków i schodków; ale pewnie tam nowożytne poprawki zmieniły wiele, a niezawodnie zatarły tę pleśń starożytną, tego ducha zagasłych wieków, który nieraz z jakiegoś niezgrabnego floresu, z jakiejś rzeźbami ozdobionej framugi, z jakichś ukrytych drzwiczek albo schodków kręconych, daleko żywiej do nas przemówi od najmozolniej spisanej księgi. Nie zrozumielibyśmy z całych bibliotek życia dawno umarłych ludzi, gdybyśmy byli nie obaczyli naocznie ich komnat i sprzętów, ich starych zbroic i mieczów. Czasem po dziesięć razy przewertowana księga nie po-

trafiła powiedzieć tyle, ile powiedział jeden zardzewiały pancerz; czasem całe domowe archiwum dało tylko rejestr dat suchych, a dopiero komnata starego dworu natchnęła je ruchem i życiem...

Tu jeszcze stare basztowe mieszkanie zachowywało się w dawnej swojej postaci. Była tu tedy najpierw wązka długa komnata, która się półokrągło kończyła od frontu zamku. W tej półokrągłej ścianie znajdowało się wielkie gotyckie okno, które dawało widok na obadwa brzegi Wisłoki, przenosiło pomniejsze wzgórza i zaglądało w dalekie krainy aż ku brzegom Dunajca. Przy prawej ścianie okna stał stół ogromny dębowy, niegdyś zielonem, dziś już bezbarwnem nakryty suknem, nad tym stołem podnosiły się półki coraz wyższe i wyższe, zarzucone mnóstwem ksiąg i papierów, na najwyższe z nich dwa globusy, jeden ziemski, drugi niebieski, a między niemi we środku Chrystus na krzyżu. Wokoło dalszych ścian, to w głąb framug wsunięte, to do przymurków przyparte rozciągały się szafy, bardzo misternie z dębowego rzeźbione drzewa, a ozdobione to symbolami mitologii pogańskich, to wspomnieniami hieroglifów egipskich; w tych szafach pełno ksiąg rozmaitej wielkości i w rozmaite skóry oprawnych. Na wierzchach szaf pełno najrozmaitszych rupieci: zwierzęta powypychane i ptaki, skóry wężowe, czaszki ludzkie, misiurki zadrzewiałe, surmy strzaskane i tygle podziurawione, tu pozytywka oniemiała od wieków, gdzieindziej jakieś narzędzie nieznajome już dzisiaj ani z nazwiska, ani też z przeznaczenia. Na bocznych ścianach głębokich framug porozpinane mapy, przedstawiające świat cały, od brzegów sta-

rożytnej Hellady aż po ultima Thule, od Chersonesu Cymbrów aż po błota meockie, a dalej morze zakryte ręką olbrzyma. W głębi komnaty komin ogromny, umieszczony w ścianie przecinającej kąt cały; w tym kominie jakieś osobliwsze czeluście i lufty, stare kociołki i tygle, nad nim sowa wypchana zaglądająca swemi okrągłemi oczyma w ognisko, a jeszcze wyżej jakieś ogromne zamalowane płótno, na którem już tylko znać było litery, wychodzące z ust osób dawno zatartych. W sąsiednim kącie, który się znowu wrył w głąb kamiennej ściany, widać było schodki kręcone, prowadzące na małą galeryę, a z niej na zębaty wierzch baszty, między kominem a temi schodkami, drzwi wielkie, a w nich schodki podwójne, wiodące na dół niżej o jeden sążeń do obszernej sypialni, drugie o sążeń w górę, do znajdującego się nad tąż sypialnią archiwum. W całej zresztą komnacie pierwszej było pełno pyłu i kurzu, gdzieniegdzie nawet tak grubo, że przedmiot nim obsypany stracił swą formę, a nigdzie nie było widać żadnego nowego sprzętu: krzesła te same złoconą obite skórą, na których siadywano od wieków, te same ciężkie żelazne lichtarze, któremi się ongi posługiwano, stały na stole, nocny kaganiec nawet, w kształcie głowy Meduzy, zawieszony u stropu, wisiał na swojem miejscu i może dziś jeszcze można było w nim znaleźć olej, za którego z Augustów nalany i niewypalony do dziś dnia...

Tak wyglądało to starożytne mieszkanie w narożnej baszcie Zawisłockiego zamku.

Owo więc w tej komnacie, którą oświetlało jedno gotyckie okno, za owym ogromnym stołem, nad

którym zwieszały się dwa globusy i Zbawiciel na krzyżu, siedzi dzisiaj mąż jakiś przygarbiony nad księgą.

Kto jest ten mąż, obwinięty w te płyty i prochy dziejowe, jak gąsienica w pajęczyn zwoje, zawieszony na szczycie wieży, jak gniazdo orle w koronie dębu, siedzący ze spokojnemi myślami nad księgą, kiedy cały świat koło niego w płomieniach?— Kto jest ten mąż, martwy już, albo jeszcze nie żywy?—ja nie wiem.

Chmurno jest w tej komnacie, dymno i czarno na niebie, przypatrujemy mu się i nie możemy rozeznać. Zaciemnionemu oku wyobraźnia przychodzi w pomoc i dziwne stroi domysły...

Wyobraźnia wierzy w duchy i zagrobowe zjawiska i każe przed sobą stawać tym wszystkim dawno umarłym, którzy w tej samej komnacie, za tym samym stołem siadywali przed laty.

I staje przed nią najpierwej mąż kościsty i chudy, z wąsem zuchwale zakręconym do góry, z brodą szpiczastą, strzyżoną ze szwedzka, z kryzą do koła szyi, w kaftanie ze złotej lamy, w butach z szarej skóry, z szerokiemi jak konwie cholewy, opuszczonemi na dół i z ogromnemi ostrogi. Jakiś to dziad z czasów ostatniego Zygmunta. Ten tutaj niegdyś tak samo siadywał nad wielką łacińską księgą i topił swój rozum misterny w jej kartach. Wstawał potem z poręczowego krzesła i szedł do komina na którym pomiędzy sztucznemi czeluściami płonęły ognie nieustające. Tam do tych ogniów kociołki przystawiał, zawieszał tygle na drutach i smażył w nich jakieś tajemnicze dryakwie. Był-li lekarzem? Ucho-

waj Boże. Panem był, a z fantazyi alchemią się bawił, sztuczne złoto wymyślał, preparował kamień filozoficzny. „Król się bawił alchemią, dlaczegoż on miał być gorszym od króla?“ I to broń Boże! Właśnie dlatego, że król to sztuczne złoto wymyślał i nie wymyślił, on się zabrał do tego i był pewnym, że je wymyśli. Dla siebie? Jeszcze raz: chowaj Boże! Dla całej Polski. On czuł, że Polska choruje, że potrzebuje lekarstwa, on ją chciał zabawić i szukał lekarstwa w alchemicznych dryakwiach. Taka była mądrość, taki duch czasu natenczas...

Po nim zjawił się inny za owym stołem. Ten był siwowłosy staruszek, miał lat dziewięćdziesiąt, albo i więcej, zgarbiony był ciałem i pomarszczony na twarzy, ale zdrów i czerstwy. Był to syn tego alchemisty, całkiem niepodobny do niego, inaczej nawet zewnętrznie wyglądał. Czuprynę miał króciutko strzyżoną i wąs przystrzyżony, żupan błękitny długi z twardego sukna i kord bojowy u boku. Siedział za stołem, lecz ksiąg nie czytał, tylko miał plik papierów przed sobą, a pióro w ręku i pisał. On nawet nigdy w swem życiu żadnej księgi nie czytał, nie miał czasu po temu, bił się przez całe życie. Kilkunastoletniem pachołęciem pobiegł pod Wiazmę, Kaługę, Możajsk, aby odebrać Smoleńskie i Czernihowskie, ubezpieczyć Kurlandyę i Estonię dla Polski. Bije się potem z Kozactwem i Tatary na przemian, a tak Sine, jak Żółte krwią się jego farbują. Ledwie trochę odpoczął, biegnie pod Beresteczko i odtąd już wcale nie zna pokoju. Od Kudaku po brzegi Danii, od mórz bursztynowych po Siedmiogrodzkie fortece, przebiega ziemię z kordem

w prawicy i jeśli znajdzie chwilę spokojną, to ledwie na to, ażeby kord swój wyostrzyć i przesiąść się na innego bachmata. Ukończył wreszcie tę straszną wojnę, wyswobodził ojczyznę, obrał nowego króla, osadził go spokojnie na tronie, chciałby i sam już odetchnąć, aliści nowe wołają go obowiązki. Biegnie więc przeciw Turkom pod Lwów i Kamieniec, broni powagi królewskiej w konfederacyi Gołąbskiej. Nie koniec jeszcze z Turkami, a więc i jego pracy nie koniec; ma jeszcze siły, nie umie ich pożałować; trwa w swojej wyprawie aż do wyprawy Wiedeńskiej. Starcem już prawie, całkiem zgrzybiałym, wraca do domu. Wspaniale przeżył życie, wspaniałą powinien zastać nagrodę. Lecz jej nie zastał. Uspokoiło się jego serce o teraźniejszość, ojczyzna jego uratowana; ale go trwoga przejmuje o przyszłość. Patrzy w tę Polskę i widzi, że ona zawsze jeszcze choruje. Obroniła się teraz, lecz gdy powtórnie przyjdą tak niebezpieczne terminy, obroniż się im powtórnie? On myśli o tem, przelicza siły, przeważa ducha i wątpi. Dlaczego wątpi, sam nie wie, tak mu powiada tylko jego przeczucie. Ale on wierzy więcej temu przeczuciu, niż rozumowi. Ożywia się w nim pragnienie, ażeby temu złemu zaradzić. I tutaj nie wie, jak sobie ma począć; gdyby miał takie siły, jak chęci! ale ich niema. Zdaje mu się wszakże, iż aby tej Polsce przyjść z jakimś ratunkiem, trzebaby coś zbudować. Nie stać go było na więcej, ale na co go stało, to zrobił. Umyślił pozostawić potomności wielką przestrogę, umyślił spisać te wszystkie środki, z pomocą których się z tych niebezpieczeństw wyratowała. Tak sie-

dział on tutaj w tej basztowej komnacie przez wszystkie ostatnie lata swojego życia i pisał. Staremu żołnierzowi spracowana nie statkowała ręka, zbujały na polu umysł nie umiał się wciskać w wąziutkie pióro; ale jego przemożna wola, jego energia w tem, ażeby sobie nie dać odebrać pierwszeństwa w każdej służbie około pospolitego dobra, przemogła niewprawność ręki i niesforność umysłu, i spisał swoje czyny od początku do końca. I zaprawdę, dokazał daleko więcej niż jego ojciec: tamten tylko butną wiedziony fantazyą, nie chciał się w zbawieniu świata przez alchemiczne dryakwie dać uprzedzić nawet samemu królowi, ten tak w czynach zbawczych, jak i w pozostawieniu zbawczej spuścizny, nie dał się rzeczywiście uprzedzić nikomu...

Po jego zniknieniu zasiadł w tem krześle mąż trzeci. Ten był znowu odmienny od tamtych. Wysoki wzrostem jak olbrzym, czoło miał wzniosłe, jak małych niebios sklepienie. Jego duże oko błękitne było pełne świetnego blasku, a zarazem i pełne tego wrzącego ognia, który jest świadkiem głębszego umysłu, łaknącego rzeczywiytości i czynów. W jego zewnętrznej postaci było widać znamienitą ogładę, była też w nim rzeczywista oświata. Starał się o nią pilnie i nabył. Wiotkim młodzieńcem jeszcze wyprawił się za granicę, zwiedził miast wiele i krajów, służył przez rok w wojsku cesarskiem, potem lat kilka w armii francuskiej. Nabył tam wprawy w sztuce wojennej, a co ważniejsza, rozpatrzył się w życiu wewnętrznem narodów. Powrócił do kraju pełen nowych idei, pełen gorących chęci zamienienia ich w rzeczywistość w ojczyznie. Nie on sam był tak

usposobiony natenczas, było ich wielu, a ich głównem oparciem był przyszły nieszczęśliwy król polski, Leszczyński. I on się do niego przyłączył — i wyruszył na pole czynów. Jako jeden z najwaleczniejszych żołnierzy, walczył przeciwko Sasom, jako zręczny pośrednik liczne odbywał poselstwa. Po upadku Leszczyńskiego, tu, w tej komnacie trawił długie mozolne noce nad historyą i prawem, nad rozmyślaniem o stanie zgnuśniałego narodu, nad sposobem wrzucenia w ciemnię jego rozkisającej duszy iskier nowego światła i życia. Niebawem znów się zerwał do czynów, poleciał do blizkiego Dzikowa, do domu wrócił, tu w temże samem zamczysku małą konfederacyę zawiązał i wyszedł w pole. Nieszczęsne losy chciały, ażeby żadna z jego ożywczych myśli nie weszła w życie, to też mu śmierć przyśpieszyło. Umarł w tem samem krześle złoconą obitem skórą, wobec tych globów i Zbawiciela na krzyżu, z „Głosem wolnym“ swojego króla w skostniałem ręku. Zasnął cichutko po długich latach bezczynnych, ale przecież zrobił, co mógł, pierwszy szedł naprzód ku podniesieniu ducha swego narodu, a jego ślady pozostały w historyi...

Po jego zejściu syn jego w tej komnacie siadywał. Była to znowu postać odmienna. Barczysty, krępy, nabity, już swoją powierzchownością zdradzał, w jakich wychował się czasach. Umysł jego nie wystrzelił zbyt jasnym płomieniem w otaczającej go ze stron wszystkich ciemnicy, ale pozostało mu zato serce wrzące jak ukrop, a czyste jak łza. Jadł wprawdzie za czterech a pił za dziesięciu; ale gdy dosiadł konia, mógł zastąpić dwudziestu. Suro-

wym panem był dla swych poddanych, ale gdy trzeba było ofiary dla dobra kraju, wszystkie swoje gromady zastąpił. Pobożnym był przytem jak święty, miłość ojczyzny a wiara było u niego jedno; ztąd nieprzyjaciel wiary był wrogiem ojczyzny i odwrotnie. Taki był duch pospolity owego wieku, którego on nieodrodnym był synem. Jakoż na gorących modlitwach i hucznych biesiadach z dodatkiem trochy pieniactwa, małych kłótni sąsiedzkich i niewielkich zajazdów, minęła mu prawie połowa życia. Ale odtąd los go powołał na inną drogę. Przygotowywała się konfederacya Barska, a on był pierwszym, który do niej przystąpił i przystąpił z całym pułkiem, wysztyftowanym z własnej szkatuły. Trzy wioski sprzedał, ale ani mu w myśli nie było, kiedykolwiek za nimi żałować. Onby i Zawisłocze był sprzedał i pas ostatni i czapkę dla takich celów, a co ważniejsza, zostawszy się nagim po wojnie, byłby się jeszcze potrafił uczuć daleko bogatszym od innych. Czy go do tego czynu powodowała ambicya, czy miłość, a co nam do tego? Bóg będzie sądził pobudki, my widzimy czyny. On tak uczynił i ze swoim pułkiem bił się przez pięć lat całkowitych z taką samą fantazyą, z jaką czasu spokoju hulał, pieniał się w sądach albo sam egzekwował wyroki. Konfederacya upadła — czy i on upadł także? Bynajmniej. Zesmutniał bardzo, sfrasował się niesłychanie, ale nie upadł. Było zresztą naówczas dość rozszerzone przekonanie w Galicyi, że jej zajęcie przez Austryę jest tylko chwilowem, że się z nią stało to, co się w ubiegłych wiekach stawało z temi albo owemi województwami, graniczą-

cemi z Turcyą i Rosyą. Pełen siły żywotnej w sobie, i on dzielił to przekonanie, a jakkolwiek od Polski właściwej odcięty, przecież tam tylko żył sercem i duchem. Wtedy też najczęściej przesiadywał w narożnej kamienicy i czytał pilnie gazety przychodzące z królestwa, czytał wszystko, co tam wychodziło. Mimo ciemności wieku, w którym się urodził i wychował, już jako potomek tak znamienitej rodziny, wreszcie jako syn tak światłego ojca, nie był on nieczytelnym i niepiśmiennym, jak bardzo wielu szlachty podówczas. Brano się wówczas powszechnie do czytania, naonczas rozchwytywano łakomie wszystko, co druk ogłaszał, był instynkt jakiś rozpowszechniony, że, czego nie dokazała szabla, tego dokaże nauka, toż i on poszedł za tym instynktem. Biedny starzec oczy sobie wypatrzył na książkach. Szukał on w nich może tego, czego nigdy nie znalazł; lecz za to znalazł to, czego nie szukał. Znalazł kierunek dla swego syna. Jakoż wychował go bardzo starannie, utrzymywał w Warszawie pod okiem najznamienitszych ludzi, a potem wprowadził na najwłaściwszą drogę, jaka się młodzieńcowi polskiemu otwierała natenczas. I ten tedy dopełniał wiernie swych obowiązków: w czasach działania nie dał się nikomu uprzedzić ani w pracy, ani też poświęceniu, na bezczynność skazany, przekazał dalsze przodowanie w sprawach narodu swemu synowi i dał mu środki po temu...

Szczęśliwą była ta staroświecka komnata w baszcie narożnej; nie darmo w niej siadywali praojcowie tej szlacheckiej rodziny; wszyscy się wywiązali ze swych obowiązków i wszyscy się utrzymali do

końca życia przy pierwszeństwie w narodzie, bo swoje dziedziczne pierwszeństwo umieli zawsze podeprzeć i zawsze nanowo ożywić pierwszeństwem w pracy, w zasługach i poświęceniu.

Ale ten konfederat był już ostatnim, który w tej komnacie siedział. Jego syn, pułkownik, a ojciec Karola, prawie nigdy tu nie zaglądał. Tego znakomitego z wielu miar męża już znamy, nie potrzebujemy go opisywać. Wyborny żołnierz, czysty, szlachetny człowiek, przeżył życie najpiękniej, można nawet powiedzieć: wspaniale — ale... w swych obowiązkach nie wytrzymał do końca. Wytrzymał pięknie czynami, lecz nie wytrzymał swym duchem— skostniał w pojęciach i nie poszedł naprzód z szybko ubiegającym czasem— stracił nadzieję i zakończył rozpaczą. W tem rozpaczliwem usposobieniu zrzekł się dobrowolnie swojego tak mozolnie przez swoich przodków utrzymywanego pierwszeństwa—a co ważniejsza, nie umiał tego pierwszeństwa ubezpieczyć dla syna. Dał mu wychowanie staranne, ale nie umiał go natchnąć duchem, nie powiadam duchem tej albo owej zasady, lecz duchem tym dzielnym, pracowitym, wyniosłym, który jego ojców i dziadów niepowstrzymanie parł do pierwszeństwa, nie na tej lub owej wyłącznej drodze, lecz na tej, po której duch społeczeństwa postępował do świetności, do sławy i dalszego rozwoju. Zamiast właśnie o to jak najusilniej się starać, zamiast swemu synowi tę iskrę życia, ten główny warunek dalszego bytu, tę najwspanialszą i najcenniejszą puściznę przekazać—on go napoił rozpaczą, on wetchnął w niego zabijające nasienie śmierci,

które pomimo wszelkich wpływów postronnych, musiało się w nim z czasem rozwinąć. Umarł zatem, nie powiemy bezdzietny, lecz pozostawił swoje dziecko wydziedziczone z najpiękniejszej puścizny, którą sam odebrał po ojcach. Za jego też życia zamieszkał inny człowiek w tej narożnej komnacie, która dotychczas była jakby kolebką ducha tej starożytnej rodziny...

Któż jest ten człowiek, który zajął to znamienite miejsce w zamczysku?

Jaśniej jest teraz w komnacie, możemy mu się lepiej przypatrzeć...

Maleńki, chudy i tak wywiędły, jak zaszuszona roślinka w zielniku, gubi on się w tem krześle olbrzymiem, że zaledwie go widać. Jego kadłub skurczony, wyschnięty, jest jak cień tylko; jego życie fizyczne tli w nim tak słabo, jak płomyk lampy nocnej nad ranem. Całe też ciało jego zaledwie warte spojrzenia. Lecz zato głowa jego zwraca tem większą uwagę, głowa stosunkowo ogromna i, że tak powiem, wybujała nad wszystko. Twarz jego, wyżółkła, wychudła, zwiędła, jeszcze na pozór dość strojnie licuje z jego całą postacią, lecz na tej twarzy jest tak widomie wybite piętno czynnego, pracowitego ducha, że go niepodobna nie dojrzeć. Cały jej wyraz zresztą jest tak pełen życia, świeżości, energii, siły, że nie tylko zdumiewa, ale nawet i ciągnie ku sobie. Może nie tyle ciągnie sympatyą, ile jakąś dziwną tajemniczością; patrząc na nią, mówimy sobie: tam w głębi jest jeszcze coś więcej, aniżeli widzimy — i chcielibyśmy wiedzieć, co to takiego? Dzieje się nam tak, jak gdy znajdziemy

strumyk wpadający pod ziemię; stajemy wtedy przy tym otworze, słuchamy ciekawie i słyszymy tam w głębi pod ziemią jakieś szumy straszliwe, jakieś jakoby wichry, ścierające się z sobą, bałwany wody pluskające o skały. Zdaje nam się, jak gdyby tam całe morze gdzieś było, wzburzone do dna i szumiące z wichrami. Takie wrażenie sprawiała i twarz tego człowieka. Tak przynajmniej świadczyły jego usta, niby na pozór spokojnie, a nawet czasem okrążone uśmiechem, ale drgające co chwila nerwowo; tak świadczyły jego blado-siwawe, głęboko osadzone oczy a przykryte gęstemi siwemi brwiami, tak wreszcie świadczyło jego ogromne czoło, wysklepione wysoko i zdające się mieścić w sobie cały świat, tak szumiący wichrami ducha, jak owo morze podziemne.

Tak siedział on w owem krześle głębokiem, przygarbiony nad wielką księgą, w której całą swą duszę utopił. Po poważnj wielkości tej księgi, po tekscie jej drukowanym we dwie kolumny, po klamrach wreszcie, przedstawiających symbole męki Boga-Człowieka, nie trudno ją było poznać już na pierwszy rzut oka — była otwartą na jednym ze środkowych rozdziałów Apokaplisy. Te tajemnicze proroctwa burz wielkich, z których ma się wyłonić era nowego świata, odpowiadały dzisiaj czytelnikowi najwięcej. Czy chciał odgadnąć mistyczne ich przepowiednie, czy szukał w nich znaków tych samych, jakie się objawiały na ziemi—nie wiemy. Siedział zatopiony w tę księgę i milczał...

Wstał potem, duszno mu się zrobiło w tem nieruchomem zgarbieniu i przystąpił do okna.

I jeszcze duszno mu było. Otworzył więc wązkie to okno na ścieżaj i wyjrzał w ten świat szeroki, który sięgał w dal nieskończoną i niknął tak gdzieś w tej dali. Jaki widok mu się przedstawił, już wiemy. Cała ziemia była okryta rojowiskiem pożarów, z których jedne gasły powoli, a drugie z nową wybuchały wściekłością — całe niebo było obleczone czarnemi jak piekło chmurami, z których co niższe czerwonym odblyskiwały płomieniem. Zdala dochodził jakiś głuchy szum, jakby dzikiego żywiołu, jak gdyby gdzieś w oddaleniu fale morskie uderzały o skały—w ustępach chwilowej ciszy zdawało się słyszeć jakby łoskot walących się murów.

On patrzał z wytężeniem w straszliwy ten obraz zniszczenia i zdawał się go całą swą duszą pożerać. Jego oko się roziskrzyło, jego twarz blada obciągnęła się żółto - czerwoną barwą płomienia, około ust jego zaczęły drgać jakieś nerwy, jakby w konwulsyi. Wtedy z tych ust zaczęły mu się wyrywać pojedyńcze słowa bez związku: zdawało się, jak gdyby pędząc swym duchem koleją myśli, gubił je tylko po drodze...

— Roma!—zawołał — Roma! wszechładna pani całego świata! Roma, sypiąca się w gruz i ruinę... Ostatnie dni jej wielkości i sławy! — Skończona uczta Heliogabala! Biesiadnicy jeszcze siedzą za stołem, ale już ostatni kielich spełniają, ostatni... własną krwią swoją. Gmach już cały w płomieniach, pretoryanie na schodach, wpadają wewnątrz, jak wicher wszystko niszczący: i oto wieńce laurowe tych biesiadników wspaniałych umoczyły się we krwi, a ich togi z tyryjskiej purpury i tuniki z wel-

ny medyjskiej podścieliły się krwawym mścicielom pod nogi!—Za małą chwilę — cisza będzie na Kapitolium—i Kapitolium nie będzie!

Poczem ucichł, oparł się obiema rękami na oknie, głowę oparł na rękach i patrzał. I patrzał przez to wązkie okno na upadek nowego Rzymu, jak który więzień gocki przez szczelinę swej kaźni na pałającą pożarem Romę. Jemu się zdało, że patrzał jak chrześcianin ze swej katakumby...

I nie było to niepodobnem. Nie był on bowiem krwi chciwym, zemsty nie łaknął. Owe powyższe słowa były tylko błyskawicą chwilową. Mignęła w chmurze i natychmiast zagasła. Jakoż w ten moment twarz jego nanowo zbladła i tylko w oczach grały jeszcze płomienie, ale już inne. I rzekł łagodniej:

— Żal mi was przecie... ale samiście sobie winni. Nie było Graccha pomiędzy wami, nie stać was było na niego! Dziś już zapóźno, już go nie trzeba. Możecie nawet i opór stawić, tylko wam on zaszkodzi. Myśl, wypuszczona z zamknięcia, szumi już siłą wszechmocną: nie powstrzymacie jej pędów, nie obezwładnicie jej mocy! Dziś albo jutro lud ten musi być wolnym, musi odzyskać prawa które mu się należą. Azaliż nie jest człowiekiem?..

I znowu umilkł — a natenczas myśl jego pobiegła w przyszłość...

Pod ową porę, kiedy on tu stał przy tem oknie, tam na galeryi, o kilka kroków od niego, stał pułkownik ze swoim synem i obadwa także patrzyli na to straszliwe widowisko zniszczenia. Napatrzywszy się dosyć, także obadwa nie znaleźli drogi

przed sobą. Ciemno im się zrobiło w oczach i zeszli na dół...

Ale jemu jasna była ta przyszłość, jak dzień. Przez całe życie dla niej pracował, stokroć ją w swoich myślach przemarzył i znał ją może daleko lepiej, niż teraźniejszość i przeszłość. Dlatego myśli jego poleciały w jej nieskończoną krainę, jakby po bitym gościńcu...

I mybyśmy chcieli polecieć tam za nim: kraina ta jest dla nas niezmiernie ciekawą. Któżby z nas nie chciał się zaznajomić z temi drogami, na których duch nowy, wytryskający ze swych źródlisk tajemnych, oznacza swe koła i kręgi na przyszłość? — Ale ta droga za daleką jest dla nas: przepadlibyśmy może w labiryntach marzenia i nie trafili co celu. My znamy drogę krótszą, pewniejszą i realniejszą. Poznajmy przeszłość tego człowieka, a tym sposobem przyszłość, przez niego marzona, sama nam się wyświeci...

Skiba był synem chłopa z Mazowsza. Dzieckiem już zdradzał on wielką ciekawość do nauk, a ucząc się w szkółce swojej rodzinnej wioski, złożył aż nadto dostateczne dowody wytrwałości i pracy. Tym tylko środkiem mógł on doprowadzić do tego, iż uzyskał od swego ojca pozwolenie udania się do Warszawy dla uczęszczania do szkoły miejskiej. Środki, jakiemi go zaopatrzono do tego zawodu, były prawie żadne. Biedny chłopaczek, zaledwie jako tako okryty, z małym węzełkiem na plecach, w którym miał parę koszulek i swoje ukochane książeczki, z laseczką w ręku i kilku groszami w kieszonce, szedł sam jeden w ten chaos

wielkiego świata z rezygnacyą godną podziwu. W tem mieście wielkiem, do którego dążył, nie miał ani jednej duszy znajomej, ani jednego serca krewnego — na samym wstępie mógł się zabłąkać, za kilka dni mógł umrzeć z głodu — ale mimo to szedł z odwagą, z trwogą trzęsącą jego sercem dziecięcem, ale z postanowieniem silnem i niewzruszonem. Dziwić się trzeba zaprawdę temu nowemu rycerstwu, rekrutującemu się wtedy w ten sposób, dziwić się trzeba tym dzieciom, które parte jakąś jakoby wyższą, nadziemską siłą, z takiem natchnionem pragnieniem wiedzy, z taką pogardą niebezpieczeństw i trudów, chmarami się garnęła do nauk; były też to istotnie te dzieci, które w kolebce borykały się z hydrą, głodu, i nędzy i pracy, przewyższającej ich siły. Cnotę tę trzeba w nich uznać i zaledwie któremu z nich można się dziwić, jeżeli przeżywszy tak heroiczne dziecięctwo, młodzieńcem potem chciał dławić Centaury. Przez jakie chłopaczek ten przeszedł w Warszawie koleje, prawie nie trzeba wspominać. Komuż to nie są znane te czasy, komu nieznany owoczesny stan społeczeństwa naszego? Pieniądz wszystek, jaki znajdował się w kraju, spoczywał wyłącznie w rękach możniejszej szlachty i nielicznej klasy bogatszych mieszczan — wszelka praca, wszelki zarobek był płacony mizernie — a kto jeszcze i zarobić nie umiał, dziecko, czy starzec, ten nigdy grosza nie widział i musiał mrzeć głodem. Nie była to wina społeczeństwa, lecz czasu. Postęp, kształcący uczucia ludzkiego serca, rozprzestrzeniający ludzkość pomiędzy ludźmi i wprowadzający obowiąz-

ki człowieka w wykonanie i życie—ten postęp wielki i najwspanialszy ze wszystkich, który nas tak uderzająco różni od naszych przodków i który nam nigdy nie może być zaprzeczonym — zaczynał się dopiero rozwijać w krajach zachodnich, a u nas był jeszcze wcale nieznany. Nie było jeszcze ochron dla chorych i kalek — a o pomocy dla ubogiej młodzieży, garnącej się do nauki, jeszcze nikt ani pomyślał. Nieszczęśliwe te dzieci musiały się same łamać ze srogością nielitościwych losów. Dziwnie ciekawe i wzruszające są historye tych ludzi, którzy taką przeżyli młodość. Jeden z nich służył jakiemuś księdzu, najtwardszą służbę koło niego wypełniał, nie miał spokoju ni w dzień, ni w nocy—a za to dostawał resztki niedojedzonej strawy i wolno mu było sypiać w kurytarzu na gołej ziemi.—Drugi służył swym zamożniejszym kolegom, niesfornym, zuchwałym, źle wychowanym hultajom, którzy w swojej nielitościwej pustocie zrobili sobie z niego lalkę do swej wybrednej swawoli. Bity i szturchany bez odpoczynku, pełen guzów i sińców, trzymał się ich jednak biedaczek, bo przy nich przynajmniej z głodu nie umarł i miał jakieś schronienie.—Inny, najnieszczęśliwszy, nie znalazł nawet schronienia. Brzydki i chorowity z natury, do tego jeszcze ciągle zaszołomiony to swoją biedą, to trwogą, aby w naukach nie został, wypędzany był przez wszystkich. Ten nigdzie nie mieszkał i nosił w małej torebce wszystkie swoje manatki. Sypiał przez całe lato na schodach szkoły lub w poblizkim ogrodzie, zimą wpraszał się na noc do stróżów, do rzemieślników ubogich albo innych nędzarzy, nędzą sobie pokrewnych.

Nigdy on dzisiaj nie wiedział, co będzie jadł jutro; czasem nie jadł dzień cały, czasem dwa dni i trzy dni. Lecz nie dbał o to, już się był przyzwyczaił. Daleko więcej tem się zawsze kłopotał, gdzie się swych lekcyi nauczy, gdzie, albo na czem swe okupacye napisze? W lecie jeszcze to była mniejsza, lecz w zimie, u nas tak długiej i mroźnej, musiał się biedak zakradać na kurytarze, do przysionków otwartych kamienic, i tam cały drżący od zimna, opuchłemi rękami, na jakimś przymurku okna, w jakiejść framudze spisywał swoje pensa i lekcye sobie powtarzał. A i to jeszcze nie zawsze się udawało. Nieraz nielitościwi słudzy wypędzali go nawet i ztamtąd; wybiegał wtedy ze łzami w oczach na miasto, patrzał na ten świat tak obszerny i ludny i serce mu się krajało z bólu, że w całym tym świecie nie masz ani jednego kącika dla niego! A przecież nie znienawidził on tego świata — co większa, nie upadł na swojej ciernistej drodze. Strawiony nędzą, omdlewający od głodu, odarty, bez jednej duszy sobie przyjaznej, potrącany i odpychany przez wszystkich, szedł wytrwale i mężnie naprzód w swą drogę, nie ustając ani na chwilę. Szedł, bo w głębi jego młodzieńczej duszy kipiało coś jakby ogniem i parło go naprzód, szedł, bo w jego wyobraźni młodzieńczej błyszczała przed nim jakaś gwiazda promienna, która mu przepowiadała, że przebrnie przez tę kałużę błota, wyjdzie na brzeg zielony i wzniesie się na takie wyżyny ducha, gdzie jeszcze nie postała stopa żadnego człowieka!...

To była kolej losu, jaką przechodził brzydki, chorowity i z młodu wiecznie czemciś oszołomiony

Skiba. Po takich głodach i nędzach, po takiej poniewierce ostatniej, jakiejże doznał pociechy, kiedy dorosłszy cokolwiek i odznaczywszy się już w naukach, przyjął obowiązek nauczyciela u rzemieślnika i dostał za to schronienie i strawę codzienną! Najlichsze to było schronienie, najlichsza strawa, z nieposłusznemi dziećmi miał roboty bez końca; ale on panem już był natenczas i miał czasu aż nadto. To też natenczas ze skwapliwością godną podziwu, z nieugaszonym ogniem, rzucił się na wszystkie źródliska wiedzy, których mógł tylko dostąpić. Bóg nie wie, ile książek nie pożarł; Bóg nie wie, ilu się nie nauczył języków! Takich lat kilka — a Skiba nie potrzebował już więcej. Albowiem rozszerzywszy swe wiadomości, ugruntowawszy je w sobie żarliwą pracą w spokoju, nie trudno mu było pozawiązywać stosunki z ludźmi, mającymi niejakie wpływy na świecie. Tak przyszedł pomału do tego, że miał co jeść, miał się czem okryć i mógł swobodnie oddawać się dalszym naukom. Zaprawdę było to bardzo niewiele, co dotychczas osięgnął. Zawsze on mieszkał na jakimś dachu, w sąsiedztwie wiatraka lub gołębnika, w jego izdebce nie było nigdy nic więcej, jak jedno łóżko, stolik, parę krzesełek, szaragi na suknie i kilka półek na bieliznę i książki, na nim zawsze tylko leciutki fraczek na tandecie kupiony, a w zimie płaszczyk dziwnie wytarty: ale on był już bardzo bogatym, bo miał czas, czas do pracy swobodny, a w nim niewyczerpane źródło bogactwa...

W takiej też pracy, niczem nieutrudzonej i ni-

gdy nieustającej, przeżył swoją młodość, a jak ta praca była cenioną, dowód jest w tem, iż go najznamienitsi uczeni polecili na nauczyciela pułkownikowi.

Tak związaliśmy przeszłość tego człowieka z jego teraźniejszością, znaną już nam poprzednio; aleśmy przez to powiedzieli jeszcze bardzo niewiele. Idźmyż tam, gdzie się dowiemy więcej...

Skiba, przeżywszy tyle lat w takiej doskwierającej nędzy i głodzie, zmuszony tarzać się po najniższych nizinach społecznego życia, przypatrzył się już za młodu tym, że tak powiem, podziemnym nurtom ludzkiego ducha, które dziś są przystępne zaledwie umyślnie badającemu je oku, a wtedy jeszcze były nieznane nikomu. Boleść, wynikła z dziejowych zdarzeń, natenczas jeszcze daleko żywsza niż dzisiaj, obejmowała wszystkich; ale choroba ta krwawa, choroba, na którą społeczeństwo nasze chromało od wieków i wskutek której śmierć polityczną poniosło—nędza moralna i materyalna niższych warstw społeczeństwa—była tajemnicą dla wszystkich. Chorobę tę Skiba dojrzał już w swej własnej kolebce—poszedłszy w świat i zetknąwszy się jak najbliżej właśnie z najbardziej chorującemi warstwami, dotknął się własną ręką ich ran ciekących i niegojonych, spoił się sercem z ich milczącą boleścią, spokrewnił się poufale z ich duchem, błąkającym się po najskrytszych tajnikach i wtedy jeszcze ani marzącym o tem, ażeby się mógł kiedykolwiek wyrwać z tych więzów na jaśnię. Myśl aby temu, na wieczne milczenie skazanemu duchowi bolejącego ludu, do przemówienia dopomódz, myśl, aby go kiedyś z niemowlęcego

spowicia rozpowić i tym albo owym sposobem równy udział w darach Bożych tej ziemi dla niego sporządzić, była naturalnym wynikiem tych bolesnych doświadczeń, jakich sam doznał na wstępie w świat rzeczywisty. Im więcej potem w swem dalszem życiu się przekonywał, jakim paryą jest na tym świecie, im częściej mu przychodziło przepędzić dzień cały o głodzie, a noc pod gołem niebem, tem jaśniej ta myśl rozświecała się w jego umyśle, tem głębiej zakorzeniała się w sercu. Zamieniła się wreszcie w sen wiecznie żyjący w jego wyobraźni, w główną zasadę jego pracowitego rozumu, w naczelny dogmat jego religii...

Ale gdy wyrósł w dojrzałego młodzieńca — a wcześnie dojrzewa się w nędzy! — gdy się już ze znawstwem niejakiem rozpatrzył w obszernej krainie nauk i poznał, że mimo najgenialniejszych popędów serca, niepodobna jest należycie swoich zdolności rozwinąć, nie dawszy im gruntownej i jak można najgłębszej naukowej podstawy—rzucił się i on także do nauk i oddał się przedewszystkiem historyi. Nauka ta, prowadzona umiejętnie, pracowicie i z zamiłowaniem, pochłonęła go całkiem. Kto wie, jak ponętną jest ta bezdenna skarbnica rodu ludzkiego, jakim mistrzem w podbijaniu serc i umysłów jest ten duch dziejowy, co chwila pełen nowych uroków, a niewyczerpany w swych obietnicach—ten się dziwić nie będzie, że Skiba wówczas tak się głęboko zagrzebał w tej uwięzionej w księgach przeszłości, iż teraźniejszość i przyszłość zniknęła mu z oczu. Był też on wtedy nadzwyczajnie szczęśliwym. Jak duch wyzwolony z więzów cielesnych, kroczył on po bez-

miarach nieskończoności, przenosząc się jak błyskawica z jednego świata w drugi, wieki licząc na oka mgnienia, a lat tysiące na chwile. I Bóg sam nie wie, gdzie nie był! Przetrawił dzisiaj noc całą w starej Polsce piszącej prawa, a jutro biegł szukać tych praw pierwiastków w dziejach starego Rzymu. Dzisiaj powiernik Kazimierza Wielkiego i kilku Jagiellończyków, jutro się bratał z Cyceronem, Trogem Pompejem i Justynianem. I tam jeszcze dna nie dojrzawszy, przebiegał pojutrze wszystkie Rzeczpospolite Greckie, spowiadał ze wszystkich tajemnic Solona, zaglądał w serce Likurga, ważył sumienie Drakona. Przy takich zajęciach czasem tak się zabawił, że kilka miesięcy przesiedział w Grecyi i ledwie wiedział, że pośród tego czasu zrobił wycieczkę do starożytnego Egiptu, że cały tydzień przebawił w Indyach, kilka dni w Persyi—przekonał się o tem dopiero wtedy, kiedy się spostrzegł, że się znajduje w Jerozolimie i otrząsa się z tych obłędów pogańskich u grobu Chrystusa Pana. Tam zaczerpnąwszy sił świeżych i światła, powracał znowu do Polski, aby musztrować wojny krzyżackie, wyrozumiewać właściwe powody buntów i wojen kozackich, albo przeważać siły, które wyswobodziły Polskę czasu Gustawa Adolfa. Tak żyjąc tylko z pierwszymi władcami świata, ważąc na szali myśli losy państw i narodów, pędząc za powiewami ludzkiego ducha w przeszłości, żył tu na ziemi jak gdyby we śnie. Czasem naówczas nie wiedział, że z jego własnego fraka łokcie wylazły — azaliż dziwna, że się nie pytał, co się działo około niego?

Przyszedł czas wszakże, w którym się zbudził.

Wszyscy się wówczas zbudzili, i on się zbudził. Wszyscy gdzieś biegli, w przyszłość — i on pobiegł za nimi. Ale wyszedłszy prosto z historyi, po historycznej biegł drodze. Obudziła się w nim dawna jego idea, może nawet i tu i owdzie coś o niej mówił; lecz skończył na tem, na czem wszyscy jemu podobni a zacni skończyli, że poszedł w ogień! O! biedny Skiba, na takiem twardem polu rzeczywistości! Ale zrobił, co mógł; nie umiał się bić, dał się zrąbać przynajmniej. I to coś warte. Wkrótce potem zjawił się w Zawisłoczu...

Zamieszkawszy w domu pułkownika i znalazłszy niezbyt wiele zajęcia ze swym małym uczniem, a ztąd aż nadto wiele czasu dla siebie, zaczął pilnie i trzeźwo rozważać, zaczął przetrawiać w sobie to wszystko, co już to przez pracę książkową, już doświadczeniem nagarnął w siebie. Tu miał też sposobność przypatrzyć się zblizka tej szlachcie, którą dotychczas znał tylko zdaleka—tu znalazł porę przypatrzenia się również ludowi i jego roli nieszczęsnej, jaką w społeczeństwie odgrywał. Wychodząc jeszcze zawsze ze stanowiska idei historycznej, uważał on przedewszystkiem owoczesny stan szlachty. Na jakim punkcie stała szlachta natenczas?—Oto najpierwej dawało się w niej widzieć rozprzężenie niezmierne. Dzieliła się ona pomiędzy tysiące najrozmaitszych usposobień, *quot capita tot sensus*, z których wszakże nie występowało ani jedno przekonanie stanowcze, ani jedna opinia przeważna, górująca nad inne. Jeżeliby jednak te rozmaite usposobienia trzeba koniecznie podzielić i rozgatunkować, tobyśmy powiedzieli, że dawały się wtedy widzieć pomiędzy

szlachtą cztery odrębne odcienia. I tak: pierwsi z nich, czy to wiekiem, czy doświadczeniem najstarsi, urodzeni i wychowani w historycznych tradycyach, doświadczywszy dopiero co tak krwawego zawodu, podupadli na duchu zupełnie i zamarli moralnie. Grobowa ciemność otoczyła ich oczy—dosnowali już tylko nitek swojego życia w żałobie. Drudzy, porzuciwszy wszelkie wyższe nadzieje, oddali się materyalnym widokom: ci pędzili gorzalkę, tuczyli woły dla zagranicznych targów, wysysali wszelkie możliwe korzyści z niewolniczego ludu i robili fortuny. Trzeci, podobni najczęściej w tym względzie do nich, niby się gdzieś wyżej podnieśli, nie duchem swoim, ale ambicyą, zakochali się w cudzoziemskich błyskotkach, ozdobili niemi swoje imiona lub piersi i wyróżnili się przez to od reszty społeczeństwa. — Pozostała nareszcie młodzież, w części oddana próżniackim i rujnującym podróżom, w części niby naukom, lecz w samej rzeczy tylko niesfornym, na źle zrozumianych naukach opartym marzeniom, rozbijała się po najodleglejszych krańcach Europy i własnej myśli, przywożąc z sobą z wędrówki pierwszej zniechęcenie i nudę, z drugiej mało co więcej. — Wogóle zaś, w całej tej klasie, tak rozprzężonej i czekającej już tylko ostatniego „rozbicia“, nie było widać żadnej spójni duchowej, nie było widać ani śladu wytkniętej drogi na przyszłość. Co gorsza, pomimo tylu najrozmaitszych odcieni, we wszystkich razem było widocznem jakieś zniechęcenie ogólne, drewnianą prawie ospałość, czasem jakoby rozpacz. Niektórzy żyli tak majątkowo, jakgdyby jutro mieli umierać, wszyscy z dniem każdym podu-

padali moralnie, nikt nie myślał o odpowiedniem wychowaniu swych dzieci. Szkody były napchane, lecz po największej części młodzieżą klas najuboższych: szlacheckie dzieci w piętnastym roku powracały do domu, a jeżeli który z nich skończył nauki, najczęściej prawo, to powracał z tem, co najprędzej na zagon rodzinny, uradowany niezmiernie, że już się na zawsze pożegnał z książkami, których prócz kalendarza i może kilku francuskich romansów, przez kobiety czytanych, w domu jego rodziców nie było. Tak stało wychowanie podówczas — tylko jedna arystokracya, mająca swoją podstawę w historyi, z małym dodatkiem bardzo zamożnej szlachty, wychowywała swe dzieci jaknajstaranniej, nie szczędząc do tego celu czasem nawet ogromnych wydatków; taż sama arystokracya także okazywała roztropną dbałość o stan swych fortun, zaprowadziła pierwsza u siebie oszczędność i wogóle najpiękniejszy dawała z siebie przykład pod względem domowego pożycia, niestety, rzadko naśladowany przez innych...

Ten stan rzeczy Skiba zrozumiał, rozważył i ocenił wedle słuszności. Pierwsza myśl, jaka mu się tu nasunęła, jaka mu się musiała nasunąć, była ta oczywiście, że szlachta, jako taka, już bezpowrotnie przepadła, a zatem przy wprowadzaniu w życie na jej miejsce innej potęgi, niema jej czego żałować. Taka myśl przyszła także i innym i usadowiła się nawet w ich głowach—ale nie utrzymała się w głowie roztropniejszego Skiby. On poszedł głębiej w swem rozważaniu i przyszedł do innych zasad. On wiedział o tem, że aby nowy

zupełnie świat stworzyć, na to trzeba być Bogiem— ludzie mogą tylko istniejący porządek swojego świata odmienić. Ludzie mogą tylko dać inne podstawy spodziewanej przyszłości, a ażeby to mogli uczynić, muszą koniecznie główną nić tych idei, na której zamyślają zbudować przyszłość, nawiązać u kłębka nici pozostającej z przeszłości. Niemasz tu w życiu tej ziemi, ani fizycznem, ani moralnem, żadnych nagłych przeskoków—a jeżeli skok taki uczynionym zostanie przez jakieś niecierpliwe wstrząśnienie, to potem zato następuje tylko o tyle silniejsza reakcya. Trup, wrzekomo zabity, powraca potem w strasznej postaci upiora i błąka się w takim razie jeszcze daleko szkodliwiej i dłużej, aniżeli gdyby go była pomału zdławiła śmierć przyrodzona. Żadna nowa idea nie wchodzi jednym nagłym rozbłyskiem w życie—idea Boga-Człowieka była bezsprzecznie najsilniejszą ze wszystkich, jakie się zjawiły na ziemi—a przecież jeszcze wieków potrzeba było na to, ażeby się stała wątkiem i miazgą duchową ludzkości.—O tem wszystkiem wiedział Skiba z historyi, a co ważniejsza, chciał wiedzieć o tem. Toż wedle tej niewzruszonej zasady stosował on swoje czynności...

Człowiek ten, lubo zajmował w społeczeństwie stanowisko takie podrzędne i lubo zresztą był dość niezaradnym w praktycznem życiu, był jednak w swoim zakresie niezmiernie czynnym. Utrzymywał ciągle stosunki ze wszystkimi znakomitszymi oświatą ludźmi swojego czasu, z niektórymi z nich łączyły go osobiste przyjaźnie. Był zresztą jednym z tych ludzi, którzy się umieją z łatwością udzielać.

Obdarzony gruntowną i wielostronną nauką, każdego umiał czegoś nauczyć, zaopatrzony ogromnym zasobem wiadomości szczególnych, umiał się nawet podobać kobietom, mając zaś przytem znamienitą wymowę i łącząc do niej ten najcenniejszy przymiot wykładu, który jednoczy piękność i łatwość z powagą i gruntownością, potrafił wpływ pewien wywierać na wszystkich. Niejednokrotnie przywitano go uśmieszkami, kiedy wszedł w towarzystwo, ale potem przez kilka godzin nie można go było się nasłuchać. Ztąd już podówczas, gdy siedział na wsi, uzyskał sobie miłość powszechną, zyskał uznanie swojej wartości moralnej, a tu i owdzie pewien rodzaj szacunku. Pojechawszy z Karolem do stolicy, znalazł tam obszerniejsze pole dla siebie. Niebawem też urósł znamienicie w opinii, zdobył sobie zaszczytną przyjaźń ludzi poważnych, a u młodzieży zjednał ufność i poważanie równające się części. Był on też wtedy niespracowanym w rozprzestrzenianiu szlachetnych, wzniosłych myśli, zamiłowania do pracy i jakichś wyższych widoków między młodzieżą—jego mieszkanie było w południowych godzinach czasem tak pełne, że się nie można było przecisnąć—przyszły nareszcie czasy, w których, gdy szedł ulicą, wszystka spotykająca go, choć nieznajoma młodzież ze czcią go witała...

Miał on już wtedy bardzo rozległe wpływy i w owych czasach, tak wrzących w sobie, a tak mało opatrznych, mógłby był użyć tych wpływów nawet do urzeczywistnienia jakiegokolwiek wybryku. Mimo to przecież pozostał zawsze wiernym swojej zasadzie. Zawsze rozszerzał ideę usamowolnie-

nia i uwłaszczenia wiejskiego ludu—ale nigdy mu na myśl nie przyszło spodziewaną przyszłość ludową opierać na zupełnej i ryczałtowej ruinie całej przeszłości. Gorąco pragnął moralnego i materyalnego wzniesienia się ukochanego przez siebie stanu—ale wcale nie pragnął, ażeby to wzniesienie się zostało sporządzone z krzywdą któregokolwiek stanu innego. Nigdy też nie upadł tak nizko, ażeby się uniósł nienawiścią do szlachty, jak to zrobili inni jego koledzy. Nigdy też nie ociemniał do tego stopnia, ażeby pochwalał owe pisma ówczesne, które nie pragnęły niczego więcej, jak aby szlachtę najpierw splugawić i zbezcześcić moralnie, a potem obedrzeć ją jeszcze z jej dziedzicznej własności... Na takich się opierając zasadach, przyszedł oczywiście do przekonania, iż chcąc o urzeczywistnieniu idei usamowolnienia i uwłaszczenia wiejskiego ludu pomyśleć, nie można o tem pomyśleć bez szlachty. Tysiące za tem przemawiało historycznych i politycznych powodów — a gdyby nawet tamte wszystkie zostały unieważnione potrzebą czasu, to jeszcze zawsze pozostawał ten, najważniejszy ze wszystkich, który miał swoje źródło w sumieniu. Odebrać komuś własność tego rodzaju, jak poddaństwo drugiego, można jeszcze bez niego — przynajmniej pełna jest takich przykładów historya; ale odebrać mu własność fizyczną ziemi, która mu przynosi dochody, stanowiące jego sposób do życia, odebrać mu taką własność bez jego woli i wiedzy, równa się poprostu gwałtownie dokonanej kradzieży. Nigdzie też jeszcze nie dokonano takiego czynu, nawet najgwałtowniejsza ze wszystkich rewolucya fran-

cuzka nie spełniła go w zupełności; tylko reformatorom owego czasu mogła się uroić taka myśl monstrualna. Skiba był pod tym względem innego zdania—i wskutek tego, kiedy czas przyszedł, w którym rozpowszechniona powyższa idea zaczęła już tu i owdzie dojrzewać, starał się o jej przeprowadzenie porozumieć ze szlachtą. Ale niestety! nie znalazł on u niej najmniejszego odgłosu. Prawdą jest, i niechaj to będzie wypowiedzianem wyraźnie, że pewien odcień ówczesnej reprezentacyi szlacheckiej nosił się już oddawna z projektem usamowolnienia wiejskiego ludu—prawdą jest dalej, iż usiłowania szlachty w tym celu rozbiły się o nieczułość owoczesnego rządu i na tej drodze nie mogły osięgnąć celu—prawdą jest w końcu, iż forma, w jakiej koryfeusze postępowego stronnictwa przekładali ten projekt szlachcie, była tego rodzaju, że im się podobać nie mogła; ale nie był to czas zaprawdę, w którym można było zważać na te lub owe trudności, nie był to przedmiot tak małej wagi, od którego godziło dać się odstraszyć formą. Cokolwiekbądź, faktem jest to, iż szlachta odsunęła się całkiem od tego ogniska, w którem ważyła się myśl tak przeważna, myśl mająca odmienić do gruntu jednę z głównych podstaw ówczesnej więzi społecznej. Był to błąd nigdy nieodpuszczony, za który potem taż szlachta zapłaciła po dwakroć. Wyrzekłszy się bowiem dobrowolnie swojej przeważnej roli w sprawach krajowych, nie była w stanie powstrzymać tej krwawej burzy, którą wywołano z jednej strony bez niej, a z drugiej strony przeciw niej samej, a która ją kosztowała tyle krwi i zasobów; za-

płaciła zaś za to jeszcze powtórnie, bo kiedy przyszło nareszcie do aktu zniesienia pańszczyzny, ona już nie była w stanie ani wziąć w tem. inicyatywy, ani nawet zabrać w tym akcie takiego głosu, jaki jej się należał — wskutek czego oczywiście inicyatywę wzięła ulica, a samego aktu dokonał kto inny i dokonał go w sposób dla szlachty nadzwyczajnie niemiły i niekorzystny. Oby ten fakt, już po dziś dzień dziejowy, stał się nauką dla tych, którzy w nim pobłądzili i oby ich raz na zawsze przekonał o tej prawdzie niemylnej, iż kto się umyślnie odsuwa od udziału w sprawach społeczeńskiego życia, ten bywa zawsze stawiany na równi z nieruchomością, a ktokolwiek bądź temi sprawami steruje, postępuje z nim zawsze jak z rzeczą...

Powracamy do Skiby. Owoż więc Skiba, widząc się odtrąconym od szlachty, uczuł głęboki żal w sercu. Żal mu było jego poczciwych chęci zmarnowanych napróżno, żal jego marzeń o zaszczepieniu nowych idei na gruncie historycznym i ścisłem ich powiązaniu z przeszłością, żal wreszcie mu było takich materyałów wyborowych, które z tego powodu skazywały się na bezczynność. Skutkiem jednakże tej żałoby było opuszczenie rąk i martwota— Skiba to zrobił, co każdy człowiek byłby zrobił na jego miejscu—chciał pójść drogą pośrednią, zamknięto mu ją, przerzucił się w ostateczność. Na takim krańcu dotrwał on już do ostatka i do przygotowania wypadków, które właśnie co zaszły, bardzo się żwawo przyczyniał...

Z tem wszystkiem to, na czem się te wypadki skończyły, było niespodzianką, jak dla wszystkich,

tak i dla niego. Kto się naówczas spodziewał, że taki obrót weźmie ta sprawa? — Tem większa rozpacz na widok rzeczywistości. Jak wielka rozpacz obejmowała innych natenczas, widzieliśmy to na pułkowniku i jego synu. Takie mniej więcej było usposobienie wszystkich. Mimo to wszakże Skiba był usposobiony inaczej. W pierwszej chwili i on się zdziwił, i on rozbolał nad tem głęboko; ale po jednej dobie zastanowienia umiał się podnieść na wyższy punkt swoich myśli i ztamtąd się rozpatrywał w zdarzeniach. Jeżeliśmy rozumieli Skibę dotychczas, to go zrozumiemy i tutaj. Obłąkał się lud, rozzuchwalił, rozbestwił i wdarł się w krwawe granice zbrodni, to prawda, to smutna, bolesna prawda! Wiele z niej szkody wypłynie i strat niezmiernie wiele. Ale te straty i szkody będą zawsze tylko chwilowe. W rok jeden, w kilka lat zresztą, odbudują się te dwory spalone, napełnią się znowu porabowane śpiżarnie, sieroty odpłaczą śmierć swoich rodziców i opiekunów. Nie będzie już wtedy ani śladu tych przymiotów tego zdarzenia, które nas dziś taką zgrozą przejmują. A pozostanie z tego zdarzenia rzecz wielka! Myśl, która dotychczas leżała spowita w kolebce i błąkała się bezcielesna po głowach, wydobyła się na świat i przybrała postać widomą. Myśl, która dotychczas mieszkała w krainie marzeń i wedle wielu należała do mrzonek, zdobyła się na fakt i rozpoczęła swoją historyę. Rzecz to niezmiernie ważna, jedynie ważna w tem wydarzeniu...

Tak myślał Skiba—i ztąd jego spokój stoicki, z jakim siedział nad księgą, ztąd jego zapał, z ja-

kim się przypatrywał grasującym dokoła pożarom... Tuśmy go już odkryli zupełnie i odtąd nie potrzebujemy już postępować krok w krok za jego marzeniami przyszłości, w które zapadł w tej chwili; każdy ich sobie dosnuć potrafi bez niego.

Przystępujemy do dalszych faktów.

Owo więc, kiedy Skiba tak stał przy oknie i marzył sobie o tych wsiach zbudowanych porządnie, otoczonych bogatemi sadami i błyszczących wybielonemi chatami, w których lud oświecony, pracowity, pobożny będzie wiódł życie swobodne—nagle rozbłysło mu coś przed oczyma, nowy pożar wybuchnął. To przewoźnicki pałac stanął w płomieniach. Widok ten dziwne wrażenie sprawił na Skibie. A widział całą tę scenę straszliwą jakby na dłoni—drzewa opadłe z liści odkrywały całe to wzgórze, na którem stał pałac szambelana razem ze wszystkiemi zabudowaniami. Straszliwy widok! Rozzuchwalony żywioł ogarnął wszystkie domostwa, płomień się tak rozszerzył, że był jakby chmurą ognistą, na której jakieś czarne postacie piekielnym roznosiły się tanem. Niebawem płomień dostał się do folwarku i znów wystrzelił nowym wulkanem. Tu opadają dachy ze straszliwym łomem i trzaskiem, tam znowu nowy wybucha pożar. Straszliwy widok! Skiba pomimo woli musiał się spuścić ze swego wysokiego punktu widzenia na ziemię—i rozpatrywać się w tem zdarzeniu, tak, jakiem dziś było. A dziś roznoszono tam głownię pożaru, krwawiono ręce w mordach, siano śmierć między niewinne! Czy tak się powinna rodzić idea, która ma przynieść zbawienie? Czy mord i pożoga powinny być

temi szczeblami, po których ludzkość ma postępować do coraz wyższych stopni swojej potęgi i szlachetności moralnej?

Skiba sam już nie wiedział...

On tak jakoś zesłabł na widok tego zniszczenia, tak omdlał w sobie, że byłby się rzucił sam w te płomienie, ażeby się spalić i nie patrzeć więcej na to dzieło okropne, do którego sam się przyczynił. Ale nie dziwić się tej jego słabości. Widok tak olbrzymiego nieszczęścia, widok tak wielkich cierpień, które się własną ręką sporządziło niewinnym, jest w stanie osłabić ducha nawet najsilniejszego człowieka. I Napoleon, otoczony pożarem Moskwy, zachwiał się w swoim duchu potężnym i chciał się rzucić w płomienie. A nie silniejszym zaprawdę mógł być duch Skiby, zamieszkały jeszcze do tego w tak wątłem ciele...

Przez wielkie wtedy przeszedł ten człowiek cierpienia. Myśl jego, że ta straszliwa postać, w jakiej się dziś objawia jego zbawcza idea, jest tylko jej formą przelotną, chwilową, z której niebawem nie pozostanie śladu, a duch pozostanie na wieki i najpiękniejszym kwiatem wykwitnie, myśl ta zbawienna nie opuszczała go wprawdzie ani na chwilę, ale cóż z tego, kiedy ta myśl mogła ożyć dopiero w przyszłości, która była daleko — a straszliwe widmo teraźniejszości było tuż obok niego? Skiba cierpiał niezmiernie i mimo całej mocy swej duszy, nie mógł się odjąć cierpieniom.

Przepędził noc całą na nogach, gorączka go trawiła, dreszcze go przejmowały, nie mógł ani oka zamrużyć. Nazajutrz było mu jeszcze gorzej, do

wczorajszej gorączki bowiem przyłączył się jeszcze niepokój, straszliwa myśl, że to, co się stało wczoraj w Przewoźnikach, może się dzisiaj stać w Zawisłoczu. Ta myśl wstrząsnęła jego cały organizm i zburzyła biednego Skibę do gruntu. Czy o siebie mu może chodziło? Bynajmniej. On tyle nędzy przeżył na tym świecie, tak tutaj nie miał nic i nikogo, coby mu żal było porzucać, tak zresztą cały i tak oddawna mieszkał za granicami tej ziemi, że mu się zdało, jakby przez całe życie stał w przedpokoju i czekał tylko otwarcia drzwi do salonu. Miałżeby się obawiać tej chwili, w której raz przecież skończy taką stójkę lokajską. Ani mu w myśli to nie postało. Ale miał na pamięci pułkownika i swego ucznia Karola. Jeżeliby ci mieli zginąć na ogniu męczeńskim, ci ludzie, którzy go taką otaczali miłością i stali mu się jakoby drugą rodziną... na tę myśl samą Skiba odchodził od przytomności. Chciał temu radzić, nie mógł—a to go jeszcze tem więcej męczyło. Tak męczył się z samym sobą przez cały ranek, a o południu poszedł do pułkownika, aby pomówić z nim o środkach ratunku. Ale zgryźliwy staruszek przyjął go z oburzeniem, prawie odtrącił od siebie i rzekł mu w końcu gwałtownie:

— Ja waści nie potrzebuję do tej obrony! a nawet ci to mówię wyraźnie, żebyś mi się natenczas nie pokazywał. Bo jak mnie chłopi napadną, a znajdę waści pod ręką, to cię porwę za kołnierz i między nich rzucę przez okno. Napij się waść najpierwszy tego piwka, któregoś dla nas nawarzył!

Ztąd poszło, że jak tylko hałas się zrobił, gdy

chłopi wpadli w dziedziniec, Skiba tak nagle zniknął z sali...

Tymczasem jednak jeszcze przez bardzo dotkliwe przejść musiał boleści. Wpadł on do swojej baszty prawie bez przytomności. Obawa jego już się ziściła—pułkownik z synem byli już napadnięci przez chłopów. Skiba drżał na całem ciele, usta jego nerwowe dygotały ze zgrozy i mówił:—Oh! żeby tylko nie zginął!—Wszakże w tej właśnie chwili dały się słyszeć strzały na dole. Skiba się trząsł, jak listek na drzewie. Za moment zatętniły jakieś gwałtowne kroki koło jego komnaty i spadły na dół kręconemi schodami, wiodącemi do starego ogrodu: to Karol wtedy uciekał. Jeszcze za jeden moment wpadło chłopię służebne do niego z wielkim lamentem i krzykiem:—pana zabito!

Skiba struchlał na miejscu. Załamał ręce nad głową, stał tak w nieruchomości przez chwilę, zawołał nagle:—Ha! to i ja zginę!—i rzucił się w tej rozpaczy na dół ciemnemi schodami do sieni nowego dworu.

Ale tymczasem chłopi pędzili już temi samemi schodami do góry, w pogoń za zbiegłym paniczem. Skiba im wpadł w otwarte ramiona, jak w paszczę. Porwał go jakiś chłop barczysty, ścisnął w swoich ramionach:—Mam cię, paniczu!—Zniósł go też zaraz z wściekłą radością do sieni... Ale tam, gdy zobaczył przy świetle, kogo to trzyma w swych ręku, rzucił go precz od siebie z przestrachem i rzekł:

— Tfu! a to co za dyable niemieckie!

W samej istocie maleńki Skiba, w swoim wąziutkim fraczku i krótkich pantalonikach, ze swoją

ogromną głową i wzburzonemi na niej włosami, bardzo dziwacznie wyglądał. Ale to go właśnie uratowało. Kiedy go bowiem chłopi ze zdziwieniem opatrywali, to i on oprzytomniał i oni oprzytomnieli, a tak w ten moment się wzajemnie poznali.

Z jakiej strony Skiba był znany tak w Zawisłockiej, jak i w niektórych sąsiednich gromadach, jużeśmy nawiasowo wspomnieli. Nie miał on nigdy własnego grosza, lubo był nieźle płacony: wszystko to szło na lekarstwa dla chłopów, na zapomogi dla biednych, na nigdy nieoddawane pożyczki. Skiba był nawet ich lekarzem i to na wszystkie dolegliwości. Temu żonę wyleczył, tamtemu dziecko od kalectwa ochronił, trzeciego od rekrutacyi obronił, czwartemu kożuch kupił na zimę, piątego wspomógł po pogorzeli, a dla wszystkich wogóle, w każdej dolegliwości był zawsze najpewniejszą i nigdy nie wymówną ucieczką. Nie mogło być tedy, ażeby pracując na tej drodze lat kilkanaście, nie miał uważania u chłopów, co ważniejsza, miał miłość u nich, a najważniejsza to, że wcale nie był przez nich uważany za pana. Patrzyli tedy chłopi na niego, śmiali mu się w oczy śmiechem bydlęcym i mówili, szczerząc zęby do niego:

— He, he, he, to nasz, to Skiba.

To powróciło Skibie całkowitą przytomność, jakoż wziął się natychmiast do rzeczy. I nie był tak nieroztropnym, żeby miał zaczynać długą perorę do chłopów, jak w położeniu podobnem zrobiło wielu, przez co znudziwszy chłopów, jeszcze ci pewniej zostali pozabijani. On się wziął do nich poprostu:

— Jak się masz, Bartku? a co tam dziecko?

A i ty tutaj, Wojtku? a ciepło ci w nowym kożuchu? a gdzie Jacenty, Teodor, Maciek? No, i cóż wy myślicie? Zabiliście pana—a trzeba to było? Nie było się mnie poradzić? he?

— A gdzie my go ta zabili!—zawołał jeden — to pan kapral strzelili...

— A gdzież ten kapral?

— Gdzieś się ta bawi w pokojach.

— Hm! no, chodźcie-no ze mną...

To mówiąc, przystąpił z nimi do ciała pułkownika, które we krwi zbroczone leżało wyciągnięte na ziemi.

— No!—mówił Skiba, bledniejąc cały—godziłoż to się? nie pan to był, nie białowłosy staruszek? nie będzie za to grzechu, którego Bóg nie odpuści?

— No, jużci prawda—rzekł na to inny—szkoda jegomości... ale to darmo. Taki czas przyszedł i taki był nakaz...

—Nakaz!—zawołał Skiba we wzburzeniu—idźże ty sobie do tysiąc dyabłów z taką wymową? A któż to tobie może nakazać zabijać ludzi? któż to ty jesteś, zbójca najęty, czy kat?

Trochę się chłopi nad tem zastanowili, ale tam w głębi tłumu ten i ów się odezwał:

— To darmo, panie, taki czas przyszedł.

— Co jeno chodzi w surducie, wszystko ma być wygubione — rzekł drugi, a jakiś zuchwalec zawołał:

— Nie poczynaj jeno kazania, boś ty nie biskup.

Skiba zmiękł trochę.

— No i czegoż wy chcecie? — rzekł trochę łagodniej.

— Godziłoby się nam trochę poplądrować po dworze — mówili ci i owi nieśmiało — wszędzie już dwory pozamiatano i każdy jak mógł tak się omaścił.

— Hm! — mówił Skiba — a co wy tu brać będziecie? tu same stare graciska.

— Ale chodźcie, ja was sam poprowadzę.

To rzekłszy w samej istocie poprosił ich do komnat i pokazywał im sprzęty, zniżając wartość każdego do zera.

— Co to wam z tego? — mówił — a jejmość, jak wróci, nie miała by się na czem i przespać.

Deptali po komnatach chłopiska, oglądali wszystko rękami, wierzyli i nie wierzyli.

— To złoto — mówili jedni, dotykając się ramy złoconej u olejnego obrazu.

— Idź, idź! gdzie to złoto! to drzewo.

Uderzył drugi pałką po ramach i rozbił na miazgę. Śmiali się z niego, mówiąc:

— A złoto, Macku?

— Złoto, co w lesie rośnie — odpowiadał im zbójca ze śmiechem.

Tak szli przez wszystkie komnaty i niby słuchali Skiby, ale przecież ten i ów porwał, co mógł zachwycić, to jakiś lichtarz, to dzwonek, to figurkę, to szkatułeczkę. Weszli potem do sypialni jegomościnej, tam już ich trudno było powstrzymać. Suknie i buty, jaknajlakomsze to rzeczy dla chłopów. Rozebrali wszystko co było. To samo zrobili i w sypialni jejmości, ani jeden gracik się tam nie został.

ale przynajmniej, który co wziął, zaraz umykał. Tym sposobem zmniejszała się ciągle ich liczba, Skiba coraz swobodniej oddychał. Miał jeszcze śpiżarnię w odwodzie, nią ich umyślił zadowolić do reszty. Jakoż im już tę myśl natrącił. Jedni się zaraz zerwali, aby iść do śpiżarni, ale drudzy mówili:

— Szpiżarnia ta nie zaginie, a jest tu gdzieś kasa jegomości, a w niej niemało pieniędzy.

Skiba struchlał na to wspomnienie, lecz rzekł przytomnie:

— Kasa jest, ale próżna, jejmość zabrała pieniądze do Krakowa.

— Trza to obaczyć—mówili chłopi.

Skiba ich powstrzymywał jak mógł, ale bez skutku.

— Co nam pan mówi—wołali chłopi—wszystko, co było pańskie, to będzie nasze. My i grunty dworskie zabierzem, a nie dopiero kasę.

Co miał robić nieborak, prowadził ich sam do kasy, żeby choć widział, co który weźmie. Ale gdy przyszli do kancelaryi, która się znajdowała pod sypialnią na dole, a w której stała żelazna skrzynia nazwana kasą, jakież ich było zdziwienie, kiedy tę skrzynię zostali otwartą na ścieżaj i wypróżnioną zupełnie! Na widok ten niespodziany stanęli wszyscy jak głupi. Kto to mógł zrobić? Pachole im powiedziało, że ten sam żołnierz, który pana zastrzelił, wydobył klucz z jego kieszeni, pobiegł tutaj do kancelaryi, otworzył kasę, wybrał z niej wszystko i uciekł.

— Widzicie! — zawołał Skiba — a kto to wami przewodzi? Zbójca i złodziej. Hej! lećcież za nim

odbierzcie mu te pieniądze, a za to przynajmniej mu wszystkie kości połamcie.

Bardzo ta myśl przypadła chłopom do serca, rzucili się wszyscy razem i polecieli za zbiegiem.

Mało który został we dworze. Jeszcze ten i ów błąkał się koło śpiżarni, także już wypróżnionej bez wiedzy Skiby, inny wyprowadzał jaką sztukę bydła ze stajni, kilku plądrowało po kuchni, po masztarni i magazynach, wynosząc milczkiem, co im się pomieściło na plecach. Ale na tem się skończył rabunek Zawisłockiego dworu. Skiba był uszczęśliwiony, że przynajmniej choć grubsze sprzęty i budynki zostały uratowane, rzadkie to szczęście w owych czasach i w tej okolicy.

Tak odetchnąwszy cokolwiek, niezaradny po wszystkie czasy Skiba, teraz z młodzieńczą energią się wziął do czynności i co było do zrobienia, wszystkiemu dał radę. Porozumiawszy się z księdzem, poodszukiwał dworskich ludzi, straż zaprowadził we dworze i na folwarku, poopatrywał drzwi, pozamykał i ubezpieczył. Zajął się potem nieboszczyka pogrzebem i pochował go bez wystawy wprawdzie, lecz z zachowaniem religijnych obrzędów. Innym i to się nie dostało w udziale.

W kilka dni potem, jak się uspokoiło cokolwiek, usiłował zasięgnąć jakichś wiadomości o swoim uczniu. I dowiedział się o nim wszystkiego. Pobiegł też zaraz na stary przewóz i porozumiał się z samym Bernatem. Rozmowa ta nakłoniła go do podróży do Rzeszowa, gdzie się Karol znajdował. Skiba wiedział o tem aż nadto dobrze, na co się naraża, udając się osobiście do miasta, ale nie zwa-

żał na to. Pojechał i bądź to wymową swoją, bądź też zewnętrzną niepozornością swojej postaci, wyjednał sobie, że mu pozwolono się z nim zobaczyć. Widzenie się to było bardzo korzystnem dla nich obydwóch: Karol został ostrzeżony o wielu względach, o których byłby może i nie pomyślał, a na które zawczasu należało zwrócić uwagę. Przywiózł mu też Skiba sukien, bielizny i pieniędzy cokolwiek, co wszystko było mu tembardziej potrzebnem, ile że już w kilka dni potem został wywieziony do Lwowa...

Tak załatwiwszy, co było napilniejszego, Skiba powrócił do Zawisłocza, a ztamtąd pojechał w ten moment do Krakowa. Tam spełnił misyę nadzwyczajnie bolesną, musiał zawiadomić pułkownikową o śmierci jej męża, o uwięzieniu jej syna i dopełnionych w ich dworze rabunkach. Dowiedział się wprawdzie, ku swojemu uspokojeniu, że to, co zrabowano z nieboszczykowskiej kasy, było tylko niewielką częścią ich gotowizny, bo kapitały swoje mieli oni po większej części w skryptach, ale była to w tym momencie bardzo mała pociecha. Cokolwiek bądź, pułkownikowa zniosła swą boleść z chrześciańską pokorą, powróciła natychmiast do domu, urządziła jak mogła przyszły porządek domowy. Skibę pozostawiła na gospodarstwie, a sama pojechała czemprędzej do Lwowa, ażeby syna zobaczyć i ile możności ratować.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

Biblioteka Pedagogiczna w Gliwicach
Biblioteka
BIBLIOTEKA

WYCIĄG Z KATALOGU

BIBLIOTEKI DZIEŁ WYBOROWYCH

Do nabycia w Administracyi „BIBLIOTEKI DZIEŁ WYBOROWYCH“ (Warszawa, Warecka № 14), w Filii Kantoru „GAZETY POLSKIEJ“ (Warszawa, Krakowskie-Przedmieście № 1) i we wszystkich księgarniach.

WYSZŁY Z DRUKU:

Rok 1904.

		CENA w oprawie kop.	CENA brosz. kop.
310, 311, 312, 314, 315, 316.	**Z. Kaczkowski.** OLBRACHTOWI RYCERZE. Powieść historyczna z przedmową Władysł. Jabłonowskiego.	240	150
313.	**Hans Leuss.** Z WIĘZIENIA PRUSKIEGO. Z przedmową Włodzimierza Trąmpczyńskiego.	40	25
317.	**T. Roosevelt,** prezydent Stanów Zjednoczonych A. P. ŻYCIE WYTĘŻONE. W przekładzie i z przedmową Ludwika Włodka.	40	25
318.	**Anatol France.** HISTORYA KOMICZNA. Powieść. Przekł. Emilii Węsławskiej, z przedmową Wł. Jabłonowskiego.	40	25
319.	**Kazimierz Gliński.** OBRAZKI Z PRZE-		

Tom		CENA w oprawie kop.	CENA brosz. kop.
	SZŁOŚCI, z przedmową Henryka Gallego.	40	25
320, 321, 322.	**Henryk Brandt.** PAMIĘTNIKI OFICERA POLSKIEGO. Przekład M. G., z przedmową prof. Szymona Askenazego.	120	75
323.	**Iwan Wazow.** WYBOR NOWEL. Przekład Józefy Anc.	40	25
324, 325.	**Deotyma.** SOBIESKI POD WIEDNIEM.	80	50
326, 327.	**Wilhelm Depping.** JAPONIA.	80	50
328, 329.	**Grazia Deleda.** PO ROZWODZIE. Przekład Wili Zyndram-Kościołkowskiej. Powieść.	80	50
330.	**Wiktor Doleżan.** MANDŻURYA.	40	25
331.	**Jerzy Leueven.** H. IBSEN. W tłómaczeniu A. Kordzikowskiej z przedmową Władysława Jabłonowskiego.	40	25
332, 333.	PAMIĘTNIK EX DZIEDZICA z dopiskami ex pachciarza, zebrali X. Y. i Y. Z. Powieść.	80	50
334.	**Werner Siemens.** WSPOMNIENIA Z MEGO ŻYCIA. Spolszczone przez M. S., z przedmową G. Tolwińskiego.	40	25
335.	**Fr. von Eeden.** MAŁY JANEK. Z przedm. i tłom. F. L. Lubodziecka. Powieść.	40	25
336.	**Eliasz Metschnikoff.** STUDYA NAD NATURĄ LUDZKĄ. Streścił D-r E. B.	40	25
337.	**Stanisław Pilecki.** HISTORYA UBOGIEJ PANNY. Powieść.	40	25
338, 339.	**Maurycy Barrés.** WYRWANI Z GRUNTU OJCZYSTEGO. Przekład I. P. z przedmową Wł. Jabłonowskiego. Opowieść.	80	50
340, 341.	**Marya Ratuld-Rakowska.** PODRÓŻ POLKI PO PERSYI. Z przedmową T. Jaroszyńskiego.	80	50
342, 343.	**Maurycy Jókaj.** BIAŁA DAMA Z LIWOCZY. Przekład B. Jaroszyńskiej. Powieść.	80	50
344.	NOWELLE FRANCUZKIE. Przełożyła M. Rakowska.	40	25
345, 346.	**M. Czerny.** DNO LETY. Powieść.	80	50
347, 348.	**Edmund Demolins.** POTĘGA WYCHOWANIA. Przekład z francuzkiego.	80	50
349.	**Jonasz Lie.** ULWUNGOWIE. Kartka z księgi namiętności	40	25
350, 351,	**M. Pawlikowski.** BAJKI I OPOWIADANIA	80	50

		CENA w opr. kop.	CENA brosz. kop.
352, 353.	**CONRAD (Konrad Korzeniowski).** LORD JIM Przekład z angielskiego i przedmowa Emilii Wesławskiej	80	50
354, 355, 356.	**GABRYELA ZAPOLSKA.** „A GDY W GŁĄB DUSZY WNIKNIEMY"... Powieść współczesna z przedmową Wł. Jabłonowskiego	1.20	75
357.	**GUY DE MAUPASSANT.** NA WODZIE. Przekład Ireny Łopuszańskiej, z przedmową Wł. Jabłonowskiego	40	25
358.	**EMIL TARDIEU.** ZNUDZENIE. Studyum psychologiczne w przekładzie z francuskiego i przedmową Marvana Massoniusa.	1.35	1.20
359.	**M. A. SZIMACZEK.** OBRAZKI Z ŻYCIA. Z czeskiego przetłómaczyła J. Kietlińska-Rudzka	40	25
360. 361	**DEOTYMA.** POLSKA W PIEŚNI. SOBIESKI POD WIEDNIEM.	80	50

Rok 1905.

362, 363, 364.	**GABRYELA ZAPOLSKA.** SEZONOWA MIŁOŚĆ. Powieść współczesna Z przedmową Zdzisława Dębickiego	1.80	1.50
365.	**Helena Keller.** HISTORYA MEGO ŻYCIA. (Autobiografia głuchoniemej). Tłómaczyła M. Pankiewiczówna	40	25
366. 367.	**G. Flaubert.** SALAMMBO. Powieść z przedmową W. Jabłonowskiego	80	50
368, 369.	**T. Jaroszyński.** CHIMERA z przedmową Z. Dębickiego	80	50
370.	**H. Lichtenberger.** FR. NIETSSCHE i JEGO FILOZOFIA. Tł. I. Marcinkowskiej z przedmową Wł. Jabłonowskiego	40	25
371, 372, 373.	**M. Rodziewiczówna.** KLEJNOT, z przedmową H. Gallego	1.20	75
374.	**W. Marrené Morzkowska.** CYGANERYA WARSZAWSKA, z przedm. H. Gallego.	40	25

Tom		CENA w oprawie kop.	broszur. kop.
275, 376.	**Kenijro Tokutomi**. NAMI-KO. Z japońskiego tłómaczyli Sakae Shioya i E. F. Edgett. Z angielskiego przełożyła Emilia Węsławska.	80	50
377.	**Cr Th. Zell**. CZY ZWIERZĘ NIEMA ROZSĄDKU? Spolszczone przez M. S.	40	25
378, 379, 380, 381.	**Teodor Jeske - Choiński**. GASNĄCE SŁOŃCE. Powieść z czasów Marka Aureliusza	2.60	200
382.	**Booker T. Washington**. AUTOBIOGRAFIA MURZYNA. Przekład M. G.	40	25
383.	**Z, Kaczkowski**. ROZBITEK. Powieść z przedmową Wł. Jabłonowskiego	65	50

Dla prenumeratorów „*Biblioteki Dzieł Wyborowych*“ wydaje się **wielkie i znakomite dzieło**

Juliana Adolfa Święcickiego

p. t.:

HISTORYA LITERATURY POWSZECHNEJ

Z ILUSTRACYAMI

którego każdy tom stanowi **osobną całość** i może być oddzielnie kupowany.

Treść wydanych dotychczas tomów:

Tom.		CENA w opr. kop.	CENA brosz. kop.
Tom I.	LITERATURA BABILOŃSKO-ASSYRYJSKA I EGIPSKA. Stron 384. Ilustr. 91. 1901 r.	175	150
Tom II.	LITERATURA CHIŃSKA I JAPOŃSKA. Stron 447. Ilustr. 97. 1901 r.	175	150
Tom III.	LITERATURA ARABSKA. Stron 416. Ilustr. 52. 1901 r.	175	150
Tom IV.	LITERATURA INDYJSKA. Stron 462. Ilustr. 68. 1902 r.	225	170
Tom V.	LITERATURA PERSKA. Część I. Stron 239. Ilustr. 35. 1902 r.	175	150
Tom VI.	LITERATURA PERSKA. Część II. Stron 239. Ilustr. 27. 1902 r.	175	150
Tom VII.	LITERATURA ŻYDOWSKA. Część I. Stron 264. Ilustr 49. 1902 r.	175	150
Tom VIII.	LITERATURA ŻYDOWSKA. Część II. Stron 288. Ilustr. 29. 1903 r.	175	150
Tom IX.	LITERATURA ŻYDOWSKA. Część III. Stron 368. Ilustr. 24. 1903 r.	175	150
Tom X.	LITERATURA ŻYDOWSKA. Część IV. Stron 312. Ilustr. 11. 1903 r.	175	150

KOLEGIUM NAUCZYCIELSKIE
w GLIWICACH
Sp 21135